

DWA MORDERSTWA. DWA ŚLEDZTWA,
KTÓRE DZIELI DWA I PÓŁ TYSIĄCA LAT.

JAKUB SZAMAŁEK



CZYTAŃIE
Z KOŚCI

JAKUB SZAMAŁEK

CZYTANIE
Z KOŚCI

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE
MUZA SA

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*

Redakcja: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Grażyna Muszyńska*

© by Jakub Szamałek

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2015

ISBN 978-83-287-0135-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2015

Wydanie I

Marysi Pawłowskiej – dziękuję za wszystko



...Etruskowie wszystko przypisują bogom. Wierzą, że rzeczy nie dlatego mają znaczenie, że się zdarzyły, lecz zdarzają się dlatego tylko, że znaczenie mają.

Seneka, *Zagadnienia przyrodnicze*, II.32.2

Przedślowie

Najważniejszym elementem kryminału jest zagadka. Na podstawie subtelnych wskazówek czytelnicy próbują zrekonstruować przebieg zdarzeń i odgadnąć tożsamość mordercy – najlepiej, nim jeszcze to zrobi główny bohater.

Praca archeologa jest w pewnym sensie podobna. Też chodzi w niej o odtworzenie jakiegoś wycinka przeszłości i rozwiązanie konkretnej tajemnicy na podstawie niepełnych informacji, zanim te zostaną zniszczone przez przyrodę, czas bądź człowieka.

Niniejsza książka łączy jedno i drugie. Zawiera w sobie dwa równoległe śledztwa i dwa splecione ze sobą morderstwa. Zabójca jest jeden – i tylko Państwo mają szansę go zdemaskować.

Jakub Szamałek

σ

Leochares wyciągnął rękę ze strumienia. Oparzenie było paskudne. Wzdłuż dłoni przebiegała gruba czerwona krecha, na palcach wyskoczyły już bąble. Całe prawe ramię pulsowało bólem. Zagryzł zęby i z powrotem wsadził rękę do rwącej wody. Pieczenie ustało na chwilę, ale Leochares dobrze wiedział, że zaraz wróci. Był w końcu złotnikiem, nie pierwszy raz sparzył się przy pracy. Ale pewnie po raz ostatni.

Może jednak trzeba było próbować załatwić tę sprawę polubownie, pomyślał. Tylko ciężko zachować spokój, kiedy negocjacje zaczynają się od tego, że ktoś ci daje w pysk.

Leochares odchylił głowę do tyłu, żeby kapiąca z nosa krew nie pobrudziła ubrania. Niebo było błękitne i bezchmurne. Ładny dzień. Ładny, ale podły.

Leocharesa budził zwykle rano kogut sąsiadów – budził go też zresztą w nocy, przynajmniej dwa albo trzy razy, bo piał właściwie bez przerwy. Leochares przyrzekał sobie, że w dniu, kiedy to cholerne bydlę skończy wreszcie w garnku, odkorkuje ostatnią amforę wina z Chios, którą trzymał na specjalną okazję.

Tego dnia obudziło go co innego. Zapach. Zsiadłe mleko, miód, rozgrzana na patelni oliwa; potem usłyszał ciche skwierczenie. Lamia smażyła naleśniki. Jego ulubione śniadanie. Kiedyś robiła to, żeby mu sprawić przyjemność, teraz pewnie czegoś chciała. Tak czy owak, ucieszył się. Zazwyczaj jadł rano czerstwy chleb, który dało się pogryźć dopiero po namoczeniu w winie rozcieńczonym wodą, czy raczej w wodzie zaprawionej kilkoma kroplami kwaśnego jak ocet wina.

Leochares wstał z łóżka, podniósł z ziemi wymięty himation^[1], powąchał. Dym, popiół, pot. Niezbyt świeży, ale ujdzie, w końcu wybiera się tylko do warsztatu. Umył twarz, przepłukał usta, przeczesał palcami przyprószone siwizną loki i zszedł do kuchni po stromych i wąskich schodach. Lamia stała przy przenośnym piecyku. Miała na sobie nocną koszulę. Czarne długie

włosy spięte brązową broszą opadały jej na łopatki. Nie odwróciła się.

– Robię naleśniki.

– Wiem – powiedział Leochares, siadając za stołem. – Dziękuję – dodał po chwili.

– Jedzenie na później masz przy drzwiach, w woreczku.

– Tam gdzie zawsze. Wiem.

Lamia odeszła od piecyka, nałożyła mu na talerz dwa rumiane naleśniki.

– Denerwuje mnie to twoje „wiem” – powiedziała, nabierając chochlą ciasta.

Leochares chciał powiedzieć „wiem”, ale ugryzł się w język. Urwał kawałek jeszcze gorącego naleśnika, zwinął w rurkę, wsadził do ust.

– A mnie denerwuje, że jedyne, co masz mi do powiedzenia, to oczywistości.

Ciasto zaskwierczało na patelni. Teodoros tupał na górze, pewnie bawił się z Naną. Spomiędzy desek w suficie posypał się drobny pył.

– A co mam mówić? – spytała Lamia tonem, który nie zwiastował niczego dobrego. Po co to w ogóle zaczynałem, pomyślał Leochares, biorąc do ust kolejny kęs. Po cholere.

– Cokolwiek – powiedział wreszcie. – Byle szczerze.

Lamia przewróciła naleśnik na drugą stronę, podniosła patelnię, dorzuciła kilka gałązek do ognia.

– Jedz. Bo wystygnie.

No to jadł, chociaż nie miał już za bardzo ochoty. Lamia usiadła po drugiej stronie stołu. Na samej krawędzi krzesła, jak zawsze. Miała na talerzu dwa naleśniki, przypalone, prawie czarne. Nie ruszyła ich nawet.

– Jak mogłeś powiedzieć, że ją sprzedasz? – wydusiła wreszcie. Leochares znał ten ton. Zaraz będą łyzy.

– Potrzebujemy pieniędzy. A Nana jest najcenniejszą rzeczą, jaką...

– Ona jest osobą – przerwała Lamia. – Taką samą, jak ty czy ja.

– O, nie, kochanie. Ona jest niewolnicą.

Lamia skubała naleśnik, rwała go na małe kawałki, zgniatała w kulki.

Drżały jej usta.

– Wiesz, ile ona dla mnie znaczy, prawda?

– Aż za dobrze – odparł po chwili Leochares, starając się zachować spokój. Nie było łatwo. – Ale to niczego nie zmienia. Mamy długi, Lamia. A dziś muszę zapłacić za warsztat. Z czego? Hm?

– Ty nas w to wpakowałeś. Przez ciebie musieliśmy wyjeżdżać.

Raz, pomyślał Leochares, dwa, trzy. Powoli. Wziął głęboki oddech.

– Prawda. Moja wina. A skoro to już ustaliliśmy, bądź łaskawa nie rozgrzebywać przeszłości, tylko poradź, co dalej.

– Powiedz Ochosowi, że zapłacisz później.

– Już mu to mówiłem. Dwa razy. Prędzej...

Zaskrzypiały schody. Najpierw do kuchni zszedł Teodoros. Piękny chłopak, po matce. I wysoki, jak na swoje dziewięć lat. Za nim Nana w zgrzebnym chitonie. Ruda i śniada; rzadkie połączenie. Spuściła wzrok. Nie pamiętał, kiedy ostatnio się do niego odezwała. Albo on do niej.

– Proszę cię – wyszeptała Lamia, tak cicho, że ledwie ją usłyszał, po czym wstała od stołu. Leochares otarł usta, wygrzebał kawałek ciasta spomiędzy zębów. Zaklął.

– Co mówiłeś, tato? – spytał chłopiec.

– Nic, nic. – Machnął ręką. Oczywiście, jak kazał małemu posprzątać, to nigdy nie docierało, ale jak tylko wymknęło mu się coś, co nie powinno, Teo słyszał z drugiego końca domu. – Jadłeś już?

– Mhm. Jak spałeś.

– To idziemy – Leochares wstał od stołu, narzucił płaszcz, wziął kostur.

– Tatooo... A dasz mi dzisiaj dmuchać miechem?

Jest ciągle za mały, pomyślał Leochares, ma za słabe ramiona. Nie da rady rozgrzać pieca jak trzeba. Ale może nie mieć już więcej okazji, żeby spróbować.

– Zobaczymy. No, pocałuj mamę na do widzenia.

Wyszli na ulicę. Minęli dom z zarwanym dachem, studnię, którą zabito deskami po tym, jak pięć osób zmarło po wypiciu zaczerpniętej z niej wody,

stojący przy skrzyżowaniu wóz z pękniętą osią, pod którym wylegiwał się wychudzony pies obleziony przez wielkie jak winogrona kleszcze. Cóż, pomyślał Leochares, odgarniając sprzed twarzy suszące się prześcieradło, pięknie to tu nie jest.

Warsztat, który wynajmował od Ochosa, był na końcu miasta, pod samym murem, wetknięty między domy jak klin. Na wyposażeniu było kamienne kowadło, dwa stoły, palenisko. I tyle. Narzędzia miał własne, jeszcze po ojcu. Stare i toporne, ale solidne.

Mimo, że Tarent[2] był bogatym miastem, interes szedł średnio. Bardzo średnio. Leochares miał tu dużo konkurencji i mało kontaktów, nie nadążał za miejscową modą. Robił już mało własnej biżuterii, dostawał głównie zlecenia na naprawy: prostował zgięte zapinki w kolczykach, wstawiał kamienie, które wypadły z oczka pierścionka. Teraz, wyjątkowo, trafiła mu się niezłe płatna fucha. Miał szansę, żeby odbić się od dna. To znaczy, o ile Ochos nie wyrzuci go z warsztatu, nim skończy.

Teodoros ledwie sięgnął ramion wielkiego kowalskiego miecha. Z trudem pociągnął je ku sobie, nadymając się z wysiłku. Miecz zaświszczał, dmuchnęło powietrze, węgle się rozżarzyły. Przez krótką chwilę warsztat był zalany żółtym światłem, długie cienie przebiegły po ścianach; potem znowu zrobiło się ciemno. Teodoros stęknął, pociągnął ramiona miecha raz jeszcze, ale Leochares widział już, że chłopiec sam nie da rady. Podszedł do niego, położył szorstkie, pokryte bliznami dłonie na rączkach syna; pociągnął. Raz, drugi, trzeci i jeszcze, miech aż syczał i dyszał, aż pot spływał po plecach, aż gorąco bijące od paleniska parzyło skórę i gryzło w oczy. Mogli zaczynać.

Leochares otworzył stojącą w rogu skrzyneczkę, rozsypał zawiniątko z natłuszczonej baraniej skóry. W środku leżała chropowata grudka złota, nie większa niż przepiórcze jajo. Dość, żeby spłacić wszystkie długi, a potem jeszcze wynająć dom, który nie będzie cuchnął wilgocią i grzybem.

Złoto nie należało do niego, przyniósł je klient. Miał zrobić z niego wieniec, który przyozdobi skronie jakiegoś bogacza, gnijącego już sobie powoli na tyłach wielkiego domu. Teodoros pytał go, „po co temu panu tyle drogich rzeczy, skoro już nie żyje?”. Po nic, oczywiście, bo poza obolem pod

język na przeprawę za Styks[3] niczego więcej nie potrzebował. Reszta była tylko po to, żeby zrobić wrażenie na sąsiadach i dalekiej rodzinie. Oczywiście, małemu chłopcu trudno było to wytłumaczyć.

Leochares złapał grudkę złota w obcęgi i włożył ją ostrożnie do paleniska. Potem razem z Teo popracował jeszcze chwilę miechem. Mały był tak przejęty, że nic nie mówił. Leochares poczochnął go po głowie, pocałował w rozgrzane i słone od potu czoło.

Złoto zaczęło się topić. Leochares wyciągnął je, położył na kowadle, uderzył kilka razy niewielkim młotkiem o kamiennej główce; *tok tok, tok tok*. Metal był zaskakująco miękki. Widać było w nim sporo domieszek. Nic dziwnego, pomyślał Leochares, sam też nie marnowałbym czystego kruszcu na pogrzeb. Praca szła szybko, po chwili rozpląszczył grudkę na blachę. Wystarczy tylko poczekać, aż ostygnie, wyciąć z niej listki, zamocować je na druciku – i wieniec gotowy. Jak dobrze pójdzie, pomyślał, to jeszcze wyrobie się na czas.

Usłyszał kroki. Skrzypnęły zawiasy, ktoś otworzył drzwi. Bez pukania. Leochares westchnął, odłożył młotek i obrócił się. Ochos. Jak zawsze w śnieżnobiałym himationie, z modnie przyszyżoną brodą, ufryzowanymi starannie włosami. Przyszedł w towarzystwie jakiegoś włochatego osiłka, który musiał schylić się i stanąć bokiem, żeby zmieścić się w drzwiach do warsztatu. Niedobrze, pomyślał Leochares, po czym uśmiechnął się szeroko i zgiął w ukłonie.

– Witaj. Czym mogę...

– Wiesz, który dzisiaj? – zapytał Ochos, zbierając luźne poły himationu. Mogłyby się pobrudzić.

– Czternasty, zdaje się.

– Dokładnie. Dzień zapłaty. Której nie uiściłeś.

Leochares nie odpowiedział. Ciężko było z tym dyskutować.

– Drugi miesiąc z rzędu – dodał po chwili Ochos.

– Słuchaj, jak tylko stanę na...

– O nie, nie, żadne „jak tylko”. Wynoś się stąd. Ale już.

Leochares otarł sadzę z czoła, skrzyżował ramiona.

– Pozwól mi przynajmniej dokończyć robotę – powiedział. – Jeden dzień. To wszystko, o co proszę.

– Zlecenie dokończy inny złotnik. Mam już takiego, umowa spisana. Twój klient o wszystkim wie.

– Dobrze – powiedział spokojnie Leochares. Sam był zdziwiony, jak spokojnie. – Daj mi tylko chwilę, spakuję narzędzia.

– Narzędzia zostają. Żeby pokryć zaległe płatności.

Ach, uśmiechnął się w duchu Leochares. To dlatego przyszedł z tym wielkoludem.

– Daj spokój... – zaczął ostrożnie. – To są rupiecie. Dostaniesz za nie dwie drachmy[4], no, góra trzy, jeśli trafisz na naiwniaka. A bez nich nie będę w stanie...

Osilek nie czekał, aż dokończy. Może dostał wcześniej wyraźne instrukcje, może już męczyła go ta rozmowa, w końcu wyglądał bardziej na człowieka czynów niż słów. Uderzył go otwartą dłonią w twarz. Leochares poleciał do tyłu, zahaczył biodrem o róg stołu, walnął potylicą o ścianę; zawieszona na kołkach piłki i nożyce pospadały z brzękiem na ziemię.

Leochares z trudem dźwignął się na kolana. Wstał powoli, masując szczękę.

– Idź do domu – wychrypiał do syna. Mówił niewyraźnie. Rozciął język o zęby, policzek już zaczął puchnąć. Czuł w ustach smak krwi.

– Ale tato...

– Idź. Już.

Nie chciał, żeby syn widział go w takim stanie. Jeszcze bardziej nie chciał, żeby zobaczył to, co stanie się za chwilę. Chłopiec, całe szczęście, posłuchał go i ruszył w stronę drzwi; ani Ochos, ani jego małomówny towarzysz nawet nie zwrócili na niego uwagi.

– Ochos – Leochares splunął różową śliną, otarł usta. – Jeśli boisz się, że cię nie spłacę, chodźmy do archonta[5]. Spiszemy, ile ci się należy, co do obola. Z procentami. Ale narzędzia zabieram ze sobą.

Ochos się nie odezwał, przewrócił tylko oczami. Niezręczną ciszę przerwał milczący do tej pory byczek.

– Głuchy jesteś, dziadu? – ryknął, waląc pięścią w stół, aż podskoczyły leżące na nim gwoździe. – Narzędzia zostają. A teraz zjeżdżaj stąd albo wpierdol!

Leochares przekrzywił lekko głowę, spojrzał na kowadło.

– Słuchaj, tak sobie myślę... Chciałbyś może maskę? – spytał przymilnie.

– Co, kurwa?

– Maskę. Pytam, bo mógłbym ci tu jedną zrobić na poczekaniu. Ze złota.

– Ty myślisz, że to są żarty?!

Pytanie ewidentnie było retoryczne, bo zamiast czekać na odpowiedź, osiłek zamachnął się i uderzył i to już pięścią, nie otwartą dłonią. Tym razem jednak Leochares się tego spodziewał, więc zdołał się uchylić, cios minął go o włos. Szybkim ruchem złapał stygnącą na kowadle złotą blachę, po czym, ignorując przeraźliwy ból przeszywający prawe ramię, uderzył nią osiłka w twarz. Metal był nie tylko gorący, ale i dość giętki, więc natychmiast się wybrzuszył, uwypuklając krzywizny wątpliwej urody twarzy.

– Aaaargh!!! – ryknął olbrzym i padł na kolana, przewracając stół. Zdarł blachę z twarzy wraz z włosami i kawałkami skóry; smród spalenizny wypełnił cały warsztat. Leochares machał prawą dłonią jak wachlarzem, chłodząc oparzenia, lewą ręką ładował narzędzia do płóciennego worka. Ochos przywarł plecami do ściany, milczał. Po kolorze twarzy można było wnosić, że za chwilę wymiotuje.

– Oddam ci twoje pieniądze – powiedział Leochares, związując worek sznurkiem – Ale na moich zasadach. A teraz zejź mi z drogi.

Leochares wyciągnął dłoń ze strumienia. No, lepiej już raczej nie będzie, pomyślał, przyglądając się nabrzmałym bąblom. Zarzucił worek z narzędziami na plecy i wstał.

Kiedy przenosili się do Tarentu, tak daleko od Aten i Pantikapajonu[6], miał nadzieję, że znajdzie tu wreszcie spokój. Że skończą się polityczne intryki i śledztwa, nie będzie już więcej bijatyk, spisków i trucizn. To spełniło się co do joty. Wiódł życie spokojne, wręcz nudne. Co nie znaczy, że szczęśliwe.

Na podróż do Tarentu zużyli prawie całe oszczędności. Nic dziwnego, musieli przepłynąć trzy morza w cztery osoby na pięciu różnych statkach, co zajęło jedenaście miesięcy. A potem trzeba było jeszcze się urządzić. Miał tu paru znajomych, dlatego w ogóle wybrał to miasto, bo było gdzie się na początku przytulić – ale wiadomo, że każda gościna kiedyś się kończy. Trzeba było wynająć dom, warsztat, wyżywić siebie, żonę, dziecko. I niewolnicę. Zaciągnął dług. Myślał, że spłaci go w rok. Po roku musiał wziąć kolejną pożyczkę, a potem jeszcze jedną, ale już na wyższy procent. Tak się zaczęło – a teraz się skończyło. Bez warsztatu nie ma jak pracować. Po tym, co zrobił, następnego nikt mu nie wynajmie. Dom był opłacony do końca miesiąca, a potem... Potem cholera wie.

Oczywiście, mógłby sprzedać Nanę. Dziewczyna co prawda najlepsze dni miała już za sobą, ale dostałby za nią ładną parę drachm, dość, żeby stanąć znów na nogi. Ale nie, wykluczone. No bo właśnie, w domu też niezbyt się układało. Syn, bogom niech będą dzięki, rósł zdrowy, silny i do tego całkiem niegłupi. Ale żona... Nie chciało mu się o tym gadać ani nawet myśleć.

Zamiast iść prosto do domu, zaszedł do swojej ulubionej tawerny. Urocze miejsce – na samej krawędzi klifu, z oknami wychodzącymi na morze i widokiem na statki zawijające do portu. Ale Leochares nie był w nastroju do podziwiania krajobrazów. Wyłuskał parę oboli, zamówił suszone kalmary, figi i młode wino, lekkie i kwaśne. Usiadł w kącie. Myślał, co dalej.

Miał czterdzieści sześć lat, wyglądał na pięćdziesiąt sześć, a czuł się, jakby miał sto sześć. Potrafił dobrze robić tylko dwie rzeczy: wyrabiać biżuterię i rozwiązywać cudze problemy, takie, których nie załatwia się polubownie. Złotnictwo odpada, z oczywistych względów, a na to drugie był już zdecydowanie za stary. Co teraz, kołatało mu się w głowie, co dalej?

Mewy krzyczały, właściciel tawerny zamiatał kamienną posadzkę miotłą z brzozowych witek, Leochares bębnił palcami o lepki blat stołu. Zamówił drugi kieliszek, już na krechę. Wino może nie rozwiązywało problemów, ale pozwalało o nich przez chwilę nie myśleć, a to już coś.

Leochares wszedł do domu, zdjął płaszcz. Chciał go powiesić, ale nie mógł znaleźć kołka; po pierwsze, było już ciemno, po drugie, był pijany.

W końcu cisnął płaszcz na ziemię, po czym usiadł na stołku, żeby otrzepać stopy z piasku. Dopiero wtedy zobaczył stojącą w kącie Lamie.

– Jest późno.

– Wiem.

– Nie zaczynaj znowu z tym pieprzonym „wiem” – warknęła Lamia, po czym dodała, już spokojniej: – Teodoros się o ciebie martwił.

– A ty? – zapytał Leochares. Był w nastroju do zaczepki, jak zwykle, kiedy sobie wypił.

– Nie.

– Nie?

– Przecież ty zawsze spadasz na cztery łapy.

– No, nie do końca. – Leochares podrapał się po pokrytej kilkuniedniowym zarostem szyi. – Ochos wyrzucił mnie z warsztatu.

Lamia podeszła bliżej. Poczuli zapach jej skóry, włosów. Zdał sobie sprawę, że nie jest wcale aż tak pijany.

– To co teraz zrobimy? – spytała cicho.

– Znasz moje zdanie.

– Nie sprzedasz jej. Po moim trupie.

– Dobrze – powiedział wesoło Leochares, klasnął dłonią o kolano. – W takim razie zamieszkamy pod mostem całą czwórka. Co ty na to?

– Chętnie ci powiem, co ja na to – powiedziała. – Gdybyś wtedy w Pantikapajonie przyjął od Satyrosa pieniądze, zamiast jak zwykle unieść się honorem, w ogóle nie byłoby...

– Hola, hola – Leochares wszedł jej w słowo. Tracił już cierpliwość. – Mieliśmy nie rozgrzebywać przeszłości. Pamiętasz?

Lamia otworzyła usta, jakby chciała coś jeszcze dodać, ale w końcu odeszła bez słowa. Dopiero po chwili, kiedy już stała na schodach, odwróciła się w jego stronę.

– Odwieś ten płaszcz na miejsce, zanim pójdziesz spać. Bardzo cię proszę.

Leochares pokręcił głową. Wreszcie westchnął, wstał, zapalił oliwną lampkę. Posprzątał, potem wszedł na górę, starając się nie narobić zbyt wiele

hałas na skrzypiących schodach. Zanim wszedł do małżeńskiej sypialni, zajrzał do Teodorosa. Białe światło, które wpadało do środka przez szczeliny w okiennicach, pocięło pokój w jasne paski. Chłopiec spał zwinięty w kłębek, ściskając lalkę, którą dawno temu uszyła mu Lamia. Była brudna i wytarta, w paru miejscach miała poprute szwy. Lamia proponowała małemu już parę razy, że wypierze ją, załata, wypcha nowymi pakułami, że będzie jak nowa, ale Teo nawet nie chciał tego słuchać.

Leochares usiadł na krawędzi łóżka. Wypełniony słomą siennik zakrzypiał pod jego ciężarem. Odgarnął kosmyk włosów z czoła syna, pogłaskał go po policzku.

– Tata? – Chłopiec otworzył oczy.

– Mhm. Cześć, mały.

– Tamten pan... On ci nie zrobił krzywdy?

– Nie. Wytłumaczyłem mu, że się bardzo nieładnie zachował.

– I co?

– I nic. – Leochares wzruszył ramionami. – Przeprosił mnie i po wszystkim.

– Aha... To jutro też będę mógł pójść z tobą do warsztatu?

– Zobaczy się. No, dość gadania. Śpij.

Leochares wstał, podszedł do drzwi. Bolała go głowa. Gardło miał ściśnięte.

– Tato... – Teo usiadł. – Opowiedz mi bajkę na dobranoc.

– Daj spokój. Jesteś duży chłopak. I już późno.

– Proszę.

Leochares zawahał się chwilę, zastygł z dłonią na drzwiach. Wreszcie zamknął je, usiadł z powrotem na łóżku, zdmuchnął lampkę.

– Opowiadałem ci o Syzyfie?

– Nie... Chyba nie.

– To było tak. Dawno, dawno temu żył sobie Syzyf. Wszystko mu wychodziło i zawsze miał szczęście. Był tak bogaty, że nigdy nie mógł się doliczyć, ile ma złota, bo w końcu zawsze się mylił i musiał zaczynać od

nowa. Miał piękną żonę i mądre dzieci, był królem wielkiego miasta, a jakby tego wszystkiego było jeszcze mało, bardzo lubili go bogowie. Czasem nawet zapraszali go do siebie, na szczyt Olimpu, by skosztował ambrozji.

– A co to jest ambrozja?

– Coś jak owsianka. Bogowie bardzo ją lubią.

– Akurat.

– Słowo – powiedział Leochares, kładąc dłoń na piersi. – Gdzie ja... No, ale któregoś razu Syzyf bardzo rozzłościł bogów. Nie wiem, może dlatego, że nie dojadł swojej ambrozji do końca? W każdym razie bogowie powiedzieli, że dosyć już tego i Syzyf musi odejść do krainy zmarłych. Król wiedział, że nic dobrego go tam nie spotka, więc długo oszukiwał śmierć... Ale kiedy w końcu umarł, bogowie strasznie go ukarali – głos Leocharesa przeszedł w dramatyczny szept, a Teodoros skulił się pod kołdrą. – Skazali go na najgorszą męczarnię, jaką można sobie wyobrazić!

– Ja... Jaką?

– Zaprowadzili go pod bardzo wysoką górę i pokazali wielki kamień. Powiedzieli, że jeśli tylko Syzyfowi uda się go wtoczyć na sam szczyt, będzie wolny. Nic prostszego, pomyślał krnąbrny król, po czym zatarł dłonie i wziął się do roboty. Tyle tylko, że za każdym razem, kiedy już, już był przy samym czubku góry, kamień się staczał. I Syzyf zaczynał od nowa, znowu i znowu. I tak będzie łązić wte i wewte aż do końca świata.

Teodoros wpatrywał się w niego, jakby czekał na ciąg dalszy.

– I... Już? To tyle? – spytał wreszcie, opuszczając podciągniętą pod brodę kołdrę. – To cała kara?

– Mhm. Tak.

– Wcale nie taka straszna – powiedział chłopiec z lekkim zawodem.

– No, nie wiem – westchnął Leochares. – Ja tam myślę, że nie ma nic gorszego. Dobranoc, mały.

Poszedł do sypialni. Lamia spała na samej krawędzi łóżka, obrócona plecami do pokoju. Położył się po drugiej stronie.

Leochares wstał przed świtem i, podobnie jak reszta miejskiej biedoty, poszedł na agorę^[7] popytać o pracę. Można było się tam nająć do rozładunku towarów albo do roboty na budowie czy w jakimś warsztacie. Leochares zajrzał wpierw do kilku rzemieślników, przedstawił się, powiedział, że potrafi pracować z metalem, że z niego złota rączka. Nie było chętnych. Leochares nie dziwił im się, nawet nie miał pretensji, sam nie raz i nie dwa odsyłał takich petentów. Za starych, dobrych czasów.

Całe szczęście, że zaczynał się właśnie sezon zbiorów, więc przynajmniej nie brakowało okazji do pracy na roli. Była to co prawda ciężka fucha za małe pieniądze, ale nie mógł wybrzydzać, więc jak tylko usłyszał, że Hilarion potrzebuje ludzi do pomocy przy oliwkach, udał się od razu do jego gaju.

Szedł tam razem ze słońcem, które wstało już zza chmur i zaczęło codzienną wędrówkę na zachód. Myślał, że dotrze na miejsce jako jeden z pierwszych, tymczasem zastał już długą kolejkę mężczyzn w zgrzebnych himationach. Stali w milczeniu, niewyspani i nieogoleni. Niektórzy dopiero teraz jedli śniadanie, skubiąc suchy chleb mały kęsami, oszczędnie, żeby starczyło na później. Inni stali bez ruchu, z oczami wbitymi w ziemię, myślami gdzie indziej. Czekali cierpliwie, aż Hilarion przyjdzie ocenić ich zdadność do pracy i albo wyda narzędzia, albo odprawi z niczym.

Leochares ustawił się na końcu kolejki, za chudym mężczyzną o uszach odstających od czaszki jak uchwyty od dzbana. Podobnie jak inni, chudzielec śmierział. Zepsute zęby, stary pot, tłuste włosy. Bogom niech będą dzięki za tę bryzę, pomyślał Leochares, obracając twarz w stronę morza.

Ze stojącego na skraju gaju domu wyszedł wreszcie Hilarion – dobrze zbudowany mężczyzna o brodzie gęstej jak szczotka. Usiadł za ustawionym w cieniu stołem, wyciągnął glinianą skorupę i rysik, po czym skinął głową do pierwszego w kolejce. Chwilę później pojawiło się kilku niewolników z narzędziami – długimi drągami do strącania oliwek i wysokimi koszami z wikliny.

Nie mając nic lepszego do roboty, Leochares rozglądał się wokół siebie. Setki niewysokich drzew rosły w długich, wijących się rzędach. Lekki wiatr przechodził przez kolejne gałęzie jak fala, szmerząc, obracając liście białym spodem ku górze. Brudne owce snuły się między drzewami, zatrzymując się co jakiś czas, żeby poskubać wyschlą trawę.

Dla Leocharesa to wszystko stanowiło znajomy widok. Jako młody chłopak spędzał dużo czasu w podobnym gospodarstwie pod Atenami, u wuja. Co prawda, nigdy nie ciągnęło go do pracy przy drzewach – nużyło go bezmyślne powtarzanie tych samych czynności, męczył upał – ale czegoś tam się nauczył, coś jeszcze pamiętał. Wiedział, jak strącić kijem dojrzałe owoce, tak żeby nie uszkodzić gałęzi, jak rozpoznać chore rośliny czy dbać o sadzonki. Powtarzał to sobie teraz wszystko w myślach, układał w mądre brzmiące zdania. Miał nadzieję, że jeśli zrobi na Hilarionie odpowiednie wrażenie, dostanie jakieś bardziej odpowiedzialne, a zatem i lepiej płatne zadanie. Przydałoby się.

Kolejka szła szybko. Kilka słów, szybkie spojrzenie – i po wszystkim, do pracy albo do domu. Śmierdziel z odstającymi uszami odszedł z pustymi rękoma. Może i dobrze, pomyślał Leochares, bo jakbym musiał pracować po jego zawietrznej, chyba bym się porzygał.

– Następny! – rzucił Hilarion, zapisując coś rysikiem na skorupie.

Leochares zrobił krok do przodu, ukłonił się.

– Bądź pozdrowiony, Hilarionie. Jestem Leochares, syn Apell-...

– Tak, tak, miło mi – rolnik oderwał wzrok od skorupy, otaksował go, skrzywił się. – A teraz do rzeczy. Ile masz lat?

– Czterdzieści – odpowiedział Leochares, nie do końca zgodnie z prawdą. Zaraza, pomyślał, trzeba było się ogolić. I ostrzyc.

– No, to musiało cię nieźle życie doświadczyć.

– Prawda, doświadczyło – odparł Leochares, ignorując sarkazm. – Ale jestem w dobrej formie. I sporo wiem o...

– Ręce do góry. Wysoko.

– Słucham?

– Co, głuchy jesteś? Ręce do góry. I nie opuszczaj, dopóki nie powiem.

Leochares miał ochotę zrobić z rękoma coś zupełnie innego, ale opanował się. Trzeba było schować godność do pustych kieszeni. Zaciśnął usta, uniósł ramiona. Obrócił prawą dłoń tak, żeby nie było widać oparzeń.

– Raz... Dwa... Wyżej, wyżej te ręce, wyprostowane! Trzy... – odliczał Hilarion. Po trzydziestu Leochares stracił czucie w palcach. Po

sześćdziesięciu ramiona zaczęły boleć i drżeć. Ale nie odpuszczał.

– ...sto. Dobrze, starczy. – Hilarion podrapał się po brodzie. – No, może się jednak do czegoś nadasz. Łap za kij, bierz kosz i kapelusz. Pracujesz do zmierzchu, z przerwą w południe. Za dziesięć pełnych koszy dostaniesz dwa obole. Za więcej niż pięć, jednego. Za mniej niż pięć nic i nie chcę cię tu więcej widzieć. Jasne?

– Jasne. Ale słuchaj, ja już kiedyś pracowałem przy oliwkach, więc...

– Następny!

Pod koniec dnia Leocharesa bolało dosłownie wszystko. Ramiona – od ciągłego trzymania ich w górze, dłonie – od odcisków i oparzeń. Oczy – od słońca i drobinek kory, które powpadały mu pod powieki. Głowa – od bezustannego *stuk, stuk, stuk* dziesiątek kijów uderzających o drewno w nierównym rytmie, zupełnie jakby gaj obsiadło stado dzięciołów. Jeszcze tylko trochę, pomyślał, przełykając gorzką ślinę. Jeszcze troszeczkę.

Stanął przed ostatnim drzewem. Gałęzie miało krzywe i poskręcane jak palce starca, wyblakły pień był pełen dziur, szczelin i pęknięć. Musieli je zasadzić pierwsi osadnicy, jakieś dwieście lat temu. Było niemym świadkiem niezliczonych wojen, susz i sztormów, od pokoleń rodziło owoce rodzinie Hilariona, a będzie pewnie jeszcze żywić jego wnuki i prawnuki. Aż głupio było okładać je kijem – ale cóż, kosz sam się nie napełni.

Leochares otarł pot z czoła, wziął głęboki oddech, po czym zamachnął się i uderzał, raz za razem, aż oliwki zaczęły spadać na rozłożoną pod drzewem płachtę. Zebrał ich już tego dnia setki, jeśli nie tysiące. Jeszcze trochę, jeszcze troszeczkę, a dobieje do dziesięciu pełnych koszy. I całych dwóch oboli wypłaty. Starczy, żeby kupić jedzenie dla całej rodziny.

Leochares kucnął, pozbiierał strącone owoce i poszedł pod dom Hilariona. Gospodarz sprawdzał, czy kosze są aby na pewno napełnione po same brzegi, czy nikt nie wypchał ich trawą albo liśćmi, po czym wreszcie wydawał każdemu po monecie albo po dwie, przybierając przy tym minę łaskawego dobrodzieja.

– No, nieźle, nieźle – powiedział z uznaniem Hilarion, przerzucając oliwki

w koszu Leocharesa. – Znajdziesz tu pracę też jutro.

– Świetnie.

– Tylko bądź na czas. Tuż po świcie.

Leochares pokiwał głową i ruszył w stronę bramy. Jak dobrze pójdzie, dotrze do domu przed północą. Potem szybka kolacja, trochę snu, pobudka i wszystko zacznie się od nowa. I tak aż do końca zbiorów, do późnej jesieni. A zimą... Zimą się zobaczy.

Tuż przy bramie gospodarstwa stała prasa do wytłaczania oliwy. Prosta konstrukcja, jaką widzi się w każdym domostwie – kamienny cylinder, na nim walec z długą żerdzią, do której zaprzęgnięty był stary osioł. Boki miał pokryte starymi strupami i świeżymi ranami; muchy spijały krzepnącą krew. Osioł dreptał dookoła po głęboko wydeptanej ścieżce, obracając ciężki walec. Głowę miał spuszczoną do samej ziemi, ruszał się powoli – ku wyraźnej złości nadzorca, który coraz to smagał go leszczynową witką, choć nie przynosiło to żadnego skutku. Kamień zgrzytał o kamień, miażdżone oliwki roztaczały intensywną, gryzącą nozdrza woń.

Leochares otrząsnął się i ruszył w stronę Tarentu. Robiło się ciemno.

Leochares otworzył oczy. Obudziło go łomotanie do drzwi. Ktoś wołał jego imię. Jeszcze nie świtało, więc nakrył głowę kołdrą i czekał, mając nadzieję, że ktokolwiek to jest, w końcu da sobie spokój. Niestety, nadzieja okazała się płonna. Zaklął, zwałókl się z łóżka i zszedł na dół. Rwały go mięśnie, pękała mu głowa, z niewyspania miał mroczki przed oczami. Minął kuchnię, gdzie Lamia już gotowała mleko na owsiankę dla Teodorosa. Rzuciła mu pytające spojrzenie; wzruszył ramionami. Też nie miał pojęcia, kto to.

Otworzył drzwi. Ochos. I jacyś dwaj mężczyźni, których widział pierwszy raz w życiu. Wyglądali strasznie oficjalnie, jakby szli na procesję, pogrzeb albo coś takiego.

– Mówiłem ci, Ochos... – wychrypiał Leochares. – Oddam te pieniądze. Tylko jeszcze nie teraz.

– Ja nie w tej sprawie.

– A-haaa... – Długie ziewnięcie. – To czemu zawdzięczam przyjemność?

– Skiron pozywa cię do sądu.

Leochares zamrugął, podrapał się po głowie.

– Kto znowu?

– Skiron. Ten, któremu poparzyłeś twarz.

– A, on. Wybacz, nie przedstawił się. I, hm, o co mnie pozywa?

– O pobicie. Z trwałym uszczerbkiem na zdrowiu.

– To chyba jakieś żarty! – powiedział Leochares, choć po minach Ochosa i jego towarzyszy widział już, że niekoniecznie. – Przecież to on zaczął. Ja się tylko broniłem.

– Moi świadkowie twierdzą co innego.

– Twoi... Przecież my tam byliśmy sami!

– Chyba zawodzi cię pamięć – odparł Ochos z wrednym uśmiechem. – Poza Skironem towarzyszyli mi przecież ci dwaj szlachetni mężowie: Thestor, syn Zeuksisa, i Brygos, syn Chilona.

Leochares przyjrzał się szlachetnym mężom. Widział ich po raz pierwszy w życiu. Nalany nos Thestora sugerował, że pił wino nie tylko od święta; czerwone plamy na postrzępionym himationie potwierdzały te podejrzenia. Brygos był kudłaty, z zadartym nosem, maleńkimi oczkami i wystającą żuchwą. Słowem, wyglądał, jakby spłodziła go dzika świnia, a nie jakiś tam Chilon. Szlachetni mężowie, kurwa ich mać.

– Ile im zapłaciłeś? – wycedził Leochares.

– Nic. Thestor i Brygos kierują się tylko praworządnością.

Leochares gotował się w środku. Świerzbiły go ręce.

– Dobra, wygrałeś. Oddam ci te cholerne narzędzia.

– Teraz to możesz je sobie wsadzić w dupę. Sprawa jest już w sądzie. Jutro rozprawa.

– Ej, ej, słuchaj... Jakoś się dogadamy.

– Ależ ja nic do ciebie nie mam. – Ochos znowu się uśmiechnął, odsłaniając rząd białych zębów. – To przecież Skiron złożył pozew. Ja jestem tylko jego posłańcem.

– Aha – Leochares pokiwał ze zrozumieniem głową. A potem wyjął obola, połowę tego, co zarobił u Hilariona, i wepchnął zdziwionemu Ochosowi monetę w rękę. – To masz, za fatygę. A teraz zabieraj swoich szlachetnych mężów i wypierdalaj.

Leochares uznał, że nie ma już co iść do Hilariona. Dwa obole wte czy wewte, to w obecnej sytuacji nie miało już żadnego znaczenia. Czuł, że powinien przygotować się do rozprawy, ale nie bardzo wiedział jak. Miejscowe prawo jakoś tam kojarzył, a w jeden dzień lepiej go już nie pozna. Na usługi logografa[8] nie było go stać. Tym bardziej nie miał pieniędzy na to, żeby przekupić kogoś, aby zeznawał na jego korzyść – a Teo był za młody, żeby wezwać go na świadka. Pozostawało czekać.

Wziął więc amforę wina z Chios, tego na specjalną okazję, i wyszedł na dach. Widok, jaki się stamtąd roztaczał, był jednym z niewielu plusów wynajętego domu. Z jednej strony morze, z drugiej – panorama całego miasta. Potężne mury obronne ciągnące się na jakieś sto stadionów[9] albo i więcej, świadectwo burzliwej historii Tarentu, niekończących się konfliktów z miejscowymi ludami. Na horyzoncie akropol, ze świeżo odmalowaną świątynią Posejdona w kolorach jaskrawej czerwieni, żółci i błękitu, z odlanymi z brązu rzeźbami skrzącymi się w porannym słońcu. Wreszcie port, las masztów, labirynt straganów i tawern, rozbrzmiewający krzykiem mew i dziesiątkami różnych akcentów greki. Nic dobrego mnie tu nie mogło spotkać, pomyślał Leochares, przełykając gęste, nierozcieńczone wodą wino. W końcu to miasto bękartów.

Osuszył parę kubków, po czym ukradkiem, żeby przypadkiem nie zaczepiła go Lamia, wyszedł na miasto. Nie miał ochoty na kolejną kłótnię. Wspomnienia czasów, kiedy byli szczęśliwi, stawały się coraz bardziej odległe, coraz mniej wyraźne, aż zaczynał powątpiewać, czy te czasy kiedykolwiek miały miejsce. Narzekał na nią kompanom od kielicha. Że oziębła, że złośliwa, że nie docenia; zapite gęby kiwały ze zrozumieniem. Ale w głębi duszy wiedział, że pretensje powinien mieć do siebie. Lamia wiele mu wybaczyła. Kłamstwa, zdrady, złamane obietnice. Ale tego, że zaryzykował życiem jej i syna tylko po to, żeby polechtać własną próżność,

nie mogła mu zapomnieć.

Poszedł do kapliczki poświęconej Atenie. Była skromna – dach z malowanej terakoty wsparty na drewnianych kolumnach, z których łuszczyła się biała farba, niewielka grubo ciosana rzeźba i tyle. Za ostatniego obola kupił gliniany pucharek pokryty smoliście czarnym szkliwem. Podniósł z ziemi kamień i wydrapał nim na naczyniu swoje imię, po czym położył je u stóp rzeźby, wśród niezliczonych figurek i prostej biżuterii. Atena nie wyglądała, jakby podarek zrobił na niej specjalne wrażenie. Gapiła się dalej gdzieś w dal, z ustami ściągniętymi w obojętną kreskę.

– Liczą się chęci, dobra? – powiedział z pretensją Leochares, po czym ruszył chwiejnym krokiem do domu. Resztę dnia nic już nie robił.

Leochares przejrzał się w pożyczonym od Lamii lusterku. Prezentował się tak sobie. Za bardzo się spieszył przy goleniu, więc całą szyję miał pokrytą strupami. Uparł się, że sam przytnie sobie włosy – teraz tego żałował. Odświętny chiton[10], niegdyś śnieżnobiały, teraz zaś szary, wisiał na nim jak worek. Dobrze, że to nie konkurs piękności, pomyślał kwaśno, bo złotego jabłka bym raczej nie dostał[11].

Lamia wyciągnęła w końcu od niego, o co chodzi. Myślał, że będzie suszyć mu głowę, że znowu się z kimś pobił, że wpakował siebie i całą rodzinę w tarapaty – ale nie powiedziała nic takiego. Może wreszcie zrozumiała, że jest współodpowiedzialna za to, co się stało, że gdyby zgodziła się na sprzedanie Nany, nic z tego by się nie wydarzyło. A może znudziło jej się to rzucanie grochem o ścianę.

Pożegnał się z nią, suchy pocałunek na zimnym policzku, porozmawiał chwilę z Teodorosem. Chłopak z właściwą dzieciom intuicją wyczuwał doskonale, że coś jest nie tak, że zbierają się nad nimi czarne chmury. Leochares wymyślił na poczekaniu jakieś kłamstewka, które jednak nie brzmiały zbyt przekonująco. Wreszcie zarzucił płaszcz i poszedł do sądu.

Pierwszy raz miał stawać jako oskarżony. Kiedyś, jak jeszcze mieszkał w Atenach, zgłosił się parę razy na sędziego, raz czy dwa go wyłosowali. Na prawie za bardzo się nie znał, ale to w niczym nie przeszkadzało. W trakcie rozprawy protokolant odczytywał odpowiednie zapisy, a potem Leochares

i tak głosował jak reszta. Teraz żałował, że nie uważał bardziej na tych procesach, że nie zapamiętał żadnych formułek, zgrabnych figur retorycznych ani wzruszających wyznań. Cóż, pomyślał, przeciskając się między przechodniami, miejmy nadzieję, że Atenie jednak ten kubeczek przypadł do gustu.

Dotarł wreszcie do sądu – świeżo bielonego jednopiętrowego budynku położonego na skraju agory. Sędziowie czekali już w ławach. Było ich około czterdziestu, większość od niego starsza, kilku drzemało z głowami opartymi o ścianę. Ciekawe, pomyślał Leochares, siadając na krześle dla pozwanego, czy obudzą się dopiero na wydawanie wyroku, czy może jednak trochę wcześniej.

Na drugim końcu sali Skiron szykował się do wygłoszenia mowy oskarżycielskiej. Chodził w kółko, powtarzając bezgłośnie wyuczone słowa, bez wątpienia ułożone przez kogoś innego. Jegotwarz stanowiła szokujący materiał dowodowy – skóra była czerwona i pokryta bąblami, z brody zostały żałosne kępki nadpalonych włosów. Tymczasem po Leocharesie ledwie było widać ślady bójk, ot, lekko opuchnięta szczęka, siniak na policzku. Rany zawsze goiły się na nim jak na psie – zwykle się z tego cieszył, ale tym razem mogło się to okazać gwoździem do trumny.

Protokolant zamknął drzwi, a następnie odkorkował klepsydrę wodną; strumień chlusnął do postawionego niżej naczynia. Skiron wyszedł na środek, zaklął na bogów, że będzie mówił prawdę i tylko prawdę, po czym szybko tę przysięgę złamał.

– Sędziowie – wychrypiał osiłek głosem, który brzmiałby naturalniej w portowej mordowni niż w budynku sądu – spotkała mnie wielka niesprawiedliwość. Obecny tu Leochares, yyy, syn Apellesa, pochodzący z Aten, zaatakował mnie i mego przyjaciela Ochosa, choć w niczym wcześniej mu nie... nie uchybiliśmy.

Po tym wstępie Skiron przedstawił alternatywną wersję wydarzeń sprzed dwóch dni. Mówił powoli, zacinał się i dukał; czuć było, że zapamiętanie długiej mowy przyszło mu z wielkim trudem. Spomiędzy wszystkich „yyy” i „eee” wyłoniła się następująca historia: Leochares miał jakoby zwabić Skirona i Ochosa do swojego warsztatu, obiecując spłatę długu, po czym napadł ich, jako broni używając rozpalonych do białości narzędzi.

– Pomimo naszych próśb i błagań – kontynuował Skiron z płaczliwą miną, która dziwnie kontrastowała z aparycją ogolonego niedźwiedzia – oskarżony nie zaprzestawał, eee, zadawać nam razów. Kiedy już legliśmy, yyy, u jego stóp, żeby jeszcze dodatkowo nas... nas upokorzyć, zapał jak kogut, który dopiero co zwyciężył walkę, i zamachał ramionami niby skrzydłami...

No, tu już ich trochę poniosła wyobraźnia, pomyślał Leochares. Ewidentnie nie on jeden tak pomyślał – któryś sędzia prychnął pogardliwie, kilku się zaśmiało, ktoś nawet wyzwał Skirona od kłamców. Zrobił się taki harmider, że jeden z sędziów, który od początku rozprawy smacznie chrapał w kącie, podskoczył jak oparzony, po czym zaczął się rozglądać dookoła siebie ze zdziwioną miną, jakby zastanawiał się, czemu do cholery nie jest w swoim łóżku.

– Spokój, spokój, szlachetni sędziowie! – zawołał Skiron z teatralną emfazą, która sugerowała, że ćwiczył ten okrzyk już wcześniej. – Wiem, co sobie, eee, myślicie. Jak oskarżony, człowiek na progu starości, z włosom przypro-, eee, przypre-, yyy, z siwymi włosami, mógł pobić kogoś mojej postury, i Ochosa, który wszak też do ułomków się nie zalicza. Domyślam się, że to będzie też linia obrony oskarżonego. Że przedstawi siebie jako na wpół zniedołężniałego, że zarzuci mi kłamstwo. Nim jednak przesądzicie o, eee, winie bądź niewinności oskarżonego, musicie wiedzieć, z kim dokładnie macie do czynienia.

Leochares wstrzymał oddech. Mowa szła w złym dla niego kierunku. Nawet bardzo złym.

– Jeszcze przed kilkoma laty oskarżony był zbirem na usługach Peryklesa[12], stratega Aten. Na polecenie tego, yyy, demagoga, uciszał przeciwników i mordował tych, którzy sprzyjali Sparcie, naszemu miastu-matce. Później podobną rolę sprawował na dworze dzikiego Satyrosa, w dalekim Pantikapajonie...

Przez ławy sędziowskie przebiegł szmer. Widać było, że przytaczane przez Skirona fakty, ozdobione plotką i wyolbrzymione, zrobiły na nich wrażenie. Leochares już dalej nie słuchał. Osunął się w krzesło, schował twarz w dłoniach. Przeszłość znowu go dogoniła i znów się na nim mści.

Po mowie oskarżyciela odczytano, co prawo stanowi względem bójek i pobić, potem zeznania Ochosa oraz „szlachetnych mężów”, których

Leochares miał przyjemność poznać poprzedniego dnia, i wreszcie świadectwo lekarza, omawiające rany odniesione przez Skirona tak rozwlekle i z takimi szczegółami, że opis tarczy Achillesa w *Iliadzie* wydawał się przy tym zdawkowy. Na koniec Skiron wymienił liczne zasługi, którymi jego rodzina wślawiła się w historii Tarentu, i zaklinał sędziów, by nie wierzyli żalom i łzom oskarżonego.

Wkrótce po tych słowach do dzbanka skapnęły ostatnie krople wody odmierzającej czas. Skiron zasiadł na swoim miejscu, klepsydrę napełniono ponownie. Nadeszła pora na mowę obronną. Leochares przyjął najgorszą możliwą strategię: mówił prawdę. Sędziowie nie udawali nawet, że go słuchają. Rozmawiali, wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, jeden czy dwóch ostentacyjnie odwróciło się do niego tyłem. Wyrok zapadł, nim nawet doszło do głosowania. Leochares nie wykorzystał nawet swojego czasu do końca.

Sędziowie zagłosowali, podliczono żetony. Trzydzieści siedem głosów skazujących, cztery uniewinniające. Leochares nie poprosił o ponowne przeliczenie, o pomyłce nie było mowy, nawet jeśli protokolant był skończonym matołem. Nadeszła kolej na określenie kary. Najpierw miał przedstawić swoją propozycję oskarżyciel. Pewnie zażąda trzy, może cztery miny. Sędziowie się zgodzą. Teraz już nie ma innego wyjścia, musi sprzedać Nanę. Może i na dobre wyszło. Lamia nie będzie już mogła mieć do niego pretensji, a przy okazji pozbędzie się tej żmii z domu, no i może jeszcze zostanie parę drachm, to...

– ...dlatego właśnie, dostojni sędziowie – Skiron wyraźnie zbliżał się do końca mowy, Leochares nadstawił więc uszu – biorąc pod uwagę wszystkie moje, yyy, krzywdy, żądam zadośćuczynienia w wysokości dziesięciu min.

– Ilu?! – Leochares zerwał się z krzesła.

– Dziesięciu min. Tysiąca drachm.

– Odbiło ci?! Skąd ja tyle wezmę?

– Siadaj! – wrzasnął jeden z sędziów, drugi cisnął w Leocharesa nadgryzionym jabłkiem.

– Nie obchodzi mnie to – odparł Skiron z wyraźną satysfakcją. – Trzeba było o tym pomyśleć, zanim mnie napadłeś, zbirze. No i słyszałeś, co powiedział lekarz. Moja twarz nigdy nie będzie taka jak wcześniej.

– Wcześniej też nie była piękna! A już na pewno nie była warta dziesięciu min!

– Cisza! Cisza, do cholery! – darł się bezzębny sędzia w pierwszym rzędzie, waląc pięścią w barierkę.

– Skazany zaproponuje inną karę, kiedy nadejdzie jego kolej! – wtrącił się protokolant, przekrzykując sędziów. – Teraz mówi oskarżyciel!

Leochares usiadł ciężko na krześle.

Pięknie, pomyślał. Po prostu pięknie.

Leochares znalazł wreszcie odpowiedni kamień. Lekki, płaski, idealnie mieścił się w dłoni. Włożył go między kciuk a palec wskazujący, wziął szeroki zamach, kilka razy na próbę nakreślił ręką łuk, wreszcie cisnął nim najsilniej, jak potrafił, w ostatniej chwili podkrecając go jeszcze palcem. Kamień uderzył o taflę wody – po czym zamiast się odbić, od razu poszedł na dno.

No tak, pomyślał z kwaśnym uśmiechem, jakżeby inaczej. Usiadł ciężko na wilgotnym piasku, rozwinął chustę. W środku było kilkanaście omułek, które pozrywał z przybrzeżnych skał. Nie przepadał za nimi, zwłaszcza na surowo, ale ostatniego obola, jakiego miał, wydał na ofiarę dla Ateny. Rezultaty pozostawiały sporo do życzenia, boska interwencja nie nastąpiła – a w żołądku ssało coraz bardziej.

Rozłupał pierwszą muszlę, wyssał małża; smakował jak zimny kozuch z mleka zaprawiony morską solą. Wzdrygnął się, skrzywił, sięgnął po następnego skorupiaka.

– Przepraszam... Leochares? Syn Apellesa?

Leochares podniósł niechętnie wzrok. Stał przed nim młody mężczyzna, z uśmiechem od ucha do ucha, w ozdobnym, wielokolorowym chitonie, czerwonym płaszczu i zielonych butach do połowy łydki, z podwiniętymi noskami. Słowem, wyglądał jak chórzysta z jakiejś komedii, brakowało mu tylko skórzanego fiuta przyczepionego do bioder.

– Mhm – potwierdził Leochares, rozłupując kolejnego omułka. – We

własnej osobie.

– Przeszkadzam?

– Skądże. Siadaj i częstuj się. Czym chata bogata.

Nieznajomy spojrział krytycznie na rozłożone na chuście małże, podziękował grzecznie gestem. Nie skorzystał też z zaproszenia, by usiąść, być może dlatego, że nie chciał ubrudzić ozdobnego płaszcza. Leochares nie miał podobnych skrupułów wobec swojego odświętnego chitonu. I tak nadawał się już tylko na szmaty.

– Jestem Aranth – podjął przybysz po niezręcznej pauzie. Mówił płynną greką, ale z charakterystycznym akcentem. Leochares już go wcześniej słyszał. Oho, pomyślał, Etrusk[13]. – Syn Teitu i Caile.

– Doprawdy?

– Jak najbardziej – odpowiedział Aranth, nie przestając się uśmiechać. Albo ma problemy z wyczuciem sarkazmu, pomyślał Leochares, albo jakiś przygłup.

– Czym zatem mogę ci służyć, synu Tej-tam i Kojle?

– Teitu. Teitu i Caile.

– No mówię przecież.

– Mam dla ciebie zlecenie.

– Oj, spóźniłeś się trochę – odpowiedział Leochares z pełnymi ustami. – Nie mam już warsztatu. Nawet prostych kolczyków z drucika ci nie zrobię. Za to gdybyś chciał rady, jak spieprzyć sobie życie, to służę pomocą. Mam w tej materii spore doświadczenie.

Aranth pokiwał uprzejmie głową, rozejrzał się po pustej plaży, po chwili znów odwrócił się do Leocharesa. Wciąż miał na ustach głupi uśmiech, ale widać było, że jest trochę zakłopotany.

– Przepraszam... Chyba zaszła jakaś pomyłka. Na pewno mam przyjemność z Leocharesem, synem Apellesa?

– Mhm.

– Ateńczykiem?

– Z dziada pradziada.

– Czyli jednak... Bo widzisz, usłyszałem na mieście o twoim procesie. O tobie. I wychodzi na to, że jesteś osobą, której szukam.

– Jeśli Skiron sprzedał ci mój dług, to zrobiłeś kiepski interes, chłopcze. Nie mam ani złamanego obola. I nawet jeśli zlicytujesz wszystko, co posiadam, łącznie ze szmatami, które mam na sobie, to klnę się na wszystkich bogów, dziesięciu min z tego nie będzie.

Aranth uśmiechnął się jeszcze szerzej, zamrugął.

– Nie rozumiem, o czym mówisz – powiedział grzecznie – Może to przez moją grekę. Mógłbyś powtórzyć, tylko powoli i wyraźnie?

Jednak przygłup, zdecydował Leochares, rozłupując ostatniego omułka. Był zepsuty; zaśmierdziało zgnilizną. Zmarszczył nos, cisnął skorupę do morza, wytarł ręce o piach. Zaburczało mu w brzuchu. Czuł, jak skręcają mu się kiszki.

– Mam lepszy pomysł – podjął rozmowę Leochares, lekko się krzywiąc. – To ty wytłumaczysz mi, czemu niby jestem osobą, której szukasz. Tylko tak szybciotko, bo wiesz, gonią mnie pilne sprawy, które muszę załatwić w krzakach.

– Mojego ojca zamordowano – powiedział Aranth, nie przestając się uśmiechać.

– A... Aha – wydukał Leochares. – No to wyrazy współczucia.

– Nie wiadomo, kto to zrobił, a ja muszę go pomścić. Wróżbita odczytał w znakach, że mam szukać pomocy u Greków. Pojechałem drogą, którą wskazały błyskawice. Aż do Tarentu.

– Błyskawice? Błyskawice wskazały ci drogę?

– Oczywiście – odparł Aranth z taką miną, jakby Leochares pytał, czy zdarza się, że w nocy jest ciemno.

– No, dobrze... Mów dalej.

– Usłyszałem na agorze o twoim procesie... I o tobie. Że potrafisz zabić, ale też znaleźć tego, który zabił. Że widzisz więcej niż inni.

– Hmm. Stare czasy.

– Chcę, żebyś mi pomógł.

– Słuchaj – powiedział Leochares, strzepując piasek i kawałki skorupki

z chusty. – To miło z twojej strony i w ogóle, ale chyba jednak te błyskawice cię sprowadziły na manowce. Bo widzisz, jakby to powiedzieć, jestem tu trochę uwiązany. Jak mówiłem, mam do spłacenia dziesięć min, a...

– Już pokryłem twoje zobowiązania.

Leochares zastygł bez ruchu, tylko rozciągnięta chusta trzepotała na wietrze wiejącym od morza niczym flaga.

– Że co?

– Zapłaciłem za ciebie – powtórzył Aranth z dobroduszną miną – Dziesięć min dla Skirona.

– Ale... Dlaczego?

– Bo to ciebie wskazały błyskawice.

Nie dość, że przygłup, pomyślał Leochares, to jeszcze wariat. Aranth chyba zauważył, że coś jest nie tak, bo szybko podbił ofertę.

– Dwa razy tyle dostaniesz, kiedy znajdziesz zabójcę.

Dwadzieścia min, liczył szybko w myślach Leochares, to daje dwa tysiące drachm. Dwanaście tysięcy oboli. Sześć tysięcy dniówek u Hilariona. W życiu nie widział tylu pieniędzy.

– Kim... Kim właściwie był twój ojciec?

– Ach, wybacz, powinienem był powiedzieć od razu. – Aranth złożył ręce w przepaszającym geście i skłonił się lekko. – Królem miasta Veii.

Leochares spojrział na rozłożone na łóżku rzeczy. Filcowy kapelusz z szerokim rondem impregnowany baranim tłuszczem, grubo tkany płaszcz z wełny, który mógł też służyć za koc, dwa zapasowe chitony, sznurowane sandały do kolan, nóż z kościaną rękojeścią i bukłak na wino. Niczego więcej chyba nie potrzebował.

– Kiedy wrócisz? – spytała Lamia.

– Nie wiem. Sama podróż zajmie mnóstwo czasu, a potem... Zobaczy się.

Leochares załadował swoje rzeczy do torby, zarzucił ją na ramię, poprawił ramiączko.

– Aranth wypłacił część wynagrodzenia z góry, więc do zimy nie musicie się o nic martwić. Będzie się wami opiekował Exekias. Mówiłem ci o nim, pamiętasz? Mieszka na końcu ulicy. Przyzwoity chłop.

Lamia kiwnęła głową, podeszła bliżej, pomogła mu zapiąć płaszcz. Miło było poczuć jej dotyk.

– Myślałem, że będziesz się wściekać – powiedział.

– Czemu?

– Bo kiedyś byś się wściekała.

– Kiedyś tak.

Zapięła mu broszę pod szyją, zaczepiła o nią sznurek od kapelusza, poprawiła fałdy płaszcza. Zrobiła krok do tyłu, otaksowała go wzrokiem. Skrzyżowała ręce na piersiach, najwyraźniej zadowolona z efektu.

– Pewnie ci to na rękę, co? Zostaniesz tu sama z tą...

– Proszę, Leo. Nie teraz.

Stał chwilę bez ruchu, wreszcie wzruszył ramionami, otworzył drzwi. Zatrzymał się w progu.

– Wiesz, że mogę w ogóle nie wrócić?

– Mówiłam ci. Ty zawsze spadasz na cztery łapy.

Wyszedł z domu. Na skrzyżowaniu obejrzał się za siebie. Drzwi były już zamknięte.

Inga zajrzała do skrzynki na listy. Coś było w środku. I to nie kolorowa ulotka z budy ze smażonymi kurczakami (w poniedziałki dziesięć skrzydełek za cztery funty, puszka coli gratis), nie rachunek za gaz, tylko elegancka prostokątna koperta z grubego papieru w kolorze écru. To może być to, pomyślała Inga. To musi być to.

Postawiła siatkę z zakupami na chodniku – trochę zbyt gwałtownie, słoiki z sosem pomidorowym brzęknęły ostrzegawczo. Zaczęła grzebać w torebce. Karta do metra, legitymacja studencka, bezbarwna pomadka do ust, szczotka do włosów, papieraek po batonie, chusteczki. Wreszcie znalazła kluczyk do skrzynki – leżał na samym

dnie, wśród okruchów i pomiętych rachunków.

Inga stała chwilę nieruchomo z kluczykiem w dłoni, wpatrzona w szczerzące się do niej drzwiczki skrzynki na listy. No, pomyślała, wóz albo przewóz. Wzięła głęboki oddech, powoli wypuściła powietrze i...

Kluczyk wyślizgnął jej się spomiędzy spoconych palców. Wydawało się, że spada w zwolnionym tempie, leniwie obracając się w powietrzu i efektownie odbijając światło, jak Jedyny Pierścień w jakiejś dramatycznej przebitce z *Powrotu króla*. I właśnie niczym Tolkienowski pierścień, który przepadł w trzewiach Góry Przeznaczenia, wpadł idealnie między pręty kratki ściekowej i zniknął w brunatnej wodzie z cichym *plum*.

– Nie, nie, nie... – jęknęła Inga, klękając przy kratce. – Nie dziś!

Przerwa między prętami miała jakiś centymetr, no, może półtora. Inga była przekonana, że gdyby chciała wrzucić w nią ten cholerny kluczyk, mogłaby próbować dowolnie długo i nic by z tego nie wyszło. Pewnie z boku cała ta sytuacja wydawała się zabawna. Z perspektywy Ingi – tylko wkurzająca.

Wstała, otrzepała spodnie, pokłęła trochę. Niby kobiecie nie wypada, ale to zawsze pomagało jej oczyścić myśli. Zastanawiała się, jakie ma możliwości. Zadzwoić do landlorda, pewnie ma zapasowy kluczyk – ale każe sobie słono zapłacić, jak to on. Pójść na pocztę, zamówić dorobienie nowego – będzie taniej, ale zejdzie się sześć-siedem dni, a może i dłużej. Kolejny tydzień czekania. Nie ma mowy.

Było jeszcze jedno rozwiązanie. Może niezbyt eleganckie, ale Inga uznała, że w tym wypadku cel uświęca środki. Poszperała w torebce, wyciągnęła z niej scyzoryk, gwiazdkowy prezent od ojca – nosiła go ze sobą od kilku lat, bo a nuż się kiedyś przyda. Otworzyła najdłuższe ostrze, po czym wsunęła je bokiem pod drzwiczki skrzynki na listy, tuż pod zamkiem. Rozejrzała się na boki, czy nikt nie patrzy i czy nie nagrywa jej żadna kamera CCTV, po czym pociągnęła mocno za scyzoryk. Metal zazgrzytał o metal, ostrze niebezpiecznie się wygięło, ale drzwiczki podniosły się do góry na tyle, że wyskoczyła zasuwka zamka. Otwarte. Inga podziękowała w myślach kolegom

z podstawówki, którzy nauczyli ją tego triku kiedyś na wagarach; jednak wychowywanie się w złej dzielnicy miało swoje plusy.

Wyciągnęła kopertę. *Ms. Inga Szczęsna* – no proszę, nawet dobrze nazwisko napisali – *214 Plaistow Road, Flat 35, E120AQ, London, UK*. W prawym rogu – znaczek z Kapitołem i kwitnącymi wiśniami. Obok – nadruk z pieczęcią Uniwersytetu Stanforda, samotna sekwoja otoczona dewizą *Die Luft Der Freiheit Weht* („Wieje wiatr wolności”). No, pomyślała Inga, otwierając ramieniem drzwi na klatkę, dla kogo wieje, dla tego wieje.

Weszła do mieszkania. W zlewie niepozmywane naczynia, na grzejniku ubłocone piłkarskie getry, puszki po piwie wysypujące się z kosza na recykling. Słowem, minusy dzielenia kwatery z dwoma facetami. Inga westchnęła, postawiła siatkę z zakupami na klejącym się kuchennym blacie, nie zdejmując płaszcza poszła do swojego pokoju i usiadła na łóżku. Otworzyła kopertę, wyciągnęła list. Zaczęła czytać.

Szanowna Pani! Dziękujemy za zainteresowanie naszym programem stypendialnym. Pani badania wyglądają niezwykle obiecująco. Niestety...

Inga odłożyła list, potarła skronie. Wiedziała doskonale, co będzie dalej.

W tym roku otrzymaliśmy wiele zgłoszeń, decyzja była niezwykle trudna, życzymy powodzenia... bla, bla, bla. Uszanowania, dziekan taki a taki, faksymile podpisu, bo przecież sam się nie pofatyguje, za dużo roboty. Przypięła list do tablicy korkowej – obok wielu podobnych. Powoli kończyło się miejsce. Ale nie czekała już na więcej odpowiedzi, Stanford był ostatni na liście.

Sprawdziła stan konta bankowego na komórce. Wesoły ludzik pokazywał, że na bieżącym rachunku zostało jej trzysta dwanaście funtów, osiemdziesiąt sześć pensów. Na oszczędnościowym z kolei niezmiennie zero, przecinek zero zero. Ostatni przelew stypendium doktoranckiego od Arts and Humanities Research Council przyszedł miesiąc temu, a następnego nie będzie, bo rozprawa już złożona. Trzeba pogadać z promotorem, czy nie mógłby załatwić jej jeszcze

paru godzin zajęć ze studentami. I spytać w pubie na rogu, czy nie szukają przypadkiem barmanki na weekendy.

Inga zagotowała wodę w czajniku i zrobiła sobie kawę rozpuszczalną; dwie czubate łyżeczki, odrobina mleka, bez cukru. Stała przy oknie, z którego rozpościerał się piękny widok na magazyn materiałów budowlanych, tory kolejowe i przychodnię lekarską. Operator wózka widłowego przerzucał palety przy akompaniamencie puszczanej na cały regulator Katy Perry, *You're gonna hear me roar, oh, oh, oh, oh, oh*. Zanosilo się na deszcz. Jak to w Londynie.

Inga miała ochotę wejść do łóżka, owinąć się kocem i pójść spać. Zamiast tego, włączyła wysłużonego laptopa – oczywiście uprzednio podłączając go do prądu, bo na baterii pracował dziesięć sekund, w porywach dwanaście. Wiatraczek komputera zawył i zajęczał, po czym zaczął wypluwać z siebie gorące powietrze. Powinna zanieść go do naprawy, zanim spali się płyta główna, ale cóż, to nie był w tej chwili priorytetowy wydatek. Inga postawiła kubek z kawą tuż przy wywietrzniku, żeby nie ostygła – jak mówili jej angielscy znajomi: jeśli życie już dało ci cytrynę, zrób z niej lemoniadę. Wpisała hasło, *arche04ver*, wyświetliła się tapeta – zdjęcie z wykopalisk w Rumunii. To był dopiero wyjazd. Dwa miesiące spania na zapluskwionym łóżku, pobudki przed świtem i skuwanie kilofem grubej na dwa metry warstwy cegieł, w pełnym słońcu. Zawsze opowiadała o tym ludziom, którzy myśleli, że praca archeologa polega na smyraniu ziemi pędzelkiem.

Włączyła Power Pointa i otworzyła ostatnio edytowaną prezentację – „Doroczna Konferencja Classical Association, Bristol 2015.ppt”. Po chwili na ekranie pojawił się slajd tytułowy. Na środku było zdjęcie ludzkiej czaszki.

τ

– A może tam, na tamtym pagórku? – zaproponował Leochares. Był głodny, zmęczony i zły. – Idealne miejsce na obóz. Całą okolicę będzie widać jak na dłoni, niedaleko do rzeki, a gdyby padało, to zawsze możemy się schować pod...

– O, nie, nie. Nie ma mowy. – Aranth pokręcił głową.

– Bo? Co tym razem ci nie pasuje?

– Dzika grusza – powiedział Etrusk grobowym tonem, wskazując rosnące na szczycie wzgórza drzewo, po czym smagnął osła po zadzie. Zwierzę parsknęło, rzuciło łbem, wreszcie niechętnie przyspieszyło kroku. Widać też już miało na dziś dość podróży.

Leochares przewrócił oczami, zmełł w ustach przekleństwo i pojechał za Aranthem. Jeszcze dwa tygodnie temu spytałby: Grusza? I co z tego, do cholery, że grusza? Teraz już wiedział, że lepiej trzymać język za zębami. Widać to był zły omen. Podobnie jak paprocie, rodząca ciemne owoce figa, jeżyny i dereń. Albo piorun po zachodniej stronie nieba. Albo ptak lecący nisko przy ziemi. Albo usłyszane za dnia pohukiwanie sowy.

Aranth wyciął mu pierwszy taki numer na samym początku podróży, tuż po tym, jak opuścili Tarent. Zamiast od razu odbić na zachód i ruszyć głównym traktem na Neapol, postanowił pojechać na północ, bo przy skrzyżowaniu leżał przewrócony drogowskaz. Leochares próbował mu wytłumaczyć, że niepotrzebnie tracą czas, a jeśli to naprawdę takie ważne, to niech na chwilę zamknie oczy, a on ten drogowskaz postawi z powrotem i będą udawać, że nic się nie stało – ale równie dobrze mógłby się kopać z koniem. Aranth miał swoje zasady, nakazy, zakazy i przestrzegał ich co do litery, sprawiając tym radość niezliczonym etruskim bożkom, przy okazji doprowadzając Leocharesa do szewskiej pasji. Jechali więc na północ bite trzy dni. Wreszcie Aranth kupił barana i tuż po zachodzie słońca poderznął mu gardło kamiennym nożem, a potem rozpruł mu brzuch. Drżącymi rękoma wyciągnął parującą jeszcze wątrobę i położył na ziemi – tuż obok wątroby odlanej z brązu, pokrytej etruskimi literami. Oglądał je potem i porównywał, aż zrobiło się zupełnie ciemno. W końcu obwieścił z ulgą, że najgorsze

minęło i mogą wrócić na drogę prowadzącą na zachód. Leochares bardzo się ucieszył z dobrego znaku od niebios, a jeszcze bardziej, że na kolację była baranina.

Na początku próbował jeszcze zrozumieć Arantha, poznać jego religię – w końcu zapowiadało się, że spędzi wśród Etrusków trochę czasu, a skoro weszło się między wrony, wiadomo, trzeba krakać tak jak one. Leochares podpytał więc, skąd biorą się te wszystkie przykazania – i usłyszał od Arantha historię o tym, jak to dawno, dawno temu pewien Etrusk orał pole i nagle spod pługa wyskoczył bożek o imieniu Tages, który wyglądał co prawda jak dziecko, ale był mądry jak starzec. Tages następnie wyjawiał Etruskom, jak odczytać przyszłość z lotu ptaków, wnętrzości zwierząt, trzęsień ziemi i kształtu błyskawic, po czym hop!, wskoczył z powrotem pod ziemię i zniknął. Leochares wysłuchiwał tego wszystkiego z uwagą, kiwając głową, wtrącając od czasu „mhm” i „ooo?”, żeby dać wyraz swemu zainteresowaniu. Więcej pytań już nie zadawał. Postanowił, że jednak nie będzie krakać, bo wrony mają najwyraźniej nierówno pod sufitem.

Całe szczęście, ich wędrowna dobiegała wreszcie końca – byli tylko o dzień drogi od Veii, miasta, z którego pochodził Aranth; jego mury majaczyły już na horyzoncie. Leochares był zmęczony podróżą. Kark miał spalony słońcem, plecy bolały go od jazdy okrakiem na osie przez kilka dni i spania na gołej ziemi. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie spędzi noc w łóżku. I kiedy będzie mógł choć chwilę pobyć sam, bez Arantha i jego zabobonów.

Etrusk wybrał wreszcie odpowiednie miejsce na obóz – koło kępki wawrzynu, po wschodniej stronie strumienia, pod dębem, na którym rosła parzysta liczba krzaków jemioły. Leochares rozpałił ognisko, zagotował wodę w garnuszku, wrzucił do środka parę pasków suszonego baraniego mięsa, pokrojoną w krążki cebulę, zeschniętą marchewkę. Nie było to może szczególnie wyrafinowane danie, ale do szczęścia nic więcej nie było mu trzeba.

Aranth rozłożył koc po drugiej stronie paleniska. Usiadł, zamknął oczy, po czym polizał palec i przejechał nim po skórze za uchem.

- Co robisz? – spytał Leochares, szatkując pietruszkę.
- Odpędzam złe myśli.

– Mhm. Racja.

Aranth otworzył oczy, spojrzał na Leocharesa.

– Ciebie to śmieszy, prawda?

– Trochę.

– Przecież też macie swoich bogów. Świątynie.

– Niby tak... – odparł Leochares, żałując, że w ogóle zaczął tę rozmowę. – Ale wiesz, nasi są inni. Jakby to powiedzieć... Prości w obsłudze.

– To znaczy?

– To znaczy, że jak czegoś od nich chcesz, to dajesz im coś w zamian. Na przykład ja złożyłem ofiarę Atenie, żeby mi pomogła. No i proszę, pojawiłeś się ty. Spłaciłeś moje długi.

Aranth się uśmiechnął, pokręcił głową. Dorzucił gałąź do ognia.

– Widzę, że teraz to ja rozbawiłem ciebie – powiedział Leochares, dodając pietruszkę do zupy.

– Wybacz... Po prostu nie wiem, jak można wierzyć, że bóg zrobi coś dla ciebie w zamian za glinianą miskę albo kawałek mięsa. Na co im to, skoro mogą mieć wszystko?

Na to Leochares nie miał dobrej odpowiedzi. Nie zastanawiał się nad takimi sprawami. Jakoś tak się składało, że zawsze miał pilniejsze rzeczy do roboty.

– Wszystko jest już zapisane – ciągnął Aranth, wskazując niebo. – Tam, na górze. Wokół nas. Twoja przyszłość, moja. Trzeba tylko umieć odczytać znaki.

– Mhm. I ty to potrafisz, tak?

– Zwykle tak... Choć czasem potrzebuję pomocy kapłana.

– To może powiesz, co mnie czeka? – powiedział Leochares. Zabrzmiało to trochę bardziej zaczepnie, niż zamierzał.

Wieczny uśmiech Arantha zniknął. Etrusk wbił oczy w płomienie.

– Lepiej nie – powiedział po chwili.

Leochares pokiwał głową, nalał im obu zupy. Zjadł w milczeniu kilka łyżek, potem odstawił miskę na bok. Stracił apetyt.

Leochares spodziewał się, że ziemie Etrusków będą dzikie, egzotyczne, na swój sposób może nawet groźne. Oczekiwał podmokłych lasów, ścieżek niknących w gęstej mgle, dochodzącego z oddali wycia wilków czy pisku nietoperzy. Tymczasem okolice Veii były wręcz nieznośnie piękne: łagodne wzgórza, gaje oliwne, winnice, strzeliste cyprysy rosnące wzdłuż dróg w równych szeregach, świeżo skoszone pola, i tak po horyzont, aż chciało się odetchnąć pełną piersią. Po pierwotnej dziczy nie zostało ani śladu, wszędzie widać było rękę człowieka: w biegnących między pagórkami kanałach irygacyjnych, kamieniach granicznych, wreszcie w domach z bloków tufu i suszonej na słońcu cegły. Samo Veii też okazało się zupełnie inne, niż Leochares sobie wyobrażał. Zamiast skupiska ziemianek z krzywą palisadą zobaczył potężne miasto na płaskowyżu otoczone kamiennym murem, z szerokimi ulicami i świątyniami zbudowanymi na grecką modłę, ozdobionymi rzeźbami bogów o migdałowych oczach, z ustami wykrzywionymi w nienaturalnym uśmiechu.

Leochares pokręcił głową. Przypomniały mu się wszystkie historie, jakie słyszał o Etruskach. Że to okrutnicy, którzy składają ofiary z ludzi i lubują się w oglądaniu cudzego cierpienia. Że jeńców wojennych palą żywcem albo kamieniują, a po bitwie morskiej przywiązują pokonanych żeglarzy do ciał poległych i wyrzucają za burtę, żeby dryfowali na gnijącym ludzkim mięsie, aż zginą z pragnienia. Co za bzdury; aż głupio mu było, że dał im wiarę.

Skręcili z głównego traktu w jedną z bocznych ulic. Po obu stronach ciągnęły się bielone domy bez okien. Zza murów, z wewnętrznych ogrodów, wyglądały korony drzew owocowych, słychać było strzępki rozmów w obcym języku, szmer wody – a przede wszystkim grę fletów; ich dźwięk unosił się nad całym miastem niby brzęczenie pszczoł nad ułem.

Dotarli do końca ulicy. Leochares zeskoczył z osła, wygiął plecy; chrupnęło mu w kościach. Dom, przed którym się zatrzymali, był większy od innych; widać było po nim bogactwo. Na drzwiach z dębowych desek wisiała ciężka kołatka z brązu w kształcie twarzy jakiegoś bożka, próg był z białego marmuru, krawędź dachu ozdobiona malowaną terakotą.

– To twój dom? – zapytał Leochares, przywiązując osła w cieniu do pnia rozłożystego drzewa.

- Nie.
- Caile?
- Też nie.
- To czyj?
- Mieszkał tu niewolnik mojego ojca – odpowiedział Aranth.

Leochares popatrzył na Arantha, potem na dom, potem znowu na Arantha. Potarł brodę.

- Coś nie tak? Nie podoba ci się?
- Nie, ujdzie. Tylko powiedz... A psy gdzie trzymacie?
- W budach... Nie rozumiem, czemu pytasz?
- Nieważne. No, wejdźmy już, usiadłbym.

Aranth przekręcił klucz w zamku, otworzył drzwi. Wąski korytarz prowadził na wewnętrzny dziedziniec, na którego środku znajdowało się prostokątne oczko wodne wyłożone kamiennymi płytami; tafłę mętnej wody przeciął spłoszony topik.

– Tu na lewo jest sypialnia – Aranth wskazał uchylone drzwi. – A na wprost jadalnia, z której jest wyjście na ogród. Tam obok...

Leochares nie słuchał. Pociągnął nosem. Czuł jakiś nieprzyjemny, drażniący nos zapach. Może butwiejące liście na dnie oczka wodnego. Może ktoś zostawił jedzenie na wierzchu w kuchni. Ale nie... Odór dochodził skądinąd. Odwrócił się. Sypialnia. Drzwi były lekko uchylone. Aranth zamilkł, spojrzał na niego pytająco.

Leochares nie odpowiedział. Wyciągnął nóż, wszedł do środka. Stado tłustych much natychmiast zerwało się do lotu. Na łóżku, w pościeli czerwonej od zakrzepłej krwi, leżał pies. Nogi miał połamane, wykrzywione pod nienaturalnym kątem. Gardło rozcięte. A między zębami coś jasnego. Może kość.

Leochares powstrzymał odruch wymiotny, rozwarł nożem stężale szczęki psa, odsunął spuchnięty język. Z pyska wypadła gliniana figurka pokryta śliną i krwią. Leochares wytarł ją pospiesznie, obejrzał. Przedstawiała zakneblowanego człowieka z rękoma związanymi za plecami.

Uwaga! – z głośników rozległ się znajomy kobiecy głos. *Nadjeżdża pociąg linii Hammersmith and City. Proszę odsunąć się od krawędzi peronu, a przy wsiadaniu uważać na przerwę między wagonem a krawędzią peronu... Dziękuję za uwagę.*

Po chwili komunikat powtórzył przez megafon ubrany w odblaskowożółtą kamizelkę pracownik Transport for London. Mimo że na peronie stała tylko Inga. Jakies trzy metry od niego.

Na stację Plaistow wtoczył się pierwszy tego dnia pociąg metra, cyfrowy zegar pokazał 5.28. Inga przewiesiła podróżną torbę przez ramię, weszła do wagonu. Był zupełnie pusty; rzędy brudnych siedzeń i płatanina zlewających się ze sobą żółtych rur, jak wygaszacz ekranu z lat dziewięćdziesiątych.

Inga, nauczona doświadczeniem, usiadła tuż przy drzwiach. Przez szparę wpadało trochę powietrza – gorącego i zatęchłego, ale zawsze. Dokładnie naprzeciwko niej wisiał plakat z modelką w bikini. *Czy twoje ciało jest już gotowe na sezon plażowy?*, pytała zalotnie uśmiechnięta blondynka o idealnie płaskim brzuchu, prezentując suplement diety, który potrafi zdziałać cuda. Nie twój zasrany interes, odpowiedziała jej w myślach Inga, po czym wyciągnęła *Grę o tron*.

Podróż zleciała jej szybko – prawie przegapiła swoją stację, dworzec Paddington. Wyskoczyła przez drzwi w ostatnim momencie, prosto na chłopaka w spodniach w kant i eleganckiej koszuli w prążki z podwiniętymi rękawami. Wyglądał na prawnika, który wracał do domu po nocy spędzonej w biurze. Nadepnęła mu na stopę, prawie wywróciła. Chłopak ją przeprosił, nie wiadomo za co, po czym spuścił wzrok i wszedł do wagonu. Inga uśmiechnęła się pod nosem. Anglicy potrafią być uroczy.

Pociąg do Bristolu odjeżdżał o czasie, z peronu dziewiątego. Na dworcu otwierały się pierwsze bary i kafejki – z budki Cornish Pasties rozchodził się okropny zapach starego tłuszczu, kioskarz wykładał gazety na stojak, w kawiarni kelnerka czyściła blaty stołów, podrygując w rytm muzyki sączącej się z białych słuchawek. Deszcz

bębnił o przeszklony dach; słońce niby już wstało, ale wciąż było sennie i szaro. Inga włożyła pomarańczowy bilet do czytnika, futurystyczna szklana bramka otworzyła się z sykiem.

Wnętrze pociągu było już mniej futurystyczne, raczej retro. Inga wyciągnęła laptopa, podłączyła go do prądu. Chciała jeszcze popracować nad prezentacją. To była jej ostatnia nadzieja, ostatnia deska ratunku. Może ktoś ją zauważy, zapamięta. Poprosi, żeby przyjechała dać odczyt, zapyta, czy nie chce dołączyć do zespołu badawczego, zachęci do ubiegania się o jakieś stanowisko asystenckie. Cokolwiek.

Dojechała do Bristolu na czas. Przestało padać, więc postanowiła, że na uniwersytet pójdzie piechotą, żeby zaoszczędzić na bilecie (funt pięćdziesiąt, czyli prawie dziesięć złotych, podpowiadał jej uczynnie wewnętrzny kalkulator, którego mimo usilnych starań nie była w stanie wyłączyć). Szybko tego pożałowała. Droga prowadziła pod górę – nie pagórek, nie górkę, tylko górę właśnie. Po kilkunastu metrach się zziajała, potem musiała przewiesić torbę na drugie ramię, a w połowie drogi zrobić sobie przerwę. Kiedy wreszcie dotarła na kampus, koszula lepiała jej się do ciała, a pod pachami miała mokre plamy, mimo że przed wyjściem trzy razy smarowała się dezodorantem, tak na wszelki wypadek. Dwudziestoczerogodzinna ochrona, pomyślała, mhm, pewnie. Chyba jak się leży.

Weszła do neogotyckiej wieży, gdzie odbywała się konferencja, zarejestrowała się. Dostała identyfikator – tym razem w nazwisku był już błąd, według organizatorów nazywała się *Inag Sceszny*. Zawsze ją fascynowało, jak oni to robią – dostają przecież wszystko w formularzu zgłoszeniowym, wystarczy przekleić albo przepisać, czy to naprawdę takie trudne? A może to jednak złośliwe żarty, politycznie poprawny sposób na okazanie swoich uczuć wobec imigrantów? *Inag Sceszny*, cholera jasna.

Poza identyfikatorem z twórczą interpretacją jej imienia, Classical Association sprezentowało Indze jeszcze gustowną płócienną torbę z nazwą konferencji, datą i logo w kształcie delfina oraz długopis i notatnik z plastikową kłapką. Dobrze wiedzieć, że pieniądze z wpisowego zostały dobrze wydane.

Inga otworzyła program, sprawdziła salę, w której miała prezentację. Przed nią występował profesor Miller z Cambridge. Kojarzyła go z zeszłorocznej konferencji w York. On jej już prawdopodobnie nie. To znaczy, kiedy się z nim przywita, on na pewno szeroko się uśmiechnie i zapewni, że bardzo mu miło, spyta, co słyhać, i tak dalej, a potem powie, że idzie sobie zrobić kawę, do zobaczenia później, ale ono nigdy nie nastąpi. Odbywała już takie rozmowy.

Przed oficjalnym rozpoczęciem konferencji była oczywiście integracja w kuluarach. Inga rozpaczliwie szukała jakiejś znajomej twarzy, kogokolwiek, z kim można by wymienić uwagi o pogodzie, spytać, jak minęła podróż i jak się mają dzieci. Nie rozpoznała jednak nikogo, a na myśl o tym, że ma podejść i się przedstawić, robiło jej się słabo. Zamiast tego czytała więc wnikliwie ulotki wydawnictw uniwersyteckich, które nie interesowały jej w najmniejszym stopniu, sprawdzała co chwila komórkę – cudowny wynalazek, który pozwalał niezależnie od okoliczności wyglądać na niezwykle zajętą osobę – oraz przechadzała się korytarzem w tę i z powrotem, podziwiając sklepienia kolebkowe. Raz przystanęła przy kółeczku archeologów dyskutujących o zniszczeniach stanowisk w Syrii dokonanych przez bojowników Państwa Islamskiego, kiwała mądrze głową i siorbała letnią kawę. Czas włókł się niemiłosiernie, ale pół godziny networkingu w końcu upłynęło i można było rozejść się na wykłady.

Sala, w której odbywała się jej sesja – „Cmentarze, Nekropolie, Grobowce: Nowe Perspektywy” – szybko się zapełniła. Inga usiadła w tylnym rzędzie pod ścianą. Miller dawał odczyt o rzymskim cmentarzu z drugiego wieku naszej ery. Suche sprawozdanie z wykopalisk, bez jakiejś głębokiej interpretacji znalezisk, ale nie nudziła się – Miller i jego ekipa odkryli parę ciekawych rzeczy, w tym szkielet, któremu odcięto po śmierci głowę i umieszczono ją między nogami; pewnie jakaś biedna kobieta, którą oskarżono o czarną magię. Potem standardowo – ostatni slajd z adresem e-mailowym i podziękowaniami, leniwe oklaski, pytania, których celem nie jest to, żeby się dowiedzieć czegoś więcej, tylko żeby dowieść własnej erudycji, jakiś suchy żarcik, ha, ha, ha, kolejna runda oklasków.

A potem słuchacze wyszli z sali. Prawie wszyscy, z wyjątkiem koordynatora sesji, który musiał tu zostać, czy tego chciał, czy nie, chłopaka w zapiętej pod szyję koszuli i tweedowej marynarce, który wyglądał jak typowy doktorant; dziewczyny w wełnianej czapce i okularach w rogowej oprawce, która ewidentnie bardzo nie chciała wyglądać jak typowa doktorantka; i szczupłej siwej kobiety w szarym golfie, grającej zapamiętałe w Candy Crush na iPadzie. No tak, pomyślała Inga, podłączając dysk z prezentacją do komputera, to tyle jeśli chodzi o sławę, bogactwo i oferty pracy. Koordynator sesji spojrzał na nią współczująco, wzruszył bezradnie ramionami, jakby chciał powiedzieć: „przecież siłą ich nie zatrzymam”. Kusiło ją, żeby rzucić wszystko w cholerę, trzasnąć drzwiami i wrócić do Londynu wcześniejszym pociągiem. Problem w tym, że wydział mógłby zażądać zwrotu dofinansowania na wyjazd, a wtedy musiałyby chyba przenieść się do przytułku. No dobra, powiedziała sobie w myślach, miejmy to jak najszybciej za sobą.

– Witam państwa – zaczęła zwyczajowo, choć „państwo” składało się raptem z trzech osób. – Nazywam się Inga Szczęsna, Sh-tch-en-sna. Jestem doktorantką na wydziale archeologii University College of London i chciałabym państwu opowiedzieć dziś o niezwykłym pochówku z Tarentu, zwanym przez włoskich archeologów *Tomba di un Uomo Misterioso*, czyli „grobem tajemniczego mężczyzny”...

Leochares nabrał ziemi na łopatę, wrzucił ją do dołu – i odetchnął z ulgą. Truchła psa nie było już widać. Jeszcze parę ruchów i dół był zasypany do reszty. Odłożył łopatę, wytarł ręce o himation i wyszedł z ogrodu. Na stole stał dzban pełen wina i pękate kubki. Leochares nalał sobie, wypił duszkiem. Wino było trochę cierpkie, ale nie przeszkadzało mu to.

– Czyli jednak trzymasz psa w domu – powiedział, ocierając usta. – Ba, nawet pozwalasz mu spać w łóżku.

– To nie pora na żarty – odparł Aranth. – Ta figurka... To zły znak.

– Mhm. Tak zakładałem.

– Charun, bóg, który prowadzi dusze w zaświaty... Czasem ukazuje się

jako człowiek z psimi kłami. Czasem jako pies. A ta statuetka...

– To miałem być ja.

– Tak. Ktoś życzy ci śmierci.

– Tego też się domyśliłem. – Leochares napełnił ponownie kubek. Gestem zaproponował wino Aranthowi. Etrusk wpierw odmówił, ale zaraz zmienił zdanie. – Powiedz mi coś, czego nie wiem. Czemu figurka miała związane ręce? Czemu pies miał połamane nogi?

Aranth upił mały łyk wina, odstawił ostrożnie kubek na stół, wzdrygnął się.

– Ze złamanymi nogami Charun nie może zboczyć z obranej drogi – powiedział wreszcie. – A ty, mając związane ręce, nie możesz się obronić.

– No tak – powiedział Leochares, wznosząc kubek jak do toastu. – Jak to u was. Wszystko jest już zapisane.

Upił wina. Z każdym kolejnym łykiem było mniej cierpkie.

– Dobra, dość o klątwach i przepowiedniach. Pogadajmy o konkretach. Kto wiedział, że pojechałeś mnie szukać? Kto poza tobą ma klucz do tego domu? No i komu może zależeć na tym, żebym nie odkrył, kto zabił twojego ojca?

Rozmawiali długo; słup światła wpadający na dziedziniec przesuwiał się powoli po podłodze, odmierzając czas. Ojciec Arantha, Caile, miał wielu wrogów, jak to człowiek władzy: miejscowych arystokratów mających chętkę na tron, królów innych etruskich miast, wreszcie jakichś tam Rzymian, z którymi Veii od wieków prowadziło wojny. O wyprawie po Leocharesa – czy raczej „Greka, którego wskazali bogowie” – wiedzieli wszyscy krewni zamordowanego króla, potem wieść pewnie rozeszła się po mieście. Zapasowy klucz do domu mogło wziąć wiele osób, nie było jak sprawdzić, kto i kiedy to zrobił. Poza tym do środka można było się włamać albo po prostu przejść przez mur.

– Dobra – przerwał Leochares – w ten sposób nigdzie nie dojdziemy. Pokaż mi lepiej, gdzie zabito twojego ojca.

– Jutro. Późno już.

– Może i tak, ale jak widzisz, czas goni.

– Wybacz – przerwał mu Aranth – ale moja macocha nie będzie już dziś chciała z tobą rozmawiać.

– To porozmawiam z nią jutro. Co to ma do rzeczy?

Aranth poprawił bogato zdobiony himation, uśmiechnął się niezręcznie.

– No co? – spytał Leochares.

– To przed nią będziesz odpowiadać.

– Chyba żartujesz. Mam się meldować jakiejś babie?

– Tak... Chociaż lepiej, żeby Seianti nie słyszała, że tak o niej mówisz.

Leochares wstał od stołu i zaczął chodzić po pokoju. Cholerni barbarzyńcy.

– Cudownie. Cudownie, cholera jasna!

– Nie sądziłem... – Aranth był wyraźnie zaskoczony jego reakcją. – Nie sądziłem, że ci to będzie przeszkadzać. Znaczący... Że aż tak.

– No, przeszkadza. Bardzo nawet.

– Wybacz... Jeśli chcesz, możesz jeszcze wrócić.

Zapadła cisza. Leochares podszedł do stołu, podniósł kubek. Był pusty. Chciał dolać sobie wina, ale w końcu odsunął naczynie.

– To o której jutro przyjdiesz? – zapytał po chwili.

– Z rana. Wcześniej przyślę sługę z jedzeniem.

– To jesteśmy umówieni.

Leochares odprowadził Arantha do wyjścia. Etrusk zatrzymał się w drzwiach.

– Na pewno chcesz tu zostać? Po tym, co znalazłeś w sypialni?

– Mhm. Tylko powiedz, gdzie znajdę świeżą pościel.

Po zachodzie słońca ucichły flety, swój koncert rozpoczęły za to cykady. Leochares przewrócił się z boku na bok. Poprawił poduszkę. Podciągnął koc pod brodę, ale grubo pleciona wełna drażniła skórę. Ściągnął koc, rzucił go na podłogę. Leżał przez jakiś czas bez ruchu, potem zaklął, uniósł się na

łokciu, strzepnął piasek z prześcieradła, położył się znowu. Po dłuższej chwili westchnął, wstał z łóżka i poszedł do jadalni. W dzbanku chyba jeszcze coś zostało.

Usiadł ciężko na krześle, położył nogi na stole. Spojrzał przez otwarte drzwi do ogrodu; świeżo zasypyany dół odcinał się wyraźnie od zadbanego trawnika. Sprawa zapowiada się ciekawie, pomyślał. Wpierw to serdeczne powitanie. Potem okazuje się, że tak naprawdę nie będę pracować dla Arantha, tylko jego macochy. Seianti.

Niezbyt mu się to uśmiechało, nie spodziewał się tego. Z rozmów z Aranthem wiedział już co prawda, że etruskie kobiety chodzą po mieście, jak im się podoba, same, bez nadzoru mężczyzny, i do tego nie zasłaniają twarzy chustą ani parasolką, że kładą się razem z mężczyznami do uczyty i nawet, o zgrozo, pozwala im się oglądać igrzyska... Ale zakładał, że jego to nie będzie dotyczyć. Że sobie chwilę na to wszystko popatrzy, pokręci z politowaniem głową, po czym wróci do swojego śledztwa. Tymczasem wychodziło na to, że baba będzie mu mówiła, co ma robić.

W sumie to nic nowego, pomyślał, przełykając wino. W domu miał przecież podobnie, a nawet gorzej. Tam nie dość, że ustawia go po kątach żona, to jeszcze i niewolnica. Absurd; jak w jakiejś głupiej komedii, które wystawiają na Dionizjach[14]. Gdyby to rzeczywiście była sztuka, grałby go aktor w masce z rozdziawioną w wiecznym zdziwieniu gębą, w peruce siwych włosów, wypchanym na brzuchu himationie i z obwisłym fallusem z cielejącej skóry, którego przydeptywałyby sobie od czasu do czasu ku uciechu gawiedzi. Widzowie wołaliby: „Za tobą! Odwróć się!”, a on kręciłby się bezradnie, zawsze o krok za późno, żeby zobaczyć, co się dzieje, machałby bezsilnie laską i złorzeczył. Oj, śmiechu by było a śmiechu.

Z Lamią od dłuższego czasu źle mu się układało. Nie dogadywali się. Miała do niego żal – o ich biedne i podłe życie, o tułaczkę z jednego końca świata na drugi. Ale nie sądził, że zacznie go zdradzać. A jeśli już, to z tym ładnym chłopakiem z naprzeciwka, który wodził za nią oczami, odkąd się sprowadzili do Tarentu, albo z tym garbarzem, co miał warsztat na drugim końcu ulicy – może i śmierdział starym moczem, w którym wyprawiał skóry, zgoda, za to wyglądał jak młody bóg. Ale żeby z kobietą? Z niewolnicą? Pod jego dachem?

Odkrył to pewnego wiosennego dnia. Uwiął się z robotą wcześniej, niż planował; posprzątał narzędzia i pogwizdując pod nosem, poszedł na agorę. Akurat miał wtedy trochę pieniędzy, sprawy układały się nie najgorzej, kupił więc kilka świeżych makrel i sardynek, suszonych owoców, koziego sera, nawet amforę wina z Chios – na specjalną okazję. Niedaleko domu zobaczył małego Teodorosa, który uganiał się za piłką razem z innymi chłopcami. Nie przeszkadzał mu, zresztą miał ręce pełne zakupów; otworzył barkiem drzwi, wszedł do środka.

Wtedy usłyszał Lamię. Przeciągle jęki. W myślach widział ją na schodach, ze złamaną nogą; poślizgnęła się, jak niosła na górę pranie, całe naraz, żeby nie chodzić dwa razy. Albo krwawiącą, z rozciętą ręką, wypadek w kuchni, nie uważała z nożem, jak to ona. Albo w uścisku włamywacza, który myślał, że dom jest pusty, i poniosły go nerwy; jego dłonie na jej szyi, Lamia rzuca się, słabnie, z trudem łapie oddech, oczy wywracają jej się już białkami na wierzch.

Rzucił wszystko na podłogę, amfora odtoczyła się na bok, ryby upadły z mokrym plaśnięciem na świeżo umytą podłogę. Pobiegł na piętro, skacząc po trzy, cztery stopnie, otworzył drzwi do sypialni. I zobaczył ją na łóżku, z chitonem podciągniętym pod samą brodę, twarzą schowaną w poduszce, dłońmi na piersiach. Nanę klęczącą pomiędzy jej nogami, jej usta niknące w kępcę ciemnych włosów, rumiane policzki, półprzymknięte oczy.

Minęła dobra chwila, nim go zauważyły. Nana wybiegła z pokoju. Leochares i Lamia wpierw na siebie krzyczeli, potem rozmawiali, coraz ciszej i ciszej. Spytał, jak długo to trwa. Od dawna, odkąd wypłynęli z Bosporu. Czemu? Nie odpowiedziała, ale to nie szkodzi, i tak znał odpowiedź. Miał jeszcze inne pytania. Lamia odpowiadała niechętnie, patrząc w bok, co jakiś czas ocierając łzy. Była zażenowana, speszona. Ale nie przeprosiła.

Siedział potem długo na dachu, skubiąc na wpół przypaloną, na wpół surową makrelę. Przypomniały mu się wszystkie ukradkowe spojrzenia, szepty, skrzywienie podłogi nocą, niby przypadkowe muśnięcie dłoni. Nie zwracał na to uwagi. Rok, drugi, trzeci. On, człowiek od rozwiązywania zagadek. Naprawdę, jak w głupiej komedii.

Nie wiedział, co zrobić. Gdyby nakrył ją w łóżku z mężczyzną, zabiłby go

na miejscu – sprawa byłaby oczywista, sąd uniewinniłby go bez głosu sprzeciwu. Ale kobieta... Co miał zrobić z kobietą, choćby i niewolnicą? Niby mógł uderzyć, ale miał problem z szacunkiem do siebie i bez tego. Niby mógł ją sprzedać, ale wiedział, że Lamia już nigdy by się do niego potem nie odezwała. Mimo wszystko nie chciał jej tego zrobić. Jeśli już nie ze względu na miłość, to przez wzgląd na stare czasy.

Udawali więc, że nic się nie stało. Leochares nie odzywał się do Nany, a ta schodziła mu z drogi ze wzrokiem wbitym w podłogę. Zawsze wchodził do domu na tyle głośno, żeby nigdy już nie sprawić Lamii podobnej niespodzianki. Zaczął dużo więcej czasu spędzać z synem i poza domem. Szybko poznał wszystkie tawerny w Tarencie.

Leochares westchnął, przetarł oczy. Nalał resztkę wina do kubka, czekał cierpliwie, aż skapną ostatnie kropelki. Wypił, odstawił niedbale kubek na stół; naczynie zsunęło się i roztrzaskało o podłogę. Leochares popatrzył chwilę na lśniące od wilgoci skorupy, wreszcie wzruszył ramionami i wrócił do sypialni. Zasnął i spał jak zabity, choć poduszka wciąż była za twarda, koc gryzł, na prześcieradle był piach, a cykady nie przestawały grać.

Leochares szedł powoli. Bolała go głowa, a żołądek ciążył mu jak kamień. Nie powinien był tyle jeść, ale to śniadanie... Od dawna nie miał na stole takich smakołyków. Ciastka z orzechów i miodu. Granat, figi, winogrona. Oliwki czarne i zielone, suszone rybki białe od soli. Pieczywo, prosto z pieca, parzyło palce. Do tego oliwa z poszatkowanym drobno czosnkiem i liśćmi tymianku, ocet, kubek maślanki. Jadł, aż zjadł wszystko, a potem jeszcze pozbierał okruchy i wytarł nimi miski.

- Dobrze się czujesz? – spytał Aranth.
- Wybornie – odparł Leochares, tłumiąc beknienie.
- Tak...? No to w drogę.

Miasto budziło się ze snu. Greckie, etruskie – bez znaczenia, wszędzie wygląda to tak samo. Kolejki do studni, szcęk sztucców, chrzęst kół toczących się na rynek wozów, drapanie brzytwą o namydloną skórę, chór kaszlnięć i ziewnięć. Leochares szedł niespiesznie, pogrążony w myślach.

Przypominał sobie, co Aranth mówił mu o swojej rodzinie.

Matka Arantha, Teitu, umarła kilkanaście lat temu. Głupia sprawa – zacięła się, krojąc jabłko. Rana nie chciała się zagoić, potem zaczęła ropieć, kilka dni później przyszła gorączka i dreszcze. Nie pomogli lekarze ani wróżbici, nie minął miesiąc i złożyli ją do grobu. Ale Caile widać szybko otarł łzy – bo wkrótce potem poślubił Seianti. Oczywiście, pochodziła z arystokratycznego rodu. Oczywiście, była od niego znacznie młodsza. Oczywiście, była też piękna. Z tego, co dało się wywnioskować ze zdawkowych słów Arantha, okazała się dobrą żoną, ale chyba niezbyt dobrą macochą. Może dlatego, że miała niewiele więcej lat niż jej pasierb.

Aranth się zatrzymał, Leochares prawie na niego wpadł. Przeprosił, podniósł wzrok z ziemi – i oniemiał. Dom, przed którym stali, zasługiwał na miano pałacu. Okute lśniąca brązową blachą drzwi otworzył odźwierny ubrany w tkaniny, którymi w Atenach ozdobiono by posągi bogów w podzięce za wygraną wojnę. Oczko wodne na wewnętrznym dziedzińcu było ogromne – wydawało się, że można by na nim zwodować średniej wielkości okręt – a ogród tak bujny, że łatwo byłoby się w nim zgubić. Wszędzie widać było kolory bogactwa, purpurę i złoto, w powietrzu unosił się zapach ziół i perfum Dalekiego Wschodu. Rzeczywiście, w porównaniu z tymi wnętrzami dom, w którym zatrzymał się Leochares, nadawał się tylko dla niewolnika.

Aranth skręcił w boczny korytarz pewnym krokiem kogoś, kto znał tu każdy kąt i zakamarek; służby schodzili mu z drogi, gnąc się w ukłonach. Etrusk stanął przy wejściu do jednego z pokoi, zapukał. Odpowiedział mu kobiecy głos, jakieś krótkie słowo w ichnim języku. Aranth pchnął lekko drzwi, skinął głową w stronę Leocharesa.

- Seianti czeka na ciebie.
- Jak to? To ja mam sam...? Z nią?
- Tak zażądała.

Leochares poczuł się nieswojo. Przyzwoita grecka kobieta prędzej dałaby się żywcem pokroić, niż pozwoliła zamknąć się sama w pokoju z obcym mężczyzną. Nie przyjmowałyby interesantów. A już na pewno nie śmiałyby żądać niczego od swojego syna.

Wszedł do środka. Seianti leżała na kanapie, wsparta na grubych

puchowych poduszkach. Jedną nogę trzymała wysoko, opartą o stołek; zgrabna kostka, smukła łydka. Na kolanach miała rozłożone woskowe tabliczki pokryte gęstym pismem. Uniosła głowę. Miała trzydzieści kilka lat. I wielkie niebieskie oczy, którymi przyglądała mu się z ciekawością, bez cienia zażenowania. Leochares nie wytrzymał spojrzenia, odwrócił wzrok.

– A więc to o tobie mówiły przepowiednie... – powiedziała Seianti bezbłędną greką. – Szczerze mówiąc, myślałam, że będziesz młodszy.

– Kiedyś byłem, pani.

Uśmiechnęła się. Odłożyła tabliczki na bok.

– Ale umysł wciąż szybki, jak widzę. To ważne. Siadaj, proszę.

– Dziękuję. Postoję.

– Jak wolisz.

Leochares rozejrzył się po pokoju. Bogato zdobione ściany. Kwiaty w smukłym srebrnym dzbanie. Brązowe lustro z wygrawerowaną sceną. Agamemnon i Klitajmestra, zdaje się[15].

– Zakładam, że Aranth powiedział, po co zostałeś wezwany – podjęła Seianti. – I ustalił wysokość wynagrodzenia.

– Zgadza się, pani.

– Daj już spokój z ceremoniałem, jesteśmy sami. To co teraz?

Bez zbędnych ceregieli, pomyślał Leochares. Może to i lepiej.

– Zadam ci parę pytań. Potem będę chciał się rozejrzeć.

– Dobrze. – Wyprostowała plecy, odgarnęła włosy z czoła. – To zaczynamy.

Leochares odchrząknął, potarł nos, jeszcze raz omiótł pokój wzrokiem. Odbite od dzbana zajaczki migotały na suficie.

– Nie wyglądasz na pogrążoną w żałobie.

– To nie jest pytanie.

– Jest. Tylko nie chcę zadać go wprost.

Seianti wbiła wzrok w Leocharesa. Uśmiech zniknął z jej ust. Podniosła woskowe tabliczki.

– Jak myślisz, co właśnie czytam?

– Nie wiem. Nie znam się na kobiecych gustach.

– To księgi przychodów i rozchodów.

– Mhm. Dużo ich – Leochares zaczął ostrożnie. – Duży dom, to pewnie i dużo wydatków...

– To księgi przychodów i rozchodów królestwa – odparła Seianti, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Zrobiło się cicho. Rozmowa ewidentnie się nie kleiła.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– Odpowiedziałam. Tylko nie wprost. – Seianti uniosła się na łokciu. – Król umarł, ale królestwo trwa nadal. Brat Arantha, Velthur, założył już koronę, ale nie wie jeszcze, jak rządzić. A ja byłam u boku Caile blisko dekadę. Doradzałam mu, pomagałam, podejmowałam z nim posłów. Veii potrzebuje teraz mojego doświadczenia. Nie żałobnych pieśni.

Seianti opadła na poduszki i skrzywiła się lekko, jakby z bólu.

– Opłakałam go. Pogrzebałam. A teraz ty pomożesz mi go pomścić. To jest, o ile przepowiednie tym razem się nie pomyliły.

Leochares odczekał chwilę, zaczął jeszcze raz.

– Opowiedz w takim razie, jak zginął Caile.

– Był tego dnia na polowaniu – odpowiedziała po chwili Seianti. – Wrócił dopiero w nocy. Krótko rozmawialiśmy. Miał fatalny humor, bo cały dzień zasadzał się na dzika, a w końcu wrócił z pustymi rękoma. Poszedł się umyć. Ja dałam jego ubrania praczce, a potem czekałam na niego w łóżku. Tam usłyszałam krzyk służby.

Przerwała na chwilę. Zacisnęła dłoń na skraju tuniki.

– Leżał w wannie z poderżniętym gardłem. Kazałam zamknąć dom. Przesłuchałam wszystkich, łącznie z Aranthem i Velthurem.

– I co?

– Przyboczny Caile, Lethne, widział, jak niedługo przed... przed tym wszystkim Rasce, nasz niewolnik, szedł otworzyć tylne drzwi w ogrodzie. Lethne mówił, że Rasce się skradał, oglądał za siebie. Wzbudziło to jego podejrzenie, więc podszedł sprawdzić, o co chodzi.

– I co się stało?

– Rasce uderzył go w głowę. Lethne stracił przytomność. Kiedy się ocknął, drzwi do ogrodu były uchylone... A Caile już nie żył.

– A co z Rasce?

– Siedział przy drzwiach. I płakał. Z początku myślałam, że to może on... Ale nie było na nim nawet kropli krwi. A Caile... On...

– Poderżnięto mu gardło. A tego nie można zrobić, nie brudząc sobie rąk.

– Tak wtedy pomyślałam.

– I miałaś rację. Do przybocznego jeszcze wrócimy... Ale to potem. Ten Rasce powiedział, komu otworzył drzwi?

– Nie. A wierz mi... Zrobiłam wszystko, żeby rozwiązać mu język.

Leochares wierzył. Seianti nie wyglądała na kogoś, kto mdleje na widok krwi.

– Żyje jeszcze?

– Jeszcze. Pomyślałam, że może sam będziesz chciał spróbować... go przekonać.

– Może później. Wpierw pokaż mi łazienkę.

– Caile nie żyje już ponad miesiąc. – Seianti machnęła ręką – Nic tam już nie znajdziesz.

– Mimo to chcę, żebyś mi ją pokazała. Osobiście, jeśli mogę prosić.

Seianti mierzyła go wzrokiem. W końcu odłożyła tabliczki na stół.

– Oczywiście – powiedziała. – Daj mi tylko chwilę.

Wstała powoli, opierając się o meble. Sięgnęła po laskę; piękna robota, czarne drewno z Afryki ze spiczastą końcówką okutą brązem. Ruszyła w stronę drzwi, cały ciężar opierając na lewej nodze, prawą miała lekko ugiętą w kolanie.

– To świeży uraz?

– Wręcz przeciwnie. Spadłam z konia, jak byłam jeszcze młodą dziewczyną. Kość nigdy się dobrze nie zrosła.

– Boli?

– Mhm. Cały czas. Ale można się przyzwycząić.

Dojście do łazienki zajęło im sporo czasu. Seianti szła przodem. Czuć było, że cały dom nasłuchuje stukania jej laski, że ciche *tok, tok* odmierza tu rytm dnia. Kiedy się zbliżała, urywały się rozmowy, niewolnicy zamiatali dokładniej kurze, nawet Aranth, po drugiej stronie dziedzińca, w ogrodzie, bezwiednie wyprostował plecy. Leochares miał niejasne przeczucie, że młoda Seianti nie spadła z białego kucyka, jeżdżąc w kółko po polance, a raczej na polowaniu, skacząc nad przewalonym drzewem. Z oszczepem w ręku.

Weszli do łazienki. Małe pomieszczenie bez jakichkolwiek ozdób. Na środku stała wanna odlana z brązu, prosta, pozbawiona dekoracji. Tu król i jego rodzina byli sami, bez świadków, z dala od oczu poddanych i wrogów. Tu nie musieli myśleć o tym, jakie wywrą wrażenie. Leochares rzucił okiem za drzwi, obejrzał dokładnie ściany i podłogę. W paru miejscach dostrzegł wyblakłe, ledwie widoczne plamki krwi. Poza tym nic.

– Mówiłaś, że usłyszałaś krzyk. I co potem?

– Przybiegłam tu, oczywiście. – Uśmiechnęła się krzywo. – Albo raczej przykuśtykałam.

– Kto go znalazł?

– Jedna z naszych niewolnic, Agathe. Praczka. Stała w drzwiach, o tu, musiałam ją odepchnąć, żeby wejść.

– Rozumiem. Caile leżał głową w stronę...?

– Ściany.

Leochares podszedł do ściany naprzeciw wejścia, kucnął, spojrzał w stronę drzwi. Przejechał dłonią po ziemi.

– Kiedy weszłaś, podłoga była mokra?

– A jakie to ma znaczenie?

– Duże. Postaraj się sobie przypomnieć.

– Nie... Chyba nie. Tylko krew... Ale to raczej na ścianie.

– Mhm. Mhm. – Leochares wystawił głowę na korytarz, rozejrzał się. – No dobrze. Niczego więcej się tu nie dowiem.

– A dowiedziałeś się czegokolwiek?

– Nawet kilku rzeczy.

Seianti oparła się o wannę, syknęła z bólu, ostrożnie odstawiła laskę, po

czym skrzyżowała ramiona na piersiach.

– No, to opowiedz. Niech zobaczę, na co idą nasze pieniądze.

– Caile zginął z rąk kogoś, kogo dobrze znał. I komu ufał.

– Bo?

– Bo nie zareagował, kiedy morderca wszedł do łazienki, mimo że musiał go widzieć. Nie zawołał po pomoc. Nie zerwał się, nie wyskoczył z wody. Leżał spokojnie. Pozwolił mu obejść całą wannę, stanąć za plecami... I zginął szybko. Nie bronił się.

– Może spał.

– Wątpię. Po pierwsze, powiedziałaś, że był w złym humorze, bo nie udało mu się polowanie. Pewnie ciągle myślał, gdzie popełnił błąd, co należało zrobić inaczej, żeby dorwać tego dzika, który sobie z niego zakpił. Uwierz mi... Wiem, jak to jest.

– A co? Często polujesz? – zapytała lekko zdziwiona Seianti.

– Nie. Często jestem w złym humorze. No, a po drugie... – zawiesił głos.

– Po drugie?

Leochares zastanawiał się, czy powiedzieć, co ma na myśli. To mogło źle zabrzmieć. No, ale całe to spotkanie i tak wykraczało poza ramy dworskiej etykiety, greckiej czy etruskiej.

– Po drugie wiedział, że czekasz na niego w łóżku – powiedział wreszcie.

– Więc zakładam, że chciał jak najszybciej się umyć i iść do sypialni.

Seianti prychnęła, pokręciła głową.

– To było nie na miejscu.

– Wręcz przeciwnie. To poszlaka.

– Mhm. Skup się może na innych poszlakach.

– Jak sobie życzysz. Morderca musiał doskonale znać ten dom. Doszedł do łazienki, nie budząc nikogo, nie zwracając na siebie uwagi. Wiedział, których korytarzy unikać, które drzwi otworzyć.

Seianti kiwnęła głową, podniosła się. Leochares wyciągnął rękę, żeby jej pomóc. Nie skorzystała.

– Wychodzi na to, że wiesz, co robisz... To co teraz? Pójdiesz zobaczyć

Rasce?

– Tak, porozmawiam z nim i z tą praczką, a potem z przybocznym, tylko wpierw... – zawahał się. – Chociaż... To bez sensu. Nieważne.

– To ja o tym zadecyduję.

Leochares rzucił jej spojrzenie z ukosa. Lubiła wydawać rozkazy. I trzeba przyznać, że nieźle jej to wychodziło.

– Myślałem, żeby obejrzyć ciało Caile... Ale zgaduję, że dawno już go pogrzebaliście. Poza tym minął ponad miesiąc. Nawet jeśli morderca zostawił jakieś ślady, wszystko się już zatarło.

Seianti stuknęła rytmicznie laską o podłogę, widać było, że nad czymś myśli.

– Pokażę ci coś – powiedziała po chwili. – Chodź.

Caile miał szeroką mocną szczękę, wysokie kości policzkowe, niskie czoło i niewielki okrągły nos z pieprzykiem na lewym skrzydełku. Widać było po nim lata – skórę przecinały głębokie bruzdy, oczy otaczała gęsta sieć zmarszczek. Nie nosił wąsów ani brody, włosy miał przystrzyżone krótko, a brwi krzaczaste. Nie był przystojny. Ale wyglądał na kogoś, komu do twarzy w koronie.

– Niesamowite – powiedział Leochares, podnosząc żółtobrazową maskę pod światło. – To wosk, prawda?

– Tak. Robimy takie maski tuż po śmierci.

– Po co?

– Żeby nowe pokolenie mogło spojrzeć w oczy przodkom.

I mieć koszmary do końca życia, dopowiedział w myślach Leochares. Przejechał palcem na kraniec maski. Cienka, głęboka szczelina na szyi. Rana, od której zginął, zadana jakimś ostrym narzędziem, najpewniej nożem.

– I co? Też się czegoś dowiedziałaś? – zapytała Seianti. Nie patrzyła na maskę. Widać źle ją ocenił, ból był jeszcze żywy.

– Niespecjalnie. Rana na szyi, tak jak mówiłaś... Poza tym jakieś drobne nacięcia na policzkach. A co z resztą ciała? Były jakieś inne obrażenia?

– Nie. A sama przygotowałam ciało do pogrzebu... Zauważyłabym.

Leochares pokiwał głową, odłożył maskę na stół. Wytarł spocone dłonie. Seianti delikatnie owinęła podobiznę męża w białą chustę. Jakby bała się zrobić mu krzywdę.

– Jaki on był? – spytał Leochares.

– Dumny. – Seianti uśmiechnęła się smutno. – Uparty. Odważny.

– Dobre cechy u króla.

– Zgadza się.

– Ale niekoniecznie u męża.

Zamknęła drzwi od szafki z trzaskiem, obróciła się w jego stronę. Czuł, że gra jej na nerwach.

– Nie narzekałam – ucięła rozmowę.

– Rozumiem. Wybacz, jeśli...

– Aranth zaprowadzi cię do Agathe i Rasce.

Leochares zrozumiał, że rozmowa właśnie dobiegła końca. Ukłonił się lekko i ruszył do wyjścia.

– Czekał – zatrzymała go Seianti. – Nie powiedziałaś, jak masz na imię.

– Wybacz. Miałem wrażenie, że cię to zupełnie nie interesuje.

– Faktycznie, nie interesowało mnie. Ale teraz już interesuje.

– Leochares.

– Leochares... – powtórzyła powoli Seianti, smakując nowe słowo. – Ładnie. No, idź już.

Ukłonił się, wyszedł na dziedziniec – i odetchnął z ulgą. Nareszcie mógł przestać wciągać brzuch.

– ...rzeczony pochówek – Inga kontynuowała swój wykład, niezrażona tym, że kobieta w golfie, stanowiąca jedną trzecią jej słuchaczy, ciągle grała na iPadzie. Dobrze, że chociaż raczyła wyłączyć dźwięk... – został odkryty w trakcie prac wykopaliskowych na cmentarzu Via Marche, największej nekropolii starożytnego

Tarentu, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku. Opis znaleziska został opublikowany przez kierownika wykopalisk, profesora Mario Manciniego, we włoskim periodyku „Taras”, numer piętnasty, strony trzysta do trzysta siedemnaście.

Ale nim przejdziemy do samego grobu, chciałabym przedstawić państwu kluczowe informacje na temat Tarentu i nekropolii Via Marche. – Inga włączyła następny slajd. Coś chyba było nie tak z ustawieniami kontrastu w projektorze, bo mapka była zupełnie nieczytelna. Niezbyt się tym przejęła. – Tarent został założony w siedemset szóstym roku przed naszą erą przez wygnanych ze Sparty osadników, tak zwanych *hoi Partheniai*, dosłownie „synów dziewczyc”. Według niektórych historyków byli to potomkowie spartańskich kobiet i niewolników, wedle innych, dzieci urodzone poza związkami małżeńskimi w trakcie wojen messeńskich. Inne źródła, niewątpliwie promowane przez czułych na punkcie swego wizerunku mieszkańców Tarentu – tu słuchacze mieli się uśmiechnąć, oczywiście nikt tego nie zrobił – stanowią, że miasto zostało założone przez herosa Tarasa, syna Posejdona. To on właśnie, płynący okrakiem na delfinie, widnieje na monetach Tarentu, jak na przykład na tej drachmie z czwartego wieku przed naszą erą.

Początkowo Tarent był monarchią, ale w połowie piątego wieku zmienił ustrój na demokratyczny. Od samego początku był skonfliktowany z miejscowymi ludami, takimi jak Japygowie, Messapiowie czy Lukańczycy, i toczył z nimi długie i krwawe wojny. Mimo początkowych porażek Tarent okazał się ostatecznie zwycięski, a późny piąty i czwarty wiek przed naszą erą to okres dynamicznego rozwoju i rozkwitu miasta. Trzeci wiek to już niestety wojny z Rzymem, które, mimo licznych zwycięstw sprowadzonego tu na odsiecz przysłowiowego króla Pyrrusa, zakończyły się porażką i aneksją miasta przez wiecznie głodną ziemi republikę. Mieszkańcy Tarentu, przeszło trzydzieści tysięcy osób, zostali sprzedani w niewolę, a ich domy i świątynie splądrowane przez legionistów.

Do dzisiaj zachowało się z greckiego Tarentu niewiele – *klik*, kolejny slajd, koordynator sesji rysuje zygzaki na programie konferencji – fragmenty muru obronnego, dwie kolumny z szóstego

wieku przed naszą erą i liczne groby, w tym właśnie wspomniana nekropolia Via Marche. Choć najstarsze znalezione tu pochówki pochodzą z piątego wieku przed naszą erą, z układu ulic można wywnioskować, że jej początki sięgają jeszcze epoki archaicznej. –

Inga planowała, że powie tu jeszcze o rodzajach grobów, praktykowanych obrzędach i omówi lokalną sztukę funeralną, ale postanowiła sobie odpuścić. Wyglądało na to, że nikt nie będzie miał do niej pretensji, jeśli skończy trochę przed czasem.

– *Tomba di un Uomo Misterioso* znajduje się w centralnej części cmentarza, na poboczu głównego traktu wiodącego do miasta. – *Klik*, slajd z czarno-białym zdjęciem. Prostokątna dziura w ziemi, leżący na wznak szkielet, dary grobowe ułożone w nogach. – Na pierwszy rzut oka wydaje się zupełnie zwyczajny. Standardowa pozycja i orientacja ciała. Typowe podarki: kilka glinianych naczyń, parę monet, które pozwalają wydatować pochówek na ostatni kwartał piątego wieku przed naszą erą. Kości są zachowane dość dobrze, dzięki czemu ekipa profesora Manciniego mogła stwierdzić, że szkielet należał do mężczyzny w wieku około czterdziestu–sześćdziesięciu lat.

Jednakże wystarczy przyjrzeć się nieco uważniej, a stanie się jasne, czemu Włosi ochrzcili pogrzebanego mężczyznę mianem *Misterioso*. – Inga widziała, że słuchacze, niestety, nie mają ochoty niczemu się przyglądać, a już zwłaszcza uważnie. Siwa kobieta w golfie grała dalej w najlepsze. Doktorant w koszuli zapiętej pod szyję z trudem powstrzymywał ziewanie, doktorantka w wełnianej czapce była zaabsorbowana swoimi paznokciami. Koordynator przeszedł tymczasem od rysowania zygzaków do bardziej skomplikowanych wzorów. Ochrzciała ich wszystkich w myślach innym włoskim mianem, którego nauczyła się zeszłego lata od neapolitańskich kierowców.

– Zaczniemy może od tego, że złożone w podarku naczynia to ateńskie lekyty biało gruntowane, które występują niezwykle rzadko poza Attyką. Dołóżmy do tego fakt, że monety znaleziono nie w okolicy głowy, gdzie zwyczajowo kładło się zmarłym opłatę dla Charona, a przy samych stopach, jakby były umieszczone w sandałach albo tuż pod nimi. Co więcej, nie są to wyłącznie emisje

tarenckie, z Tarasem płynącym okrakiem na delfinie, którego widzieliście państwo na wcześniejszym slajdzie. Znalaziono monety z innych greckich miast, takich jak Krotona, Syrakuzy czy Lokry Epizefiryjskie. Wreszcie, proszę zwrócić uwagę na to – *klik*, zdjęcie ze zbliżeniem na czaszkę. – Sztuczny ząb z kości słoniowej w oprawie ze złota, wstawiony w żuchwę. Rzecz zupełnie nieznaną wśród Greków, za to odnotowana wśród Etrusków.

Teraz przyjrzymy się bliżej jednemu ze wspomnianych lekytów. – *Klik*, odrys cylindrycznego naczynia z szerokim wylewem. – Profesor Mancini napisał, że narysowana tu scena wymyka się interpretacji. Pozwolę sobie się nie zgodzić. Widać przecież wyraźnie, że mamy tu mężczyznę stojącego na stromym zboczu, z wyciągniętymi przed siebie rękoma. A tu, z prawej, duży okrągły kształt. Moim zdaniem mamy tu do czynienia z przedstawieniem Syzyfa, który na próżno stara się wtoczyć głaz na szczyt góry. – Koordynator sesji oderwał na chwilę wzrok od swoich bohomazów, poprawił okulary. – Syzyf jest postacią na swój sposób paradoksalną. Niby jest doskonale wszystkim znany, często opisywany, ale jednocześnie bardzo rzadko pokazywali go artyści. W *Lexicon Iconographicum Mythologiae Classicae*, gdzie zebrane są przedstawienia postaci mitologicznych w antycznej sztuce plastycznej, Syzyfowi poświęcono tylko jedną stronę, dla porównania Herakles ma kilkanaście. Proszę jednak zauważyć, że zebrane tam wyobrażenia niepokornego króla Koryntu są bardzo zbliżone do postaci namalowanej na omawianym lekycie.

Warto zadać sobie pytanie, czemu *Uomo Misterioso* dostał taki właśnie podarek. Czy życzą mu podobnego losu w zaświatach, wiecznego cierpienia? A może wręcz przeciwnie, miał być to komplement? Może żalobnicy uważali, że dorównywał Syzyfowi sprytem? Może, podobnie jak on, wielokrotnie oszukał śmierć? – Inga zrobiła dramatyczną pauzę. Nawet siwa kobieta z trzeciego rzędu odłożyła iPada do plecaka. Może wreszcie zainteresowała się odczytem. A może wyczerpała jej się bateria. – Niestety, te pytania pozostają bez odpowiedzi. Sztuka, jak zawsze, pozwala na wiele interpretacji. Zmierzymy się za to z innym zagadnieniem. Kim właściwie był *Uomo Misterioso*?

Profesor Mancini – kontynuowała Inga, nalewając wody do plastikowego kubka; zaschło jej już trochę w gardle – jest zdania, że był to bogaty tarencki kupiec. To by tłumaczyło, skąd jego rodzina znalazła się w posiadaniu rzadkich w tym regionie waz, jak również monet z wielu okolicznych miast. Można również teoretyzować, że wstawił sobie sztuczny ząb w trakcie wyprawy handlowej do jednego z etruskich miast, takich jak Vulci, Tarquinii, Veii czy Caere.

Znów jednak nie mogę się zgodzić z szanownym profesorem Mancinim – powiedziała Inga nie bez satysfakcji. Szanowny profesor Mancini był bowiem wrednym, starym dziadem, który cmokał na widok studentek. – Chciałabym państwu przedstawić alternatywną interpretację, opartą na inskrypcji z nagrobka znalezionej nieopodal *Tomba di un Uomo Misterioso* znacznie wcześniej, bo gdzieś na początku dziewiętnastego wieku. Reprodukcję tej steli można znaleźć w mało znanej dziś książce, *Descrizione Topografica di Tarento*, rok wydania tysiąc osiemset jedenasty. Proszę spojrzeć.

Klik. Wapienna płyta. Dwa imiona.

Leochares postanowił, że na początku pójdzie do praczki, która pierwsza znalazła ciało zamordowanego króla. Jej imię, Agathe, brzmiało z grecka. Okazało się, że to nie był przypadek – pochodziła z Syrakuz. Jako dziecko została porwana przez piratów i sprzedana w niewolę. Podły los, ale miała szczęście w nieszczęściu – Caile chciał, żeby ktoś nauczył jego małych synów greki. Opowiadała im więc legendy o Tezeuszu, o wyprawie po złote runo, o przeklętym Edypie, upadku Troi i tułaczce Odyseusza. Wygodne życie skończyło się, kiedy chłopcy podrośli. Została praczką. Ciężka praca, ale przynajmniej traktowano ją lepiej niż większość niewolników. Nie nosiła śladów po biciu.

Leochares znalazł ją nad rzeką. Klęczała na brzegu, zgięta w pół, z rękoma zanurzonymi po łokcie w lodowatej wodzie, szorując zabarwioną na soczystą zieleń tunikę. Pogwizdywała jakąś rzewną melodię, a wiatr targał jej siwe włosy.

– Można zająć chwilę? Jestem...

– Ooo, jak miło słyszeć grekę! – Agathe obróciła się, wytarła ręce. – Ty musisz być ten Leochares, prawda?

– Zgadza się.

– Mówili mi, że przyjdiesz. W sprawie króla... Co słyszać w świecie?

– Słucham?

– No, co u naszych?

– Jak zwykle. – Leochares wzruszył ramionami. – Leją się nawzajem.

– A co w Syrakuzach? Masz jakieś wieści?

– Agathe, jeśli można... Umówmy się, że wpierw to ja będę zadawał pytania, zgoda? A potem plotki.

– Oczywiście... Wybacz, tak rzadko widzę tu swoich, że...

– Spokojnie, jeszcze sobie pogadamy. A na razie Caile. Jak to było?

– No, weszłam do łazienki i jak się nie wydarłam...

– Nie, nie, czekaj – Leochares przerwał jej, wziął głęboki oddech. – Po kolei, od początku. Co pamiętasz z dnia, w którym zginął?

– Hm... – Agathe założyła kosmyk włosów za ucho. – Wstałam o świcie, jak zawsze. Wzięłam brudy nad rzekę, tu właśnie, i cały dzień prałam. A gorąco było, że kark sobie spiekłam na czerwono.

– Mhm. I co dalej?

– Wróciłam do domu, zjadłam kolację... Już się miałam kłaść, jak słyszę konie pod domem. Znaczy, król cały wrócił, można odetchnąć. No, a za chwilę wezwała mnie królowa, Seianti znaczy, i cisnęła mi jego płaszcz. Że śmierdzi i uprać trzeba.

– Jak to po całym dniu w drodze. – Leochares chciał jak najszybciej uciąć wątek higieny osobistej Caile i przejść do tego, co istotne.

– Prawda. No, to zaniósłam ten płaszcz do brudów... I przypomniałam sobie, że nie wyłożyłam w łazience czystych ręczników, a król pewnie się myć poszedł i nie będzie miał się czym wytrzeć. To złapałam jeden i zaraz do niego poszłam. I...

– I?

– Ech, no i co może być? Wszędzie krew... Nie żył. Szyję wpół miał

przeciętą, o tak! Zaczęłam się drzeć... I zaraz cały dom się zleciał. Królowa, Aranth, reszta niewolników...

– Widziałaś jakieś ślady na podłodze?

– Nie... – zmarszczyła czoło, podrapała się za uchem. – A przynajmniej nie pamiętam.

– A zauważyłaś coś dziwnego w ogrodzie?

– Nie przyglądałam się... Potem słyszałam, że tam Lethne leżał, przyboczny króla... Że Rasce go uderzył, że drzwi komuś otworzył. Co wstąpiło w tego chłopaka? Zawsze taki usłużny był wobec króla, a za naszą królową toby już w ogień skoczył...

– A ktoś inny ze służby dziwnie się potem zachowywał? Unikał innych, zrobił się nagle kłótlivy?

Agathe pokręciła przecząco głową. Leochares zadawał jej kolejne pytania, wypytywał o domowników, o ich zwyczaje, o zachowanie Caille w ostatnich tygodniach. Niewolnica była pomocna, odpowiadała wyczerpująco, może nawet przesadnie wyczerpująco. Niestety, Leochares nie potrafił wyłowić z tego natłoku słów niczego, co rzuciłoby nowe światło na śmierć etruskiego króla. W końcu się poddał, podziękował Agathe za pomoc, a potem zgodnie z obietnicą powiedział jej pokrótce, co dzieje się w Syrakuzach i innych greckich osadach na Sycylii. Agathe spijała z jego ust najbardziej nawet błahe szczegóły, cieszyła się jak dziecko z każdej informacji o ukochanym domu, który z coraz większym trudem przywoływała do życia w pamięci.

W końcu Leochares musiał się pożegnać. Miał zamiar tego dnia przeprowadzić jeszcze jedną rozmowę, która zapowiadała się znacznie mniej przyjemnie.

Więzienie, w którym trzymano Rasce, znajdowało się na obrzeżach miasta. Prosty, nieco zapuszczony budynek – gdyby nie strażnicy przed wejściem, ciężko byłoby domyślić się jego funkcji. Po przejściu przez próg nie było już miejsca na wątpliwości. Rząd solidnych okratowanych drzwi, smród krwi, gnijącej słomy, ludzkiego gówna. Tu się czekało na śmierć.

Leochares spojrzął na Arantha. Widać było, że etruski książę czuje się

nieswojo. Całą drogę do więzienia milczał. Pobladł, pod pachami miał plamy od potu. Nerwowo przygryzał wargi.

– Coś nie tak? – zapytał Leochares.

– Można tak powiedzieć.

– A można powiedzieć coś więcej?

Aranth odpiął płaszcz, poszedł powiesić go na wieszaku; kiedy zobaczył go z bliska, zmienił zdanie.

– Seianti powiedziała ci, kim jest Rasce? – przewiesił płaszcz przez ramię.

– Niewolnikiem.

– Prawda... Ale niecała. Był naszym ulubionym sługą. Towarzyszył Caile na wojnie i polowaniach, był na każde wezwanie Seianti. A dom, w którym mieszkasz... Był jego.

– Mhm. – Teraz Leochares poczuł się nieswojo. – No, wygodne życie.

– Znam go od dawna. Traktowałem go jak... Może nie jak przyjaciela, ale kogoś bliskiego. Rozumiesz?

Leochares spojrział na drugi koniec korytarza. Na ciemne plamy na podłodze.

– Nie musisz tam ze mną iść.

– Muszę. Rasce nie mówi po grecku.

– Chyba że tak... – Leochares nie wiedział, co więcej powiedzieć, więc po prostu poklepał Arantha po plecach. Tylko w jednej celi był więzień. Strażnik odsunął ciężki skobel, otworzył im drzwi.

Rasce nawet się nie obrócił, żeby zobaczyć, kto wszedł. Nie mógł. Metalowa obroża, którą miał na szyi, była przypięta do ściany łańcuchem na tyle krótkim, żeby uniemożliwić jakikolwiek ruch głowy. Tortura – ale na pewno nie najgorsza, jakiej Rasce doświadczył. Plecy pokryte miał otwartymi ropiejącymi ranami. Skóra na ramionach nosiła ślady przypalania. Wyrwano mu paznokcie.

Leochares obszedł niewolnika, ostrożnie stawiając stopy, unikając wijącego się na podłodze robactwa. Twarz Rasce pokrywały siniaki – świeże, w kolorze dojrzałej śliwki, i stare, niezdrowo żółte. Oczy miał tak opuchnięte, że ledwie co widział, a wargi były prawie czarne od zakrzepłej

krwi. Pewnie przygryzał je, kiedy bolało, czyli często i długo. Mimo wszystko było jednak widać, że Rasce musiał kiedyś być pięknym mężczyzną. O delikatnej chłopięcej urodzie.

– Powiedz mu, po co przyszliśmy – powiedział Leochares.

Kilka słów w obcym języku. Leochares rozpoznał tylko imiona. Seianti, Caile.

– Spytaj, komu otworzył drzwi.

Etrusk powtórzył pytanie, cicho, prawie szeptem. Rasce odpowiedział dopiero po dłuższej chwili. Jeszcze ciszej. Niewyraźnie.

– Mówi, że nikomu.

– To czemu je otworzył? Czemu uderzył Lethne?

Szept Arantha. Jęk. Porwana, chaotyczna odpowiedź. Wymieszana ze śliną krew ciekła przez połamane zęby, spływała po brodzie.

– Mówi... Mówi, że nie powie.

– Dlaczego?

– Tego też nie chce powiedzieć.

– Wytłumacz mu, że jeśli tego nie zrobi, to zginie.

Drżący głos Arantha. Potem chwila ciszy, zduszony szept.

– Mówi, że zginie i tak.

I ma rację, pomyślał Leochares, wyrok może być tylko jeden. Spojrzał Rasce w oczy – czy raczej w to jedno oko, które było widać spod opuchniętych powiek. Policzył wszystkie blizny, krwiaki, nacięcia. Dni, które minęły od morderstwa Caile. Westchnął, wyprostował się, otrzepał ręce.

– Chodźmy stąd.

Aranth spojrzał na Leocharesa z niedowierzaniem. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, zaprotestować, ale nie zdążył. Leochares już wyszedł przed więzienie. Oparł się o ścianę. Odchrząknął, splunął.

– Ju... już? – spytał zdyszany Aranth.

– A co? Chciałbyś tam jeszcze posiedzieć?

– Nie... Tylko... Nie sądziłem, że tak szybko się poddasz.

– Jeśli po tych wszystkich torturach Rasce wciąż nie chce powiedzieć,

kogo kryje, nic już z niego nie wyciągnę. A męczyć dla samego męczenia nie lubię.

Leochares ruszył chwiejnym krokiem w stronę miasta. Ale po chwili się zatrzymał.

– Zabijecie go teraz, prawda?

– Tak.

– Kiedy?

– Dziś wieczorem – odparł Aranth. – Na cmentarzu.

– Będzie dużo ludzi?

– Tak... Reszta naszej rodziny, przedstawiciele innych rodów. Kilkadziesiąt osób.

– Chcę przy tym być – powiedział Leochares. – Zobaczyć ich reakcje. A ty nadstaw ucha. Jeśli usłyszysz coś dziwnego, coś podejrzanego, daj mi znać.

– Zgoda. – Aranth kiwnął głową.

– To do zobaczenia. Ja... Muszę chwilę odpocząć. A... i jeszcze jedno.

– Tak?

– Twój płaszcz. Upuściłeś go w celi.

Aranth obejrzał się w stronę więzienia. Ale nie zawrócił.

– Płyta nagrobna ma kształt prostokątny – powiedziała Inga, po czym upiła łyk ciepłej niegazowanej wody – sto czterdzieści trzy centymetry wysokości, trzydzieści dwa szerokości, pięć grubości. Na górze widać dwie rozety w reliefie wypukłym, obie dwanaście centymetrów po przekątnej, jedna zachowana doskonale, druga lekko obłupana. Taki rodzaj dekoracji jest charakterystyczny dla sztuki funeralnej z drugiej połowy piątego wieku przed naszą erą. To ważne, jeszcze do tego wrócę.

Tu, tu i tu – czerwona kropka laserowego wskaźnika przesuwiała się po czarno-białym zdjęciu – widać ślady polichromii. Niestety, nie

sposób stwierdzić, jakiego koloru użyto ani co konkretnie przedstawiało malowidło. Na środku znajduje się prosta inskrypcja. Zanim przejdziemy do jej treści, pozwolę sobie zaznaczyć, że krój liter, zwłaszcza sigmy i alfy, również wskazuje na drugą połowę piątego wieku przed naszą erą.

Inskrypcja jest prosta, składa się jedynie z dwóch słów: *Leochares Apellou*, dosłownie „Leochares Apellesa”, czyli „Leochares, syn Apellesa” – koordynator sesji wrócił do swoich rysunków. Inga pomyślała, że minął się z powołaniem, zamiast siedzieć na uniwersytecie, powinien mazać sprejem po pociągach. – Wydawałoby się, że z tak lakonicznego napisu niewiele można wywnioskować. Ale na wszelki wypadek rzućmy okiem do *Lexicon of Greek Personal Names*. Dla tych z państwa, którzy nie zajmują się grecką epigrafiką, krótkie wytłumaczenie: jest to stale aktualizowana baza danych, w której zebrano wszystkie występujące w inskrypcjach greckie imiona, z uwzględnieniem ich dystrybucji geograficznej.

Jak państwo widziecie – ciągnęła Inga, włączając następny slajd; zdjęcie nagrobku zastąpiły dwie tabelki – imię „Apelles” jest bardzo rozpowszechnione. Dwadzieścia pięć odnotowanych przypadków z wysp Morza Egejskiego i Cypru, czterdzieści trzy z Attyki, dwanaście z Włoch i Sycylii, i tak dalej. Słowem, nic nam to nie mówi. Apelles z naszej inskrypcji mógł pochodzić z dowolnej części greckiego świata.

Całe szczęście, imię jego syna jest bardziej pomocne. Proszę spojrzeć. „Leochares”, pisane omegą, pojawia się w bazie danych *LGPN* w sumie trzydzieści razy, z tego dwadzieścia osiem w Atenach i okolicy, raz w osadach Morza Czarnego i raz na wyspach Morza Egejskiego. Ze źródeł pisanych znamy z kolei innego Ateńczyka: aktywnego w czwartym wieku przed naszą erą rzeźbiarza o imieniu Leochares, prawdopodobnego twórcę słynnego Apolla Belwederskiego. Jak widać, „Leochares” jest imieniem względnie częstym w Atenach, ale rzadko spotykanym w innych częściach świata greckiego.

Zaraz powiem, jakie to ma znaczenie, ale wróćmy na chwilę do zdjęcia nagrobku z *Via Marche* – kontynuowała Inga, myśląc już

głównie o tym, że z kolei ona za chwilę będzie mogła wrócić do domu. – Proszę spojrzeć na dolną krawędź płyty. Wychodzi z niej prostokątny kamienny występ, dwadzieścia jeden centymetrów długości, pięć centymetrów wysokości, dwa szerokości. Takiego rodzaju kamienne wypustki służyły mocowaniu nagrobka w ziemi. U szczytu grobu zakopywano ciężki kamień z wyciętym otworem, do którego następnie wsuwano występ steli. Rozumiecie państwo, coś jak klocki Lego. – Inga przeczytała gdzieś, że w dobrej prezentacji co kilka minut musi paść żart, żeby rozluźnić atmosferę. I atmosfera rzeczywiście musiała być luźna, bo doktorant w zapiętej pod szyję koszuli przysnął z głową opartą o ścianę. – Dzięki takiej przeciwwadze nagrobek stał prosto nawet przy silnych wiatrach czy niewielkich osunięciach gruntu.

Czemu o tym wszystkim państwu mówię? – Inga zadała przygotowane wcześniej retoryczne pytanie, choć tak naprawdę bardziej chciałyby wiedzieć, po co to wszystko mówi. – Wróćmy do zdjęcia z publikacji profesora Manciniego, w której opisano *Tomba di un Uomo Misterioso*. Proszę spojrzeć na górną część fotografii. U szczytu grobu leży kamień z prostokątnym otworem. Dwadzieścia jeden centymetrów długości, pięć głębokości, dwa szerokości: wymiary idealnie pasujące do steli Leocharesa. To nie wygląda na przypadek, prawda?

Konkluzja nasuwa się sama. – Inga oparła się o pulpit. – Odkryta w dziewiętnastym wieku stela Leocharesa, syna Apellesa, musiała przynależeć do omawianego grobu. Zgadzą się nie tylko wymiary, ale też daty: ostatni kwartał piątego wieku przed naszą erą dla pochówku, wnioskując z monet, i druga połowa piątego wieku przed naszą erą dla steli, jak wynika z analizy epigraficznej i rodzaju użytej dekoracji.

Kolejny wniosek jest taki, że *Uomo Misterioso* był prawdopodobnie Ateńczykiem. Wskazują na to nie tylko białe gruntowane lekyty, charakterystyczne dla ateńskiego obrządku pogrzebowego, ale również imię zmarłego, „Leochares”, które, jak widzieliśmy, występuje prawie wyłącznie w Attyce. Być może *Uomo Misterioso* był również kupcem, jak chce profesor Mancini, ale takiej interpretacji nie da się

jednoznacznie potwierdzić na podstawie znalezisk.

To wszystko. – Inga ukloniła się, wyłączyła rzutnik, po czym dodała z grzeczności: – Dziękuję państwu za uwagę.

Klap. Klap. Klap. Oklaski były niemrawe, jakby puszczone w zwolnionym tempie. Doktorantka w hipsterskiej czapce skorzystała z okazji, żeby wyjść, już ostatnie pięć minut wierciła się ciągle w krzesło. Koordynator sesji wstał, zapalił światło; palce miał pobrudzone tuszem.

– Dziękujemy za fascynujący odczyt, pani Shtesny – zaczął, a Inga zastanawiała się, czy mówi poważnie, czy się z niej nabija. – Czy są jakieś pytania?

Cisza. Inga wyciągnęła dysk zewnętrzny, spakowała go do torby.

– Czy wiadomo, jaka była przyczyna śmierci?

Inga podniosła głowę. To ta siwa kobieta w golfie.

– Nie – odpowiedziała, lekko zdziwiona. – Ale kości nie zostały dokładnie zbadane. Stwierdzono tylko wiek i płeć.

– Aha. A myślała pani, żeby zrobić analizę izotopów strontu i tlenu w szkliwie zębowym? Można by porównać wyniki z geologią Attyki i zweryfikować pani teorię o pochodzeniu tego całego *Uomoh Meesteriosoh*. – Inga skrzywiła się, słysząc, jak kaleczony jest jej ukochany włoski. Naprawdę, Anglicy nie mieli smykałki do języków obcych.

– Myślałam. Ale nie miałam pieniędzy na takie badania.

– Skoro nie ma więcej pytań – zaczął koordynator sesji, kiedy tylko wybrzmiała ostatnia głoska jej odpowiedzi – zapraszam na kawę i ciasteczka. Przerwa trwa do godziny dwunastej.

Kobieta w golfie ukloniła się i wyszła. Koordynator zgasił światło.

Inga zabrała swoje rzeczy i zgodnie z sugestią koordynatora poszła do stołu z ciasteczkami. Wyładowała nimi kieszenie, a potem pojechała prosto na dworzec kolejowy, przygryzając wciąż dolną wargę, żeby się nie popłakać.

Procesja żałobników opuściła miasto tuż po zmroku. Z przodu wojownicy – brązowe zbroje błyszczące w świetle pochodni, rząd opartych o ramiona włóczni. Za nimi lektyka, w której siedziała skryta za półprzezroczystymi zasłonami Seianti. Dalej bogato ubrani mężczyźni, kobiety obwieszane złotem. Wreszcie muzykanci; piskliwa, rzewna gra ich fletów niosła się po całej wyżynie. Wszyscy szli w milczeniu, skupieni, z opuszczonymi głowami.

Tuż za północną bramą zaczynał się cmentarz – równina usiana kurhanami. Niektóre były usypane niedawno, jeszcze nie obrosły trawą, wiatr i deszcz nie wygładziły ukształtowanych przez człowieka krawędzi. Inne, niższe i przysadziste, musiały stać tu od wieków; spod osuniętej ziemi niczym kości wystawały kruszejące kamienne bloki.

Leochares zmrużył oczy, rozejrzał się dookoła.

– Nigdzie nie widzę Rasce – wyszeptał do Arantha.

– Przyprawdzą go później.

– Później? To co będzie teraz?

– Wejdziemy do grobu.

Skręcili w niewielki wąż o stromych, prawie pionowych zboczach. W skale, w nierównych odstępach, wykute były prostokątne wnęki; w każdej z nich znajdowały się drzwi. Procesja zatrzymała się przed ostatnim wejściem. Ktoś przekręcił klucz w zamku. Masywne wrota ustąpiły ze zgrzytem, trąc o kamień.

Ludzie zaczęli wchodzić gęsiego do środka, w sumie jakieś trzydzieści albo czterdzieści osób; Leochares i Aranth szli na samym końcu. Korytarz był długi i wąski, ramiona ocierały się o wilgotne ściany, pochodnie lizały nierówny sufit. Odgłosy kroków i nieustający pisk fletów odbijały się zwielokrotnionym echem.

Korytarz prowadził do ogromnej, ale niskiej sali. Po bokach stały kamienne stoły zastawione misami i dzbanami, srebrnymi chochlami i nożami; wszystko to było stare, ale nie nosiło śladów używania. W każdej ze ścian były drzwi, jakby prowadzące do innego pokoju, a kwadratowe nisze, w których płonęły świece, wyglądały jak okna. Komnata przypominała wnętrze bogatego domu – z jednym istotnym wyjątkiem. Na środku stały

sarkofagi.

Pokrywę każdego z nich wieńczyła terakotowa rzeźba. Kobieta i mężczyzna na wspólnym łożu, czule objęci, splecione dłonie, usta zastygłe w wiecznym uśmiechu. Brodacz leżący sztywno jak kłoda, szeroko otwarte oczy utkwione w suficie. Kanciasta matrona wsparta na łokciu. Sarkofag Caile można było rozpoznać od razu – farba była świeża, kolory intensywne. Bił od niego trupi smród, ledwie tylko maskowany przez powieszony pod sufitem pęk ziół. Robiło się duszno. Smród rozkładu, dym świec i pochodni, kurz, oddechy tylu ludzi. Leocharesowi zakręciło się w głowie, oparł się o ścianę. Była śliska i lepka.

Etruskowie stanęli w kręgu. Muzykanci zaczęli grać szybszą, bardziej nerwową melodię; wysokie, porwane, prawie że zwierzęce dźwięki. Ktoś zaczął śpiewać. Krzyczeć.

– Zilath svalthas! Zilath lupu! Zilath cesu!

Odpowiedział mu chór głosów.

– Zilath cesu!!!

– Shuthina! Rasce lautni hinthi! Ena! Elcthi! Ika scuna!

– Elcthi! Ika scuna!!!

– Co?! – krzyknął Leochares Aranthowi do ucha.

– To znaczy, że...

Boczne drzwi otworzyły się z hukiem. Flety zawyły jeszcze głośniej, jeszcze wyżej. Do środka wbiegł demon. Miał niebieską skórę, szczyrzył kły, w rękach trzymał wijące się żmije. Leochares próbował zrobić krok do tyłu; wpadł na ścianę, osunął się. Złapał nóż, ale spocona dłoń ześlizgnęła się z rękojeści.

Aranth położył mu rękę na ramieniu, ścisnął lekko. Leochares spojrzał mu w oczy. Nie było w nich strachu. Przeniósł wzrok na demona. W świetle pochodni zobaczył farbę łuszczącą się ze skóry, sznurki trzymające maskę. Wstał, otrzepał się, poprawił klejący się do skóry himation.

Przebrany za demona tancerz podbiegł do sarkofagu Caile. Okrążył go, stąpając w rytm muzyki, kreśląc ramionami okrąg; żmije wiły ogonami i syczały wściekle. Leochares rozpoznawał paski na ich grzbietach. Jedno ugryzienie i trzeba będzie wstawić kolejny sarkofag.

Nagle muzyka i śpiewy ucichły. Tancerz usiadł na krawędzi sarkofagu Caile. Przybliżył zmije do pozbawionej emocji twarzy rzeźby, ścisnął je za nasadę głowy. Trucizna sączyła się z zębów jadowych.

– Caile... – wychrypiał niebieski demon, skraplając nagrobek jadem. – Truthe cepen. Shurnu tupi!

Otworzyły się drzwi po drugiej stronie grobowca. Do środka wszedł dziwnie ubrany człowiek. Na głowie miał spiczasty kapelusz, na twarzy – czerwoną maskę z długą brodą, do tego nosił chiton w czarno-białą kratkę. Trzymał w ręku dwie smycze. Na końcu jednej z nich był potężny pies; miał najeżony kłami, spieniony pysk, gorejące ślepia. Do drugiej przypięty był mężczyzna, nagi – poza założonym na głowę workiem. Wystarczyło jednak tylko rzucić okiem na mozaikę sińców i blizn, żeby go rozpoznać. Rasce.

Niebieski demon odskoczył od grobu. Syczał, warczał, wił się; zrobił krok do tyłu, potem dwa, wreszcie odwrócił się i wybiegł z grobowca, żegnany krzykami i obraźliwymi gestami; drzwi zatrzęsnęły się za nim z hukiem. Człowiek w spiczastej masce wyszedł na środek sali, szarpnął gwałtownie za smycze. Rasce upadł na kolana, pies zawył.

– Co to za jeden? – spytał Leochares.

– Phersu.

– To znaczy?

– Ktoś – wyszeptał Aranth, po czym poprawił się po chwili namysłu: – Nikt.

Jeden ze stojących w kręgu wojowników dał Rasce pałkę nabitą ćwiekami. Inny zaczął smagać psa batem, mocno, raz za razem; skomlenia zwierzęcia nie były w stanie zagłuszyć nawet niemilknące flety.

– Walka na śmierć i życie? – prychnął Leochares. – To naprawdę konieczne?

– Tak – odparł z powagą Aranth. – Rasce musi zginąć z bronią w ręku.

– A co jeśli wygra?

– Nie bój się. Na górze wszystko jest już spisane.

Wojownicy odstępili, wrócili do kręgu. Phersu pociągnął smycze ku sobie. Rasce stanął naprzeciw wściekłego psa, który bardzo, ale to bardzo chciał

kogoś ugryźć. Niewolnik nie widział go ani nie słyszał, ale musiał wiedzieć, co go czeka – zasłonił się kurczowo trzymaną pałką, skulił w oczekiwaniu na atak.

Długo nie czekał. Phersu popuścił smycz, pies rzucił się na Rasce i zatopił kły w jego udzie. Pocięła krew, spod worka wydobył się stłumiony jęk. Niewolnik machał pałką na oślep, w bólu, w panice, rozpaczliwie. Wreszcie trafił, coś chrupnęło, pies zapiszczał, rozwarł szczęki. Teraz Rasce wiedział już, gdzie mierzyć. Wziął szeroki zamach, uderzył z całej siły...

Phersu pociągnął za smycz. Rasce poleciał do tyłu, upadł na ziemię, pałka wyslizgnęła mu się z ręki. W grobowcu rozległ się śmiech, oklaski. Pies otrząsnął się, jednym susem dopadł leżącego niewolnika, zacisnął szczęki na lewym ramieniu, mocno, aż trzasnęła kość. Niewolnik zawył z bólu, wił się, szukał po omacku pałki. Kiedy już, już miał ją złapać, jeden z Etrusków odsunął ją stopą. Delikatnie, tylko kawałek. Ale dość, żeby Rasce nie mógł jej podnieść. Kolejna salwa śmiechu. Pies puścił ramię, skoczył, żeby złapać niewolnika za gardło, rozszarpać mu krtań...

Phersu szarpnął za smycz. Pies zatrzymał się nagle w powietrzu, jakby na chwilę zatrzymał się czas, potem upadł z hukiem na ziemię; krztusił się i charczał... Po drugiej stronie grobowca, Rasce wreszcie znalazł swoją nędzną broń, z trudem dźwignął się do góry. Prawa noga ugięła się pod jego ciężarem, lewe ramię zwisało bezużytecznie wzdłuż ciała, krew spływała na podłogę. Pies też już się otrząsnął. Najeżył sierść na karku, warczał, obnażając kły.

– Długo... Długo to jeszcze będziecie ciągnąć? – zapytał Leochares, przełykając z trudem ślinę.

– Czemu pytasz?

– Nieważne.

Przyszedłem tu z konkretnego powodu, powiedział do siebie w myślach Leochares, próbując się skoncentrować. Miałem patrzeć, jak ludzie reagują na śmierć Rasce, a nie ją przeżywać. Czy ktoś odetchnie z ulgą, że niewolnik zabierze swoją tajemnicę do grobu? Czy ktoś wymieni porozumiewawcze spojrzenia? Uroni łzę, choć nie powinien?

Leochares odwrócił więc oczy od walki. Rozglądał się po żałobnikach, bez pośpiechu, twarz po twarzy. Jedyne, co widział, to rumieńce, rozszerzone

żrenice, rozchylone usta. Wszyscy, bez wyjątku, byli całkowicie pochłonięci widowiskiem. Mężczyźni, kobiety, starcy, dzieci; bez różnicy. Wiwatowali za każdym razem, kiedy Phersu szarpał za smycz, klaskali, kiedy lała się krew. A klaskali często.

Leochares przepchnął się przez tłum, wyszedł przed grobowiec, wziął głęboki oddech, jakby właśnie wynurzył się spod wody. Ze środka dobiegł go rozpaczliwy, przeciągły jęk, potem już tylko wiwaty. Wzdrygnął się. Nagle historyjki o okrucieństwie Etrusków wydały mu się znacznie bardziej wiarygodne.

U

Leochares nigdy nie lubił koni. Uważał, że są wredne. I to nie w ten prosty, ale i oczywisty sposób, co osły. Z nimi sprawa była jasna od samego początku: nie lubiły cię. Nie słuchały. Jak mogły, to ugryzły, a jak się wystawiłeś, to kopnęły. Konie były bardziej wyrafinowane. Niby takie szlachetne zwierzęta o mądrych oczach, że nic, tylko pogłaskać po chrapach i dać marchewki. Niby starczy ścisnąć lekko uda, pociągnąć za lejce, i prowadzisz konia, gdzie chcesz. Ale jak już mu zaufasz, jak już będziesz myślni gdzie indziej i najmniej się tego będziesz spodziewał – to wierzgnie i cię zrzuci. Dwulicowe bydło.

Seianti była chyba innego zdania. Najwyraźniej oglądanie cwałujących na wybiegu koni sprawiało jej przyjemność. Widać też było tęsknotę – za wiatrem we włosach, pędem powietrza, wolnością. Stała oparta o ogrodzenie. Jedną nogę miała podkurczoną, jak zawsze; laska stała oparta o ogrodzenie. Leochares odchrząknął głośno.

– A, to ty – Seianti się odwróciła. – I jak, dowiedziałeś się czegoś wczoraj?

– Że macie pomysłowe egzekucje.

– Coś więcej?

– Nie bardzo.

Westchnęła, poprawiła narzucony na plecy szal. Miała długie zgrabne palce. Bransoletę z cienkiego złotego drutu na nadgarstku. Niewielki pieprzyk tuż przy mostku. Kropelka potu spływała jej po szyi, coraz niżej i niżej.

– To co teraz? – spytała Seianti.

Leochares uniósł szybko wzrok, potarł czerwieniejący policzek.

– Ten... Ten przyboczny. Mówiłaś, że widział, jak Rasce otwierał drzwi w ogrodzie.

– Lethne. Zgadza się.

– Co się z nim stało?

– Został ukarany.

– Za co?

– Mógł uratować swojego króla. Zawiódł.

Leochares przypomniał sobie wczorajszy wieczór. Słaniającego się na nogach Rasce. Umazany krwią pysk psa.

– Żyje jeszcze?

– Może. – Seianti wzruszyła ramionami. – Zesłałam go do kopalni srebra.

Kopalnie... Jeśli choć trochę przypominały te pod Atenami, pomyślał Leochares, to już chyba lepiej skończyć jak Rasce.

– Ten Lethne był z Caile przez cały dzień?

– Tak. On i Rasce. Mówiłam ci przecież, pojechali razem polować.

– Ktoś jeszcze był z nimi?

– Nie... Z tego, co wiem, nie.

Leochares oparł się o ogrodzenie, pogładził brodę – i zastygł nagle w bezruchu. Jego oczy, mimo że szeroko otwarte, były nieobecne.

– Co? – spytała zaniepokojona Seianti.

– Te maski. – Leochares obrócił się gwałtownie w jej stronę; mówił szybko, gorączkowo. – Robicie je tuż po śmierci, prawda?

– Tak. Tego samego dnia.

– Jak przygotowałaś ciało do pogrzebu?

– Umyłam je, namaściłam olejkami, ubrałam... Ale o co ci chodzi?

Leochares puścił ogrodzenie, ruszył w stronę drogi.

– Muszę pojechać do tej kopalni. Jak najszybciej.

– Bo? – warknęła Seianti, już wyraźnie zniecierpliwiona.

– Bo Caile wcale nie był na polowaniu.

Inga siedziała w pociągu z policzkiem opartym o szybę i jadła zwinięte z konferencji imbirowe ciasteczka; cały płaszcz miała w okruchach. Gapiła się tępo w przesuwający się za oknem krajobraz. Łąki poprzedzielane porośniętymi mchem kamiennymi murkami. Bure

chmury. Kościelne wieże zwieńczone strzelistymi iglicami. Wiktoriańskie domki z wykuszowymi oknami. A potem, kiedy już zbliżali się do Londynu, magazyny, centra dystrybucyjno-przeładunkowe, obskurne bliźniaki ze śmieciami wysypującymi się z koszy w mikroskopijnych ogródkach.

– *Następna stacja: Londyn Paddington* – odezwał się znajomy kobiecy głos. Babka musiała mieć świetną fuchę z nagrywaniem tych wszystkich tekstów. Chyba że to program komputerowy. – *Przed opuszczeniem pociągu proszę się upewnić, że zabraliście państwo swój bagaż. Życzymy państwu miłego wieczoru.* Inga uśmiechnęła się pod nosem. Facet, który siedział naprzeciwko, schował się za gazetą, widząc to.

Zawsze marzyła o tym, żeby zostać archeolożką. Od małego. Jakkolwiek głupio to brzmi, była głęboko przekonana, że to jej przeznaczenie, że jest jej to pisane. Za kieszonkowe kupowała podręczniki akademickie. Sama uczyła się włoskiego, łaciny i greki. Odkąd tylko mogła, każde lato spędzała na wykopaliskach. Na bezpłatnym stażu w muzeum wariowała ze szczęścia, że może pracować z eksponatami – choć praca ta polegała na katalogowaniu i pakowaniu ich w pudła. Uczyła się po nocach, żeby mieć najlepszą średnią na roku. Udało się. Przyjęli ją na doktorat na University College of London. Dostała stypendium naukowe. Jeździła na konferencje, warsztaty, seminaria. Udało jej się opublikować parę artykułów, jeden ma już nawet kilka cytowań. Promotor powiedział, żeby nie martwiła się o obronę doktoratu, bo napisała świetną dysertację i to będzie tylko formalność. Dostała od niego takie referencje, że rumieniła się za każdym razem, kiedy je czytała.

I co? I nic. Nikogo to nie obchodziło. Wysłała podania o pracę albo chociaż roczne stypendium do pięćdziesięciu dwóch uniwersytetów. I dostała pięćdziesiąt dwie odmowy. Niektóre na pięknym czerpanym papierze, jak tę ze Stanfordu. Inne e-mailowo – bezosobowe formułki przyklejane po kilkadziesiąt razy. Czasem nawet z cudzym imieniem.

Inga wyszła z pociągu, weszła na stację metra. Musiała doładować kartę Oyster. Bilety znowu podrożały. Trzy funty trzydzieści pensów za przejazd w jedną stronę. Osiemnaście złotych. Westchnęła, włożyła

kartę kredytową do czytnika, wpisała kod PIN, potem zeszła na peron. Nadjechał pociąg pełen pijanych, drących się nastolatków poprzebieranych za postaci z kreskówek. Inga usiadła między Piotrusiem Panem, który nie tylko dorósł, ale do tego jeszcze się roztył, i Arielką, która wymieniła syreni ogon na krzywe nogi w podartych rajstopach. Buty na absurdalnie wysokim obcasie trzymała na kolanach. Na myśl o chodzeniu na bosaka po londyńskim metrze Inge przeszły dreszcze.

Wreszcie jej stacja, Plaistow. Najbiedniejsza dzielnica Londynu. Jedyne zabytek – dziewiętnastowieczna oczyszczalnia ścieków, nie wiedzieć czemu zbudowana w stylu neoromańskim. Po wyjściu z metra przywitał ją znajomy zapach mokrego asfaltu i kurczaków smażonych w głębokim tłuszczu. Całe szczęście mieszkała po drugiej stronie ulicy. Minęła skrzynkę na listy, starając się nie patrzeć na drzwiczki z numerem jej lokalu, weszła na górę, otworzyła drzwi.

– Inga? – męski, niski głos. Salman. Pakistańczyk, który robił doktorat z neurologii w Imperial College. Mówił po angielsku świetnie, bez najmniejszego akcentu. Inga mu tego zazdrościła. George’a, radiologa z Singapuru, jeszcze nie było. Pewnie poszedł po pracy grać w piłkę.

– Mhm, to ja – odpowiedziała, zrzucając buty. Były eleganckie, ale obcierały jak cholera.

– Masz ochotę na curry?

– A ostre?

– Dla ciebie? Bardzo. Ale możesz sobie dolać jogurtu.

– Jesteś kochany. – Inga cmoknęła go w policzek, wyjęła sztucę; każdy nóż i widelec był z innego zestawu, jak to w studenckim mieszkaniu.

– Jak było na konferencji?

– Hmm. Waham się między „źle” a „bardzo źle”.

– Powiesz coś więcej?

– Tylko jeśli będziesz nalegać.

Usiedli do stołu. Po dodaniu jogurtu curry zmieniło kolor

z czerwonego na różowy, ale było tak samo ostre jak wcześniej. Inga zdała relację z wyjazdu. Salman kręcił głową. Zażartował, że zawsze może wyjść za niego za męża. Inga doskonale wiedziała, że to nie był tak do końca żart, ale równie wesołym tonem odmówiła. Salman był sympatyczny, ale nie aż tak. Pozmywała, obejrzelili razem najnowszy odcinek *Doktora Who*, potem zamknęła się w swoim pokoju.

Włączyła komputer, sprawdziła pocztę. Po raz pierwszy od trzech miesięcy bez palpacji serca – dostała już odpowiedzi na wszystkie wysłane zgłoszenia, nie musiała się obawiać kolejnej odmowy. Przejrzała nieprzeczytane wiadomości. Seminarium ze spójników w dialogach Platona; do śmieci bez czytania. Impreza kostiumowa w piątek w akademiku, temat: Policjantki i Przestępcy. Dziękuję, postoję, do kosza. E-mail od rodziców. Niby zwykle pitu-pitu, co u dziadków, co u pieska, jak zdrowie, ale między wierszami mogła wyczytać, że się o nią martwią. Bardzo chciała odpisać, że wszystko w porządku. Na razie oznaczyła list gwiazdką; odpowie później. Dalej, rachunek za telefon. Ciężkie westchnienie i kolejna gwiazdka. I ostatni e-mail. Nadawca: ava.bellmont@lincoln.ox.ac.uk. Temat: Twoja prezentacja. Inga uniosła brew. Ava Belmont? Pierwsze słyszę. Brzmi jak pseudonim gwiazdy porno. Jakiś spam? Ale domena adresu wygląda w porządku... Kliknąć nie zaszkodzi.

Droga Ingo, zaczynał się e-mail, Dziś rano byłam na twoim odczycie o tajemniczym pochówku z Tarentu. Być może mnie zapamiętałaś, to ja zadałam ci pytanie o przyczynę śmierci. Aha, pomyślała Inga. Siwa babka w golfie. Ta, co większość prezentacji grała na iPadzie. Uomo Misterioso z Tarentu zaintrygował mnie na tyle, że postanowiłam sięgnąć po publikację profesora Manciniego. Przyjrzałam się zdjęciom szkieletu i zauważyłam parę rzeczy, które mogą cię zainteresować. Może wpadniesz któregoś dnia do Oxfordu, to sobie o tym pogadamy? Myślę, że mogłybyśmy razem napisać ciekawy artykuł. Pozdrawiam. Poniżej już tylko stopka: Professor Ava Belmont. Instytut Archeologii/ Muzeum Antropologii Pitt Rivers, Lincoln College, Oxford.

Inga wrzasnęła tak, że Salman wpadł do pokoju sprawdzić, co się stało.

Seianti chwyciła Leocharesa za rękę. Mocno, aż paznokcie wbiły się w skórę.

– Zanim gdziekolwiek pójdziesz – powiedziała, cedząc słowa – wszystko mi wytłumaczysz. Powolutku. Krok po kroku.

Puściła go. Wycofał dłoń, rozmasował nadgarstek. Silna jak na kobietę, pomyślał.

– Te małe ranki, które Caile miał na policzkach – zaczął Leochares – to zacięcia po goleniu. Świeże. Mówiłaś, że wyjechał z samego rana, a wrócił dopiero pod wieczór, więc albo ogolił się w lesie, czekając na dzika... Albo wcale do tego lasu nie pojechał.

Seianti nic nie powiedziała. Zacisnęła szczęki, zbieleły jej usta.

– Tego dnia musiał mieć jakieś spotkanie – ciągnął Leochares – które chciał zachować w sekrecie. Dlatego wziął ze sobą tylko ulubionego niewolnika i przybocznego.

– Mów dalej – powiedziała Seianti, nie patrząc w jego stronę.

– Skoro nawet królowi zależało, żeby się godnie prezentować, to musiało być coś ważnego. Hmm... Może tajne spotkanie z jakimś posłem, albo...

– Albo?

Nie chciał tego mówić. To nie jest przyjemne, wiedział aż za dobrze. Ale nie bardzo miał wybór.

– Albo schadzka z kochanką.

Seianti zeszywniała. Miała ochotę mu przyłożyć, widział to. I co ja mam zrobić, pomyślał, zasłonić się, żeby się jeszcze bardziej wściekła, czy nadstawić policzek, bo to królowa? Całe szczęście, że się uspokoiła. Przełknęła niewygodną prawdę.

– Wiesz – powiedziała po dłuższej chwili – my się szcycimy tym, że potrafimy odczytać przyszłość. Ale widzę, że czytanie przeszłości to też sztuka.

Nie wiedział, co powiedzieć, więc tylko ukłonił się lekko. Seianti złapała łaskę, zaczęła powoli kuśtykać w stronę czekającej na nią lektyki.

– Jedź do kopalni – zawołała na odchodne, nie odwracając się – i daj mi znać, jeśli czegoś się dowiesz.

Czasem wolałbym jednak nie czytać przeszłości z taką łatwością, pomyślał Leochares. Odkąd się dowiedział, że spał w domu, w którym wcześniej mieszkał Rasce, wszędzie widział jego ślady. Kręgi po miskach i kubkach na stole. Parapet w sypialni okopcony lampką, którą kładł na stoliku przy łóżku; może nie lubił ciemności. Gwoździak wbity w ścianę, tuż pod nim jasny kwadrat odcinający się od reszty. Coś tu kiedyś wisiało, jakiś obrazek, może zdobiona terakota. Prosty brązowy pierścionek w ogrodzie, między kwiatami. Zdjął go do pracy, zgubił, nigdy już nie znalazł.

Ależ musiał się cieszyć, westchnął Leochares, pakując rzeczy do torby. Inni niewolnicy pracowali zgięci w pól w polu, plecy poprzecinane pręgami, kajdany na obtartych do mięsa kostkach, i tak jeden żalony dzień po drugim. A on – ulubieniec króla, dzielił z nim wino, jadło, czasem pewnie i łożę. Może nawet udawało mu się zapomnieć, że jest tylko czyjąś własnością.

Może Caile mu to przypomniał – brutalnie, bez skrpułów. Uderzył, kiedy go zirytował, albo i bez powodu. Wziął go, po pijaku, boleśnie, przy ludziach, a potem rzucił w ką. Powiedział coś, czego się nie zapomina, co boli bardziej niż bat. Może dlatego zdradził. Pomógł go zabić.

Leochares związał sakwę, zarzucił ją przez plecy. Cieszył się, kiedy wszedł do tego domu po raz pierwszy, po długiej podróży. Teraz jeszcze bardziej cieszył się, że go opuszcza, choćby na chwilę.

Wyszedł na ulicę. Aranth już na niego czekał, ciasno owinięty płaszczem, mimo że było duszno. Dosiadł osła, ruszyli powoli w stronę bramy. Nie musieli się spieszyć, kopalnie były niedaleko. Dzień, góra dwa dni drogi.

– Słuchaj, tak się zastanawiam... – zaczął niepewnie Leochares. – Powiedziałabyś, że twój ojciec był skrytym człowiekiem?

– Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie – odparł Aranth. – Mówił każdemu, co myślał.

– Seianti też?

– Jej przede wszystkim. Zawsze prosił ją o radę.

– Na przykład, w co się ubrać?

Aranth rzucił mu zdziwione spojrzenie. Nie zrozumiał żartu albo go nie rozśmieszył. W jego przypadku zawsze trudno było odgadnąć.

– Na przykład, z kim zawrzeć sojusz – powiedział po chwili. – A z kim iść na wojnę.

– Aha – kiwnął głową Leochares. – I z kim wojujecie?

– Głównie z Rzymem.

– Od dawna?

Zwykle pogodny Aranth ściągnął brwi, spochmurniał.

– Od zawsze – powiedział wreszcie.

Wyjechali na ulicę wiodącą do bramy. Ktoś przy niej czekał. Leochares zmrużył oczy, osłonił się dłonią przed słońcem. Mężczyzna na koniu w purpurowej tunice, z ozdobnym mieczem przy pasie. Kilku wojowników w brązowych napierśnikach. Dwóch z nich trzymało siekiery wetknięte w coś, co wyglądało jak wiązka różg. Naprawdę dziwni ci Etruskowie, pomyślał Leochares.

– To chyba ktoś ważny? – zapytał.

– Velthur. Mój brat – powiedział Aranth. – Teraz także mój król.

– Nie było go wczoraj w grobowcu, prawda?

– Nie. Z tego, co wiem, dopiero co wrócił do miasta.

– Spodziewałeś się, że będzie chciał cię pożegnać?

Aranth pokręcił głową. To nie wróżyło nic dobrego – i rzeczywiście, kiedy podjechali bliżej, jeden z wojowników zastąpił im drogę, opuścił włócznię. Aranth uklonił się lekko, bracia zaczęli rozmawiać – po etrusku, więc Leochares nie rozumiał ani słowa. Ale dużo dało się wyczytać z samych gestów i tonu. Z jednej strony dumne spojrzenie Velthura, szeroka szczęka i orli nos, ton nieznoszący sprzeciwu, dłoń na rękojeści miecza. Krótkie zdania, głośne i dobitne, pytania i rozkazy. Z drugiej Aranth – ze wzrokiem wbitym w ziemię, mówiący cicho, jękając się lekko, z niepewnym uśmiechem, na strzygącym uszami ośle. Między braćmi nie było sympatii, nawet szacunku. Leochares wreszcie zrozumiał, czemu Aranth pojechał po niego sam, bez żadnego orszaku, czemu nie oczekiwał od niego

czołobitności, jaśnie-wysokościowania ani waszo-ekscelencjowania. Księciem był najwyraźniej tylko z tytułu.

Wreszcie Velthur machnął niecierpliwie ręką, warknął coś i wojownicy zeszli im z drogi. Aranth pożegnał się kolejnym ukłonem; Leochares, niezbyt rozeznanym w tutejszej etykietce, postanowił zrobić to samo. Poczł na sobie bladezielone oczy młodego króla, spojrzł w nie na krótką chwilę. Zobaczył pogardę, może nawet wrogość.

Jechali potem dłuży czas w milczeniu.

– O co chodziło? – zapytał wreszcie Leochares, kiedy Veii niknęło już za horyzontem.

– Wolę o tym nie mówić – odparł Aranth.

Leochares wzruszył ramionami. Nie to nie.

Rozbili obóz o zachodzie słońca. W szczerym polu. Mimo że zbierało się na burzę. Oczywiście, Aranth miał ku temu ważne powody. Oczywiście, Leochares ich nie rozumiał. Coś, że w cieniu czają się niebezpieczne istoty, że złe oko lepiej widzi nocą, że księżyc zacierza ścieżki. No to siedzieli teraz po ciemku na deszczu i mokli. Cóż, pomyślał Leochares, poprawiając ciężki od wilgoci płaszcz, klient płaci, klient wymaga.

Gdzieś w oddali zagrzmiało; wpierw cichy pomruk, potem ogłuszający huk, w końcu znów tylko nużący rytm kropli padających na liście. Leochares uśmiechnął się pod nosem. Kiedyś lubił burze – dlatego, że Lamia się ich bała. Przychodziła do niego wtedy, wtulała się, chowając głowę między jego szyję a bark, tak żeby jak najmniej słyszeć, i oplatała go ciasno ramionami, aby być jak najbliżej. Głaskał ją po głowie, cesał włosy palcami i całował skronie, aż było po wszystkim. Miłe wspomnienie zaprawione goryczą.

Inny obraz. Siedzi z Teodorosem przy oknie, na dworze burza, wicher, oberwanie chmury, jak to bywa pod koniec lata. Mały zafascynowany ogląda przecinające niebo błyskawice, całkowicie pochłonięty, tak jak potrafi tylko dziecko, które widzi coś po raz pierwszy. Nie boi się – bo jeszcze nie wie, co się dzieje, kiedy piorun uderzy blisko, nie widział, jak dom staje w mgnieniu oka w ogniu mimo ulewy, jak błyskawica rozsadza stuletnie drzewo. Nie

mówi mu o tym, nie ostrzega. Jeszcze będzie na to czas, póki co niech się cieszy. Potem, kiedy już wyjdzie słońce i sprzątaję obejście z połamanych gałęzi, Teodoros pyta go, skąd się biorą pioruny. Sadza go sobie na kolanach, mówi, że wedle niektórych to broń bogów, ale jemu wydaje się, że...

– Uśmiechasz się. – Aranth przerwał tok jego myśli.

– No i? Co z tego?

– Nie widziałem jeszcze, żebyś się uśmiechał.

Leochares otarł mokrą brodę, wzruszył ramionami.

– Przypomniało mi się, jak syn pytał, skąd się biorą pioruny.

– I co mu powiedziałaś?

– Że jak dwie chmury na siebie wpadną, to zaczyna błyskać. Tak jak lecą iskry, kiedy uderzasz metalem o metal.

Aranth pokiwał głową ze zrozumieniem. Po czym zaprzeczył.

– Jest całkiem na odwrót.

– To znaczy?

– To chmury spotykają się po to, żeby mógł powstać piorun.

– No, racja, zapomniałem. – Leochares przewrócił oczami. – Już wasi bogowie o to zadbali.

– Właśnie tak. – Aranth odsłonił zęby w szerokim uśmiechu. Najwyraźniej ucieszył się, że w końcu się dogadali.

Może i uśmiecham się za rzadko, pomyślał Leochares, ale on to robi stanowczo za często.

Wyruszyli w dalszą drogę, jak tylko zaczęło świtać. Leochares szczekał zębami, szczypało go w gardle, mokry himation lepił się do ciała. Oczywiście, nie byli w stanie rozpalić rano ogniska, więc nim ruszyli, zjadł tylko kawałek rozmiękłego chleba i kilka oliwek, po czym zapił zimnym winem.

Całe szczęście, byli blisko. Leochares widział już dym bijący z pieców hutniczych – dziesiątki czarnych, nierównych kresek, jakby pisanych na

niebie drżącą ręką. Wiatr niósł ku nim gryzący nozdrza zapach i nieprzyjemne, drażniące dźwięki – chrzęst kruszonego kamienia, szcęk metalowych narzędzi, pisk nienaoliwionych kołowrotów, stukot kilofów. Zobaczyli hałdy żuzłu i rozdrobnionych gładów; przeżute i wyplute resztki, skalne plewy. Brudne, przyprószone pyłem budynki, ziejące dziury szybów, kamienne baseny pełne mulistej wody. Wreszcie ludzi – umorusanych, poranionych, dzwoniących łańcuchami. Wszystko w odcieniach czerni, szarości i zgniłej zieleni.

Leochares już to wszystko widział – w Laurionie, pod Atenami. Kopalnie jeszcze większe niż tu. Dwadzieścia tysięcy niewolników, setki wykopów, wyrobisk, podziemnych korytarzy, całe wozy wyładowane srebrem jadące w stronę miasta. Część cennego ładunku znikła po drodze, miał odkryć dlaczego. Udało się, chociaż zajęło mu to prawie miesiąc i wrócił do Aten z ręką na temblaku i ropiejącą raną po strzale na plecach. A po tym, co zobaczył w Laurionie, srebro na zawsze straciło dla niego część swego blasku.

Wyjechali z za zakrętu. Przed nimi rozpościerał się ostatni, nieodzowny element krajobrazu kopalni. Cmentarz. Ogromny, ale ledwie zauważalny. Nie było na nim żadnych nagrobków, rzeźb, choćby wkopanej w ziemię pękniętej amfory. Jedynie prostokąty świeżo rozkopanej ziemi, a w każdym pewnie po kilka trupów, rzuconych jeden na drugi, nagich. Przerób w kopalniach zawsze był duży.

Leochares zeskoczył z osła, przywiązał go do palika. Zwierzę zwiesiło łeb, zbliżyło pysk do mętnej kałuży, ale zaraz się rozmyśliło. Mądra bestia, pomyślał, poprawiając ubranie; mokra wełna gryzła i ocierała.

Ruszył za Aranthem. Etrusk musiał tu być już wcześniej – wiedział, gdzie iść, z kim rozmawiać. Minęli rząd pieców bijących gorącem i dymem, niewolników płuczących rozdrobnioną skałę, kuchnię, z której czuć było rozgotowaną fasolą, octem i spalenizną. Aranth zatrzymał się przed jedynym budynkiem, który zasługiwał na miano domu, zapukał do drzwi.

– Tu mieszka zarządca, Mamerce – Aranth stwierdził oczywistość. – Jakby co, mówi po grecku.

Oczywiście, że mówi, pomyślał Leochares. Jak to do cholery jest, że oni wszyscy znają nasz język? Sam mieszkał już w Tarencie kilka lat i nie

rozumiał żadnego z miejscowych narzeczy, no, co najwyżej kilka słów. Ba, czasem miał problemy z lokalną odmianą greki. Jak mówią, starego psa się nowych sztuczek nie nauczy.

Weszli do środka. Zarządca wyglądał inaczej, niż Leochares zakładał. Zamiast potężnie zbudowanego chłopca o zimnych oczach, z siwiejącymi włosami przystrzyżonymi przy samej skórze i twardą ręką nawykłą do wymierzania razów miał przed sobą niewysokiego mężczyznę z wyraźnym brzuszkiem, zadartym nosem i rumianymi policzkami. Wyglądał raczej jak karczmarz albo uliczny sprzedawca.

Aranth powiedział coś po etrusku. Zarządca przytakiwał, kiwał pospiesznie głową, giął się w służalczych ukłonach. Potem obaj zamilkli, spojrzeli na niego. Pora wziąć się do roboty.

– Chcę rozmawiać z Lethne – powiedział Leochares.

– Z tym nieudacznikiem, przez którego zginął nasz król? Po co? – zdziwił się Mamerce.

– Sprawa państwowa – odparł Aranth.

– Ach, chyba że tak... W takim razie zaraz każę go wywołać. Ale wpierw zapraszam do stołu. Widzę, żeście zdrożeni, zmęczeni... Nalegam!

Leochares omiół wzrokiem stojący na środku pokoju stół. Misy pełne owoców, piramidy rumianych ciastek i pasztecików, pieczone ryby, od labraksów po szprotki, wędzone kiełbaski, gomółki koziego sera. Przełknął ślinę, wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Aranthem.

– No, Lethne w końcu nie zając... – zaczął niepewnie.

– Znakomicie! Zapraszam, zapraszam!

Mamerce klasnął lekko w dłonie. Z pokoju obok wbiegli bezgłośnie dwaj niewolnicy w kusych tunikach, zabrali ich mokre płaszcze i buty, poprawili poduszki na łóżach. Leochares walnął się na materac, wyciągnął nogi; chwilę później miał już w ręku srebrny kielich wypełniony po brzegi ledwie rozwodnionym winem. Od razu poprawił mu się humor.

– Mam nadzieję, że wasza wysokość znajdzie przy okazji chwilę, żeby przejrzeć księgi – powiedział Mamerce, wprawnym ruchem wyciągając ości z tłustego kawałka sardyny. – Wydaje mi się, że gdybym dostał jeszcze dziesięciu, no, góra dwunastu niewolników, mógłbym zwiększyć produkcję

o...

Bla, bla, bla, pomyślał Leochares, nakładając na talerz jedzenie. Jeszcze jedno dzwonko węgorza, jeszcze kilka przepiórczych jajeczek, do tego pasztecik, może nawet dwa... W Atenach takie nieumiarkowanie uchodziłoby za szczyt złych manier. Szlachetny człowiek je, żeby żyć, a nie żyje, żeby jeść. Ale był wśród barbarzyńców, więc mógł robić, co chciał. No to nałożył sobie jeszcze pieczone udko kurczaka.

– ...dodatkowo, gdyby dobudować jeszcze dwie cysterny... – kontynuował Mamerce niezrażony wcale ziewaniem Arantha. Matko, pomyślał Leochares, obgryzając kość z chrząstek, co za nudziarz! Co tam noszenie wody w dziurawych dzbanach, gdyby bogowie Hadesu[16] kazali słuchać potępieńcom tego głędzenia przez całą wieczność, to dopiero byłaby tortura.

Leochares pokręcił głową, włożył do ust pasztecik, w całości – i zaraz tego pożałował. Ciastko musiało dopiero co zostać wyjęte z pieca, bo farsz był tak gorący, że parzył podniebienie. Cholera, pomyślał Leochares, wciągając ze świstem powietrze do ust, co tu zrobić? Wypluć przy księciu nie wypada, ale jak tego zaraz nie zrobię, będę miał poparzoną całą gębę. Jednak trzeba było się tak nie obżerać.

Raptem coś go tknęło. Usiadł.

– Iżziemidolefne – stwierdził stanowczo.

– Słucham?

– Prapraszam... – Leochares przeżuł, połknął palące gardło jedzenie, skrzywił się. – Powiedziałem, że idziemy do Lethne. Teraz.

– Ależ... Jak tak można! To ksiązę decyduje, czy i kiedy...

– Aranth. Nie mamy czasu.

Po chwili wahania ksiązę kiwnął głową, otrzepał ręce z okruszków.

– Zaprowadź nas, Mamerce. Wrócimy do posiłku i rozmowy, jak już załatwimy nasze sprawy.

Zarządca stał chwilę w miejscu, jakby nie wiedział, co zrobić. W końcu na jego twarzy pojawił się typowy etruski uśmiech, równie szeroki, co nieszczerzy. Znów się uklonił, z zaskakującą gracją jak na kogoś o jego gabarytach, po czym otworzył drzwi i zamaszystym gestem zaprosił ich na

zewnątrz.

- Coś cię ugryzło? – wyszeptał Aranth, przechodząc przez próg.
- Nie. To ja coś ugryzłem. – odparł Leochares.
- Wybacz... Nie rozumiem.
- Potem ci wytłumaczę. Chodź.

Ruszyli pod górę, mijali kolejne szyby. Mamerce szedł powoli, ostrożnie stawiając stopy obute w sandały z cielęcej skóry, przystając co chwila, żeby złapać oddech, otrzeć pot haftowaną chustką. Prawił przy tym coś jeszcze o wydobywaniu, narzędziach i wentylacji, ale Leochares go nie słuchał. Szybciej, pieprzony grubasie, szybciej, powtarzał tylko w myślach, rusz no ten tłusty zad!

Nagle zadrżała ziemia, rozległ się ogłuszający łomot, a z jednego z szybów na zachodnim zboczu wystrzelił wysoki na kilka stóp słup skalnego pyłu. Leochares odepchnął Mamerce i zaczął biec.

Tym razem Inga nie pojechała pociągiem, tylko autobusem, tak wyszło taniej. Dziesięć funtów za powrotny bilet – plus dwa funty za tabletki na chorobę lokomocyjną. Przed przeprowadzką do Anglii nigdy nie miała mdłości w samochodzie. Ale też nigdy wcześniej nie jeździła drogami, gdzie na jeden kilometr przypadało czasem pięć rond. I to jedno po drugim.

Inga nie była wcześniej w Oxfordzie, więc mimo że umówiła się na spotkanie dopiero na czwartą po południu, przyjechała z samego rana, żeby sobie trochę pozwiedzać. Poszła zobaczyć jadalnię Corpus Christi College, gdzie kręcili *Harry'ego Pottera*. Ogród w Exeter College, tak absurdalnie piękny, że nie zrobiła mu nawet zdjęcia, bo i tak by tego nie uchwyciła. Poszła nad rzekę, popatrzeć, jak trenują osady wioślarskie. Do dopiero co wyremontowanego Ashmolean Museum, obejrzeć greckie wazy, które tak dobrze знаła ze zdjęć. Całe szczęście, wstęp był darmowy. Za to, żeby zobaczyć katedrę, trzeba było kupić bilet za pięć funtów. Inga sobie odpuściła.

Na obiad zjadła kanapkę z supermarketu na białym tostowym

chlebie z tuńczykiem, kukurydzą i majonezem. Nie była dobra, ale nie była też zła, a to już coś. Potem w sklepie z herbatami wypłała dwa kubeczki rooibosa wystawionego do testowania i ruszyła Parks Road w stronę Pitt Rivers Museum, gdzie miała spotkać się z Avą. Ładny spacer. Po drodze minęła przewieszony nad średniowieczną uliczką Most Westchnień, jakby żywcem wyjęty z Wenecji, zajrzała przez bramę do ogrodu Trinity College, gdzie studenci robili próbę jakiegoś szekspirowskiego przedstawienia, *Snu nocy letniej*, zdaje się. Bogaci szczęściarze.

Wreszcie stanęła przed neogotyckim budynkiem, w którym mieściło się Muzeum Historii Naturalnej i Pitt Rivers. Ładny, ale wyglądał jakoś sztucznie, jak zrobiona z tektury makieta. Obok rosła wielka sekwoja; Inga starała się na nią nie patrzeć, przypominała jej o cholernym liście ze Stanfordu.

W trawnik przed wejściem były wkopane odlewy odcisków nóg dinozaura – a konkretnie megalosaura, jak podano na tabliczce. Do czwartej zostało jeszcze trochę czasu, więc Inga przeszła się szybko po śladach, stawiając wielkie kroki i kolebiąc się na boki, jak Godzilla wyłaniająca się u brzegów pogrążonego we śnie Tokio. Z pewnych rzeczy się nie wyrasta.

Weszła do muzeum za pięć czwarta, wyciągnęła karteczkę, na której zapisała wskazówki od profesor Belmont. „Przejdź przez sekcję historii naturalnej, wejdź do Pitt Rivers, po schodach na drugie piętro, pierwsze drzwi po twojej lewej”. Inga podążała za instrukcjami. Minęła obowiązkowego tyranozaura z rozdziawioną paszczą. Obok – ustawione w długiej kolumnie szkielety ssaków, od psa do konia; wyglądały, jakby szykowały się do wejścia na upiorną wersję arki Noego. Dalej – gabloty z wypchanymi ptakami, skamielinami, minerałami, popiersia brodatych wiktoriańskich dżentelmenów o marsowych minach. Wreszcie – postawioną na sztorc szczękę kaszalota, która prawie, prawie sięgała ażurowego sufitu ze szkła i stali. Inga tak się na nią zagapiła, że o mało nie stratowała wycieczki pierwszoklasistów. Każde dziecko miało identyczny, żółto-brązowy mundurek i rozwiązane sznurówki. To, że jeszcze żadne z nich się nie wywróciło, zakrawało na cud.

Wreszcie przeszła do części, gdzie znajdowało się Pitt Rivers Museum. Przekroczyła próg – i wszystko wokół zmieniło się tak nagle, że Inga odruchowo odwróciła się, żeby sprawdzić, czy galeria Historii Naturalnej wciąż jest za jej plecami, czy może zniknęła. Wnętrze Pitt Rivers było mroczne, ciche, pachniało kadzidłem i kurzem, przypominało zagracony strych. Kilka małych piętér, zewnętrzne schody, na środku – mierzący kilkadziesiąt metrów totem z Ameryki Północnej i setki wypełnionych po brzegi gablot. Przy wejściu zwiedzający dostawali latarki, którymi oświetlali sobie eksponaty.

Inga weszła na drugie piętro. Przeszła obok witryny pełnej ludzkich szczęk ze spiłowanymi na różne sposoby zębami. Miała nadzieję, że to były modele, a nie prawdziwe kości. Postanowiła, że na wszelki wypadek nie będzie sprawdzać, i tak za często miewała koszmary. Stała przed niepozornymi drzwiami z ledwie widoczną naklejką „Prof. A. Bellmont”. Wzięła głęboki oddech i zapukała.

– Wejść! – usłyszała zza drzwi. Więc weszła.

– Hop hop!!!

Okrzyk odbił się kilka razy echem po szybie, potem ucichł. Nikt nie odpowiedział. Leochares wyteżył wzrok, ale nic nie widział; chmura pyłu i kurzu, niżej już zupełna ciemność. Świetnie, pomyślał. Wybornie.

– Gdzie Mamerce? – spytał Leochares, wstając; strzyknęło mu w kolanach.

– O, tam. Rozmawia z niewolnikami.

– Pilnuj go.

– A ty?

– Schodzę na dół.

Aranth podszedł do krawędzi szybu, pochylił się lekko. Potem szybko zrobił dwa kroki do tyłu.

– Może to tylko zbieg okoliczności... – wybąkał niepewnie ksiączę.

– Proszę cię. Nagle zacząłeś wierzyć w przypadki?

Etrusk nie odpowiedział. Leochares przywiązał linę do belki przy krawędzi szybu, na trzy węzły, tak na wszelki wypadek. Spiął włosy rzemieniem, schował oliwną lampkę i krzesiwo do płóciennej torby.

– Po czym poznam tego Lethne?

– Hmm... – Aranth się zamyślił. – Ma zielone oczy... Ciemne włosy...

– Tam na dole jest ciemno. I wszystko jest przysypane pyłem. Daj mi coś, co wyczuję palcami.

– W takim razie blizna... O tu, na brodzie.

– Dobra... Miejmy nadzieję, że to starczy.

Leochares złapał linę, stanął na krawędzi otworu. Uniósł oczy ku niebu. Bogowie, pomyślał, miejcie mnie w opiece. A jeśli jednak spadnę, to sprawcie chociaż, żebym od razu skręcił kark.

Zaczął się opuszczać na dół. Powoli, powolutku, nie patrząc w dół. Parę razy osunęła mu się stopa, spocona dłoń ześlizgnęła się po linie, a serce podeszło do gardła. Robiło się coraz ciemniej i zimniej, coraz ciężiej było oddychać; pył wchodził mu do ust i nosa, szczypał w oczy. Byle teraz nie kichnąć, myślał, ruszając nosem jak królik.

Wreszcie poczuł pod nogami grunt. Odetchnął, spojrział w górę – niewielki błękitny prostokąt na tle czerni. Był jakieś pięćdziesiąt, może nawet sześćdziesiąt stóp pod ziemią. Głęboko. A pewnie trzeba będzie zejść jeszcze głębiej. Opuścił głowę, spojrział w bok. Nic nie było widać. Wyciągnął lampkę i krzesiwo. Spróbował podpalić knot, raz, drugi, trzeci. Udało się dopiero za czwartym. Rozejrzył się.

Zobaczył ciało chłopca; leżał w odbijającej od szybu sztolni. Miał dziesięć, może dwanaście lat, niewiele więcej niż Teodoros. Niski, szczupły, w kopalniach to zaleta. Wszędzie się wciśnie, przejdzie przez najwęższą szczelinę. Dużo nie je, nie pyskuje, nie rzuci się na ciebie, jak odwrócisz wzrok.

Przygniatał go kawał skały. Od pasa w górę wyglądał, jakby spał, od pasa w dół została z niego już tylko krwawa miazga. Obok leżał kosz z kawałkami rudy. Niezły urobek. Dostałby w nagrodę podwójną porcję zupy.

Leochares kucnął przy wejściu do sztolni. Miała ze trzy stopy wysokości, ze cztery szerokości. Chłopiec mógł iść tędy na czworakach, on już będzie

musiał się czołgać. Korytarz był tylko częściowo przysypany. Zawaliła się pewnie inna sztolnia, gdzieś głębiej, a tu od wstrząsu zarwała się tylko część stropu.

Leochares złapał głaz, który przygniótł chłopca, z trudem odtoczył go na bok; palce ślizgały się na mokrych od krwi krawędziach. Potem odciągnął ciało. Tu już poszło łatwiej, było lekkie jak piórko. Chłopiec miał na lewej kostce ołowianą obręcz; na noc pewnie przykuwano go do łańcucha. Pewnie kiedyś próbował uciec. Leochares nie mógł patrzeć na przyprószone pyłem oczy, zamknął mu powieki, polecił szeptem bogom. A potem zaczął się czołgać.

Szło mu powoli. Kilka ruchów, potem musiał odgarnąć na bok kamienie, wypchnąć je na boki albo za siebie, tak żeby nie zatarasować zupełnie przejścia. Przepelznął ledwie parę stóp, a już himation miał w strzępach, paznokcie połamane, a skórę pokrytą płytkimi ranami; krew gęstniała natychmiast, mieszając się z wszechobecnym pyłem. Zaczynało mu brakować powietrza. Oddychał płytko, oszczędnie, pokaszując. Szybko zatracił poczucie czasu; odmierzał go, sprawdzając poziom oleju w lampce.

Kolejne ciało, mężczyzna, ale bez blizny na brodzie; trzeba iść dalej. Resztki miechu wentylacyjnego. Porzucone narzędzia. Pchnął kolejny kamień. Tym razem ustąpił łatwo, od razu odtoczył się na bok. Leochares zmrużył oczy, wyciągnął przed siebie lampkę. Migotliwy płomyk oświetlił niewielką, wysoką na kilka stóp komorę, z której odchodziły kolejne chodniki. Podziękował w myślach bogom. Jeszcze kilka ruchów i mógł wreszcie dźwignąć się z ziemi; strop nie był dość wysoki, żeby się w pełni wyprostować, ale już to, że mógł kucnąć, zdawało się luksusem.

Rozejrzał się wokół siebie. Jeden z chodników był zupełnie zatarasowany. Leochares podszedł bliżej. Spod kamieni wystawała ręka – szczupła, mógłby objąć nadgarstek palcami. Nie mogła należeć do wojownika, więc to nie Lethne, trzeba szukać dalej. Zauważył coś jeszcze między głazami; kawałek drewna. Wziął go do ręki, obejrzał z bliska. Stempel. Przepiłowany.

Leochares usłyszał chrzęst kamieni, poczuł ruch powietrza.

– Halo? Jest tu kto?

Nikt mu nie odpowiedział. Kolejny szmer. Oddech. Gwałtowny ruch, widziany kątem oka.

Leochares uskoczył w bok, instynktownie, w ostatniej chwili. Kilof uderzył w skałę tam, gdzie jeszcze przed chwilą była jego głowa, w powietrze strzelił snop iskier; przez mgnienie oka widział sylwetkę napastnika.

– Hej! – wrzasnął Leochares, odsuwając się na czworakach. – Spokojnie! Przyszedłem pomóc!

W ciemności błysnął metal, kilof znów zatoczył łuk. Leochares odturlał się na bok. Tym razem było blisko, bardzo blisko, czuł pęd powietrza na mokrej od krwi i potu skórze. Może mnie nie rozumie, myślał panicznie, może nie zna greki. Gorączkowo szukał w pamięci etruskich słów. „Mutna” to trumna, „pera” to, eee, dom, „pruchum” to... Dzbanek...? Kurwa, kurwa, kurwa!

Napastnik podniósł ręce nad głowę do kolejnego ciosu. Tym razem zamiast wykonać unik, Leochares skoczył do przodu. Złapał przeciwnika w pasie, przewrócił; usłyszał metaliczne *klang*, musiał wypuścić kilof. To była dobra wiadomość. Zła była taka, że dobrze wiedział, co zrobić z wolnymi rękoma – zacisnął mu je na gardle. Leochares próbował się oswobodzić, szarpał się, wierzgał, ale nic to nie dało, był po prostu słabszy. Zacisnął ręce w pięści, bił duszącego go mężczyznę po twarzy, ramionach, brzuchu; jedyny efekt był taki, że wybił sobie palec. Niedobrze, niedobrze.

Nie myślał, że to w ogóle możliwe, ale zaczęło robić się jeszcze ciemniej, a dźwięki – jego własne charczenie, dyszenie napastnika, chrobot kamieni – były coraz cichsze, wytłumione. Zaczął po omacku szukać ręką czegoś, co mogłoby się nadać na broń, jakiegoś narzędzia, kamienia. Trafił na swoją lampkę. Dobre i to.

Leochares zamachnął się, rozbił lampkę na głowie napastnika. Efekty były lepsze, niż się spodziewał. Płonąca oliwa rozlała się po jego himationie; materiał natychmiast stanął w ogniu, oświetlając wnętrze kopalni. Przeciwnik puścił go, wrzasnął zaskoczony i wściekły, próbował zerwać z siebie ubranie. Leochares dźwignął się z trudem na kolana, kaszlnął, drżącymi rękoma złapał kilof i obrócił go bokiem – po czym rąbnął przeciwnika w potylicę. Mężczyzna upadł na ziemię, bezwładnie, jak ścięte drzewo. I zapadła cisza.

Leochares oparł się o ścianę, oddychał głęboko, charcząc, haustami łapał powietrze. Łzy ciekły mu po policzkach, krtań pulsowała bólem, język miał

spuchnięty, zdrętwiały. Wreszcie zdobył się na to, żeby podczołgać się do napastnika; uderzył go swąd spalenizny. Wyteżył wzrok, ale nic nie widział; było zupełnie ciemno. Położył rękę na twarzy nieprzytomnego mężczyzny, badał ją dotykiem. Krzaczaste brwi. Duży, nieco wklęsły nos, kiedyś pewnie złamany. Wysokie kości policzkowe. I blizna na brodzie.

O, cholera, pomyślał Leochares, cofając dłoń jak oparzony. Mam nadzieję, że go nie zabiłem.

Leochares nabrał wody w dłoń, ochlapał twarz. Ciągłe miał wrażenie, że jest oblepiony pyłem, że ma go we włosach, w uszach, pod powiekami, ciągle czuł pod językiem piasek. Całą skórę pokrytą miał płytkimi nacięciami i zadrapaniami, wszystko szczypało i piekło.

W końcu wyszedł z balii, wytarł ciało ręcznikiem, krzywiąc się co chwila z bólu, założył świeży himation. Napił się, wino wleciało mu do tchawicy; rozkaszłał się, więc poszło mu nosem. Odstawił ze złością kubek, rozlewając trunek, i wyszedł z łazienki trzymając się ścian.

Aranth chodził po pokoju w tę i z powrotem, od łoża do łoża. Stół był ciągle zastawiony jedzeniem. Straciło nieco na apetyczności. Muchy chodziły po wystygłej rybie, ser zaczynał śmierdzieć.

– Wyciągnąłeś coś z Mamerce? – wychrypiał Leochares, trzymając się za gardło.

– Nie – odparł Aranth. – Do niczego się nie przyznaje.

– Kłamie własnemu księciu... Ciekawe.

– Porozmawiasz z nim?

– Może później.

Leochares usiadł ciężko na łożu. Przegonił muchy, wziął kawałek ryby. Żuł ją długo, potem jeszcze dłużej przętykał, kawałek po kawałeczku.

– Skąd... Skąd wiedziałeś, że coś jest nie tak? – nie wytrzymał Aranth.

– Bo pasztecik był za ciepły.

– Słucham?

Leochares wziął kolejny kawałek ryby, powąchał. Zmarszczył nos,

odłożył jedzenie, wytarł tłuste palce o materac.

– Kiedy weszliśmy do środka, jedzenie było już na stole. I to ile. Za dużo dla jednej osoby, nawet dla tego twojego Mamerce. Wszystko było ciepłe, gorące nawet.

– I nie zdziwił się, kiedy nas zobaczył...

– Właśnie. Musiał się spodziewać wizyty, ktoś go uprzedził. Pewnie ten ktoś kazał nas przytrzymać. A gdybyśmy tu sobie jeszcze posiedzieli, napili się winka, może byśmy nie usłyszeli, że w ogóle był jakiś wypadek. A potem... Potem mogłoby być już za późno.

– To... Co teraz?

Leochares miał ochotę zwinąć się w kłębek i pójść spać. Obudzić się następnego dnia, wysikać, zjeść i wrócić do łóżka. Niestety, czas gonił. Ktoś deptał im po piętach, zacierał ślady. Zabijał.

– Jak tam Lethne? – zapytał, powoli się podnosząc.

– Chyba nieźle. – Aranth wzruszył ramionami. – W każdym razie otworzył oczy.

– Dobrze... Chodźmy do niego. Może za drugim razem bardziej się polubimy.

Gabinet profesor Bellmont był wypełniony książkami. Stały na biegnących wzdłuż wszystkich ścian półkach – w dwóch rzędach. Na szafach. Na parapecie. Na kanapie. Na drukarce. Na lodówce. Na podłodze. Opasłe cegły i kieszonkowe wydania, od starych woluminów, o których nie można już było nawet powiedzieć, że są pokryte kurzem, bo kurz stał się ich integralną częścią, po pachnące jeszcze farbą drukarską nowości w błyszczących okładkach.

Jedynym miejscem wolnym od książek był, o dziwo, stojący na środku pokoju masywny stół. Leżały na nim ludzkie czaszki. Chyba ludzkie, chociaż jedna z nich wyglądała tak dziwnie, że Inga miała wątpliwości. Asymetryczna. Gąbczasta. Rozrośnięta. Z pajęczyną drobnych kostek w jednym z oczodołów. Inga podeszła do stołu, pochyliła się nad nią.

– Widzę, że poznałaś się już z Frankiem? – profesor Bellmont wyłoniła się zza regału. Inga podskoczyła, słysząc jej głos.

– F... frankiem?

– No, tym tu – Ava poklepała gruzłowate czoło. – Ulubieniec moich studentów.

– Dlaczego on jest taki... Eee...

– Dziwny? Nieleczony syfilis. Stąd Frank. Bo wiesz, franca... – profesor Bellmont spojrzała na nią wyczekująco. Inga zmusiła się do uśmiechu. – Tak naprawdę nie wiadomo, jak miał na imię. Znalaziono go podczas remontu szpitala St. Mary's. W masowym grobie.

– Nie wiedziałam, że syfilis robi takie rzeczy...

– O, nawet gorsze. Ludziom jeszcze za życia tworzyły się dziury w głowie, tak, że pod błonami można było zobaczyć mózg... Albo kość wyrastała im z oczu, jak taka wielka purchawka. Mogę ci potem pokazać zdjęcia.

– Bardzo chętnie – powiedziała Inga, powstrzymując odruch wymiotny.

– Już siadamy do twojego szkieletu, tylko sprzątnę tych dżentelmenów... Wybacz, dopiero co skończyłam zajęcia. O... Ten tu to też ciekawy przypadek – profesor Bellmont uniosła inną czaszkę. – Popatrz.

Inga przełknęła gęstą, lepłą ślinę. Całe szczęście, ta czaszka była już normalna. Z wyjątkiem tego, że przez jej środek, od linii brwi po potylicę, biegł gruby kościany grzebień.

– To już chyba nie przez syfilis?

– Nie. Przez mięso.

– Mięso?

– Mhm. Mięso trzeba długo żuć przed przełknięciem, prawda? Do tego używa się mięśni żwaczowych, które są zaczepione między innymi tu – obleczone niebieskim lateksem palce przejechały po kości skroniowej. – Kiedy się napinają, wywierają nacisk na boki czaszki, o tak, i pchają je w dół względem środka, który przez to się

wybrzusza. Wtedy powstaje taki jakby irokez.

– To też z cmentarza Saint Mary's?

– Nie. – Ava pokręciła głową – Z więzienia. Ten pan był piratem z Grenlandii, Inuitą, za młodu ewidentnie jadł właśnie duże ilości mięsa. Pod koniec dziewiętnastego wieku został pojmany przez Kanadyjczyków i powieszony wraz z całą załogą. Uniwersytet kupił jego kości na aukcji za kilka szylingów w tysiąc osiemset którymś tam.

– To w ogóle legalne?

– Dziś już nie, rzecz jasna. W ogóle pewnie będziemy musieli go niedługo oddać... – profesor Bellmont westchnęła ciężko, po czym odłożyła czaszkę do plastikowego pojemnika, powoli, ostrożnie, tak jak wkłada się śpiące dziecko do kołyski. – No dobrze – powiedziała potem, ściągając jednorazowe rękawiczki – tajemniczy mężczyzna z Tarentu. Siadaj, proszę. Tu mam pokserowane i powiększone zdjęcia... Chcesz herbaty?

– Chętnie.

– Earl Grey z mlekiem?

– Mhm. – Inga skinęła głową, choć osobiście uważała dodawanie mleka do herbaty za drugi największy kulinarny grzech Anglików, tuż za skłonnością do rozgotowywania wszystkiego na paciaję i niezrozumiałą awersją do soli. No, ale weszło się między wrony i tak dalej.

– Jak pisałam w mailu – zaczęła Ava, nalewając wody do elektrycznego czajnika – zaciekała mnie twoja prezentacja. Myślałam, że złapię cię jeszcze na przerwie i pogadamy, ale nie mogłam cię nigdzie znaleźć.

– Musiałam... Musiałam wrócić wcześniejszym pociągiem.

– Tak pomyślałam. W każdym razie zajrzałam do tej publikacji Manciniego, o której mówiłaś. Całe szczęście, fotografie są bardzo dobrej jakości, dużo można zobaczyć. – Ava zalała herbatę wrzątkiem. – Na tyle dużo, że siedziałam nad nimi do północy.

Położony na obrzeżach kopalni budynek dla chorych niewolników wyglądał, jakby sam miał zaraz umrzeć. Krzywe ściany, zarwany dach. Ciemne plamy i zacieki, w kątach grzyb. Smród starego potu, zaszczanych koców, gnijącej słomy. Kaszel, jęki, bzyczenie much, których nikt nie miał już siły przeganiać.

W środku stało dziesięć łóżek zбитych z nieheblowanych desek, sześć z jednej strony, cztery z drugiej. Zajęte były tylko dwa, w jednym leżał młody chłopak, może dwudziestoletni, ze złamaną ręką, w drugim Lethne. Dopiero teraz Leochares mógł mu się dobrze przyjrzeć. Widać było, czemu Caile wybrał go na przybocznego. Sześć, może nawet siedem stóp wzrostu, potężne ramiona. Twarz przystojna, ale jakby wykuta przez rzeźbiarza w pośpiechu: same linie proste i ostre krawędzie, usta małe, ledwie widoczne. Blizna na brodzie nie była jedyną, kolejną miał na szyi, nieco mniejszą na przedramieniu. Ślady po szerokich ostrzach, najpewniej mieczach. Leżał bez ruchu, blady; pod głową, na poduszce, wykwitła plama lepkiej krwi. Oczy rzeczywiście miał otwarte, ale zdawało się, że niewiele widzą.

Aranth usiadł na krawędzi łóżka. Lethne powoli odwrócił głowę w jego stronę. Kiedy zrozumiał, kogo ma przed sobą, a zajęło mu to dobrą chwilę, próbował dźwignąć się na łokciach; na jego twarzy malował się jednocześnie szacunek i wstyd. Księżę położył rannemu wojownikowi rękę na ramieniu, pozwolił opaść na poduszkę.

– Lauchum! Ami... Ami hathna... – wyszeptał Lethne.

– I ja również – odparł spokojnie Aranth. – Proszę, mów po grecku. Żeby on rozumiał.

Aranth wskazał stojącego obok Leocharesa. Lethne zmrużył oczy, zmarszczył brwi.

– To... byłeś ty? – spytał wreszcie.

– Mhm. Ja. I jeśli cię to pociesza, też miałem lepsze dni.

– Wybacz – Lethne mówił powoli, szukając w pamięci obcych słów. – Myślałem, że przyszedłeś mnie zabić.

– Dlaczego? – wtrącił się Aranth.

– Czekaj – Leochares usiadł na skraju materaca. – Niech zacznie od początku. Od dnia, w którym zginął Caile.

Kiedy Lethne usłyszał imię swojego króla, zacisnął ręce, błysnęły mu oczy. Leocharesa oblał zimny pot, przez krótką chwilę myślał, że wojownik zerwie się z łóżka i rzuci na niego z pięściami.

Zamiast tego Lethne się rozpłakał. Wpierw próbował powstrzymać łzy; zamknął oczy, przygryzł wargi. Wreszcie coś pękło i zaczął łkać. Leochares osłupiał, nie wiedział, co zrobić ani co powiedzieć. Na twarzy Arantha widział nie mniejsze zaskoczenie – i coś jeszcze. Może żal, może politowanie.

W końcu Lethne się uspokoił, wytarł mokrą twarz wierzchem dłoni. Wciągnął głęboko powietrze, aż nadęły się zarośnięte brodą policzki, potem miarowo je wypuścił. Wreszcie zaczął opowiadać. Rzeczowo, prostymi słowami, unikając ich wzroku.

Caile lubił polować. Najbardziej na dziki. Jelenie, łanie, kozły – to nudziło. Wiedział, że będą tylko uciekać, że nie stanowią żadnego zagrożenia. To jakby krowy po polu ganiać, mówił, tyle, że szybciej biegają. Dzik, a już najlepiej stary odyniec albo locha, która broni młodych, to zupełnie co innego. Na początku odyniec będzie chciał czmychnąć, prawda, ale jak zrozumie, że nie ma gdzie, że z drugiej strony nagonka idzie, to będzie bić się do końca, choćby już miał kilka strzał w karku. Wtedy, mówił Caile, dopiero wtedy robi się ciekawie. Bo dzik nie gra czysto. Będzie cię zwodzić. Będzie próbował rozpruć brzuch twojemu koniowi, wysadzić cię z siodła i stratować. A jak już będziesz myślał, że jest po walce, że już tylko trzeba go dobić i opuścisz na chwilę oszczep, wtedy właśnie zaatakuje po raz ostatni. Takie polowanie to nauka, którą warto sobie co jakiś czas powtórzyć, mawiał Caile. Możesz być i królem, ale starczy chwila nieuwagi, a zabije cię byle świnia.

Polowania planowaliśmy zawsze kilka dni do przodu. Caile wyznaczał dzień. Wtedy rozpuszczałem wici, pytałem, w którym lesie można znaleźć odpowiedniego samca. Potem skrzykiwałem królewskich kompanów, nagonkę, flecistów.

– Flecistów? Dobrze słyszałem? – spytał szeptem Leochares.

– Ojciec zawsze polował do muzyki – odparł Aranth.

- A to nie płoszy przypadkiem zwierzyny?
- Pewnie, że płoszy. – Etrusk wzruszył ramionami – Lubił wyzwania.
- A-aha.

Dlatego tamtego dnia, kiedy Caile przyszedł do mnie z samego rana i powiedział, że wyjeżdżamy zaraz na polowanie, bardzo się zdziwiłem. Nic nie powiedziałem, rzecz jasna, ale on i tak to wiedział. Byłem jego przybocznym wiele lat, niejedną raz dzieliliśmy na wyprawie ognisko i namiot, więc znał mnie dobrze. Spytałem, gdzie jedziemy. Machnął ręką. Spytałem, kto jedzie z nami. Powiedział, że Rasce, nikt więcej.

No to przygotowałem konie, oszczepy, łuk i strzały, sieć, wszystko tak, jak lubił. Poszedłem po Rasce, jeszcze spał, długo musiałem walić kołatką, zanim otworzył drzwi. Też nic nie wiedział, też się zdziwił. Kiedy wróciliśmy, Caile był już gotowy, ubrany na polowanie. Wysokie sznurowane sandały, krótki purpurowy płaszcz, tunika z haftowaną lamówką. Ale nie miał przy pasku swojego ulubionego noża do oprawiania, tego z kościaną rękojeścią, kojarczysz, Aranth? Wtedy myślałem, że po prostu o nim zapomniał. Pożegnał się z Seianti, chwilę o czymś rozmawiali, ale nie słyszałem, o czym. Zresztą, starałem się nie słyszeć. Tak jest lepiej. Potem Caile pocałował ją w policzek i wyruszyliśmy. Ale zamiast jechać prosto do bramy, zatrzymaliśmy się przed świątynią Menrvy.

- Menvr... Kogo? – Leochares przechylił głowę w stronę Arantha.
- Hm? Coś jak wasza Atena, ale...
- Tyle na razie starczy. Niech mówi.

Przed wejściem czekał na niego pierwszy haruspik[17], Pesna. Caile często go pytał o przyszłość, zwłaszcza jak jechał na wojnę. Zresztą Aranth wie, czasem chodził razem z nim, jeśli Velthura akurat nie było w mieście.

Weszli razem do świątyni. Chwilę potem usłyszałem beczenie barana – przerwane nożem. Widać Pesna odczytywał królowi znaki z wątroby. Musiały być złe, wyjątkowo złe, bo kiedy Caile do nas wrócił, był biały jak ściana. Rasce wtedy nie wytrzymał, spytał, co powiedzieli bogowie. Caile odparł, że nie jego zasrany interes. To zaniepokoiło mnie jeszcze bardziej niż te całe podchody. Caile tak nie mówił. Nie do Rasce, w każdym razie.

Kazał nam wsiąść na konie. Wyjechaliśmy z miasta północną bramą.

Myślałem, że jedziemy nad Jezioro Sabatyńskie, w tamtej okolicy są piękne lasy, polowaliśmy tam często za dawnych czasów, ramię w ramię, on i ja. Ale jak tylko Veii zniknęło za naszymi plecami, Caile kazał się zatrzymać i zejść z koni. Wziął naszą broń, schował ją za głazem, który leżał przy drodze, i powiedział Rasce, żeby naciął gałęzi i wszystko starannie przykrył. Potem przebrał się w prostą tunikę – szarą i znoszoną, nie widziałem, żeby wcześniej ją nosił – i ciężki płaszcz z kapturem. Nie zadawaliśmy pytań, a i on nic nie mówił. Widziałem tylko, że jest zdenerwowany. A Caile mało czym się denerwował.

Zamiast jechać dalej na północ, zawróciliśmy, ominęliśmy Veii szerokim łukiem i ruszyliśmy na południe. Caile kazał nam się trzymać z tyłu, na kilka długości konia. Nie podobało mi się to. Gdyby coś się stało, a miałem coraz silniejsze przeczucie, że coś się stanie, byłbym za daleko, żeby zareagować. Ale kiedy król daje rozkaz, nie ma dyskusji. Całe szczęście, nic się nie wydarzyło. Znaczący, jeszcze nie wtedy. Tuż po tym, jak słońce stanęło w zenicie, przybyliśmy do winnicy Thresu.

– A to co za jeden? – spytał Leochares, zasłaniając dłonią usta.

– Arystokrata.

– Sojusznik twojego ojca?

– Nie. Raczej... raczej wróg.

Weszliśmy do środka. Caile kazał nam iść do jadalni, przekąsić coś i poczekać. Sam zamknął się razem z Thresu w pokoju obok. Myślałem, że chwilę porozmawiają i będzie po sprawie, pojedziemy gdzieś dalej albo może wrócimy do Veii. Tak się jednak nie stało. Czas mijał, a Caile nie wychodził. Zaczynaliśmy się niepokoić, zwłaszcza że ludzie Thresu nie chcieli odpowiadać na nasze pytania. W końcu Rasce poszedł pod tamten pokój, przyłożył ucho do drzwi. Mówił, że nic nie słyszał. Żadnych głosów, ruchu, nawet skrzypienia mebli, no nic. Zapukał – żadnej odpowiedzi.

Zaszło słońce, a Caile wciąż nie było. Już nie wytrzymałem, chciałem wejść do środka. Drzwi były zamknięte. Jak próbowałem je wyważyć, zleciała się służba. Zacząłem się z nimi szarpać, jednemu chyba złamałem rękę, wtedy przybiegli strażnicy. Robiło się naprawdę nieciekawie. Wtedy otworzyły się drzwi i zobaczyłem Caile. Nic mu nie było, ale zauważyłem, że był spocony, a na rękę miał ślady krwi, jakby pospiesznie ją wytarł, ale nie

do końca. Thresu wyszedł za nim. Szybko się pożegnali i wsiedliśmy na konie.

Jechaliśmy do Vei po ciemku, w milczeniu. Szczerze mówiąc, byłem na niego zły. Miał swoje tajemnice, rozumiem. Ale mógł coś powiedzieć, uprzedzić nas. Że to długo potrwa, żebyśmy spokojnie czekali. Mógł wspomnieć, kogo unika, czego się obawia, przed czym ostrzegają bogowie. Może gdybym wiedział... Może ta historia skończyłaby się inaczej.

Nim wróciliśmy do miasta, musieliśmy nadłożyć drogi, żeby zabrać broń. W domu byliśmy trochę przed północą. Nim weszliśmy do środka, Caile kazał nam jeszcze przysiąc, że nie powiemy nikomu, gdzie byliśmy. Przysięgliśmy na wszystkich bogów. Potem przywitał się z Seianti, nakłamał jej coś o polowaniu i poszedł się myć.

To był koniec mojej służby. Byłem wycieńczony, marzyło mi się, żeby zjeść, wypić i zwalić się do łóżka, nie zdejmując sandałów. Każdego innego dnia bym tak zrobił. Ale coś mnie tknęło, coś mi nie dawało spokoju. Pomyślałem, że lepiej, żeby ktoś nad Caile czuwał. Niby nic mu nie groziło, był przecież pod własnym dachem, ale strzeżonego bogowie strzegą, i tak dalej. Usiadłem na ławie naprzeciw wejścia do łazienki. Niech zobaczę, jak stąd wychodzi, jak zamyka za sobą drzwi do sypialni, myślałem, i będę spokojny.

Wtedy kątem oka zauważyłem jakiś ruch w ogrodzie. Odwróciłem się – i zobaczyłem Rasce. Stąpał ostrożnie, omijając suche liście i gałęzie, trzymał się cienia, chował za krzewami. Słowem, skradał się. Zdziwiło mnie to. Patrzyłem, co robił dalej – podszedł do drzwi na tyłach posiadłości, zaczął gmerać przy zamku. Zawołałem go; podskoczył, kiedy usłyszał mój głos. Odwrócił się w moją stronę, pokazał, że mam być cicho i podejść bliżej. No to podszedłem... I wtedy uderzył mnie w głowę czymś ciężkim.

Upadłem na ziemię bez czucia. Nie wiem, ile tak leżałem... Obudziły mnie krzyki. Drzwi były uchylone. Rasce siedział obok, szlochał i mówił coś do mnie, ale nie rozumiałem co; szumiało mi w głowie. Wstałem, przewróciłem się, znowu podniosłem. Nim doszedłem do łazienki, upadłem jeszcze ze trzy razy. Wreszcie wszedłem do środka. Była już tam Agathe, ta grecka praczka, Seianti... I Caile. W wannie, z głową wygiętą do tyłu, z gardłem przeciętym na pół. Wszędzie była krew... Ale nie to mnie ruszyło,

tylko jego oczy. Wielkie i szeroko otwarte. Jakby zobaczył przed śmiercią ducha... Albo coś gorszego.

Lethne skończył swoją opowieść. Był wyczerpany – zbladł jeszcze bardziej, rozpalone gorączką wargi lepiły się do siebie, włosy były mokre od potu. Aranth podał mu kubek. Lethne pił powoli, małymi łykami, woda ciekła mu po brodzie.

Leochares milczał. Układał sobie w myślach całą historię, scena po scenie, jak dwanaście prac Herkulesa namalowanych jedna za drugą wokół krawędzi krateru[18]. Dużo było w niej znaków zapytania, tajemnic. Przed kim Caile próbował się ukryć, kogo mógł się bać sam król? Co usłyszał od haruspika? Co się wydarzyło w winnicy Thresu? I wreszcie – komu otworzył drzwi Rasce?

Myślał też o tej drugiej historii – tej starszej, ukrytej między słowami, w niedopowiedzeniach, przemilczeniach i tonie głosu. „Nieraz dzieliliśmy na wyprawie namiot”, „tak, jak lubił” „polowaliśmy tam ramię w ramię, on i ja”, „byłem na niego zły”. Lethne był lojalnym żołnierzem Caile, to nie ulegało wątpliwości. Ale kiedyś, kiedy był młody, miał mniej blizn, a jego policzków nie pokrywała jeszcze gęsta broda, był chyba kimś więcej. Troska zmieszana z wyrzutem, odwieczny znak starych kochanków.

Potem ktoś go zastąpił, wiadomo. Chłopak, który miał wciąż białe zęby i gładką skórę, na której dobrze widać było rumieńce, a pod koniec dnia pachniała słońcem, nie kwaśnym potem. Może Rasce. Lethne wypowiadał się o młodym niewolniku z sympatią, ale i zawiścią. „Caile tak nie mówił... Nie do Rasce, w każdym razie”. Może Caile warknął wtedy na niego, bo był zmęczony i zły. A może chłopak już mu się znudził, może na jego miejsce przy królu już czekał ktoś inny.

Leochares wstał, podszedł do okna. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Czas płynie szybko, kiedy się dobrze bawisz, pomyślał kwaśno, masując grdykę.

– To czemu myślałeś, że przyszedłem cię zabić? – zapytał Leochares, wracając do Lethne.

– Bo dobrze wiedziałem, że to nie był wypadek – odparł ledwie słyszalnym szeptem.

– Widziałeś, że ktoś podpłował stemple?

– Mhm.

– To czemu nic nie powiedziałeś? – wtrącił się Aranth. – Nie zawołałeś nadzorcy?

– Nie zdążyłem. Zaraz potem zaczęło się sypać.

– A dzień wcześniej? – książę wstał, zaczął chodzić w koło łóżka – Działo się coś dziwnego? Słyszałeś, żeby przyjechał ktoś z Vei albo...

– Aranth... – Leochares położył mu rękę na ramieniu. – On już nic więcej nam nie powie. Przynajmniej nie dziś.

Rzeczywiście, Lethne ich już nie słyszał. Zasnął albo raczej stracił przytomność, bo oczy miał półprzymknięte i obrócone białkami do góry.

– Szkoda faceta – powiedział po chwili Leochares. – Nie dałoby się go stąd wyciągnąć?

– Wątpię. Seianti się nie zgodzi.

– Wszystko musisz z nią uzgadniać? Jesteś chyba księciem, nie?

Aranth nie odpowiedział. Leochares odchrząknął, żeby wypełnić czymś krępującą ciszę. Zaraz tego pożałował; spuchnięte gardło przeszył ostry ból, łzy napłynęły mu do oczu.

– Co teraz? – podjął rozmowę Aranth. – Pójdiesz do Mamerce?

– Nie – Leochares pokręcił głową. – Nie chce mi się.

Aranth się skrzywił. Tej miny Leochares jeszcze u niego nie widział.

– Nie chce ci się? – książę powtórzył po nim, dodając na koniec znak zapytania zabarwiony niezadowoleniem.

– Ano, nie. Bo już teraz wiem, jak ta rozmowa przebiegnie. Wpierw Mamerce będzie się wszystkiego wypierać, zaklinać na bogów, na przemian oburzać i przymilać. – Leochares przeciągnął się, wyłamał palce ze stawów. – Potem, kiedy przyłapię go na jakimś głupim kłamstwie, będą łzy i błagania. Może musiałbym mu zrobić krzywdę, a nie mam na to ani ochoty, ani, szczerze mówiąc, siły. Koniec końców do wszystkiego się przyzna, wszystko powie. Tyle że w niczym nam to nie pomoże. Mamerce to nic nieznająca

płotka.

– Widzę, że jednak i ty posiadasz sztukę czytania przyszłości – odparł Aranth, skłaniając się lekko. Po raz któryś Leochares zastanawiał się, czy młody książę mówi poważnie, czy z niego drwi. W tym przypadku chyba jednak to drugie.

– Jak już ustaliliśmy, ja jestem od przeszłości. I nie tyle czytam, co wyciągam z niej wnioski. Wierz mi, odbywałem już takie rozmowy nie raz i nie dwa. Ktokolwiek stoi za śmiercią twojego ojca, jest za cwany, żeby zostawić wyraźne ślady. Tracimy tu tylko czas.

– Ciężko mi się z tym zgodzić.

– No cóż... – Leochares wzruszył ramionami. – W takim razie po prostu musisz mi zaufać.

– Nie. Nie muszę.

Oho, pomyślał Leochares, teraz się zaczniesz. Płacę, to wymagam. Zrobisz, jak mówię. Pod tym względem to, co teraz robił, nie różniło się aż tak bardzo od pracy złotnika. Tam też każdy klient był ekspertem. Tu grawerka za płytka, tu linia krzywa, kamień w oczku pierścienia nie dość solidnie osadzony, a zawieszka od kolczyka nedorobiona, i w ogóle jakaś nie tego. A najbardziej frustrujące w tym wszystkim było to, że zamiast zwymyślać ich wszystkich od najgorszych, musiał giąć się w pas, przytakiwać i zachwycać, o, jaki pan spostrzegawczy, dziękuję serdecznie za radę. Cholera, że też ja się nie mogłem urodzić księciem.

– No i? – powiedział Leochares, krzyżując ramiona na piersi.

– Sam się z nim rozmówię.

– A... Aha. No, pewnie, skoro sobie życzysz. Powodzenia.

Etrusk kiwnął głową i wyszedł. No, pomyślał Leochares, odprowadzając go wzrokiem, tego się nie spodziewałem.

Ludzie upijają się na trzy sposoby. Pierwszych po winie świerzbą pięści, szukają ze wszystkimi zwady. Drudzy, po kielichu zaczynają się nad sobą użalać, trzeci wreszcie – ze wszystkiego się śmieją.

Leochares należał zarazem do drugiej i trzeciej grupy. Owszem, kiedy już sobie dobrze wypił, wyliczał w myślach wszystkie smutki. Ale chciało mu się tylko z tego śmiać. Oczywiście, nie był to beztroski chichot kogoś, kto właśnie usłyszał przedni żart albo zobaczył dajmy na to, jak znienawidzony sąsiad zleciał z drabiny głową w dół w kupę gnoju. Był to inny rodzaj śmiechu – suchy i krótki, przywodzący na myśl kaszel.

Teraz akurat – kiedy leżał w ciemnej jadalni Mamerce, racząc się winem, którego gospodarz nigdy już sam nie skosztuje – rozbawiła go myśl, że marzy o czymś, czym kiedyś bezbrzeżnie gardził. O rutynie. Żeby codziennie jeść to samo śniadanie. Żeby iść do warsztatu tą samą drogą, kłaniając się tym samym ludziom, zatrzymać się po pieczywo przy tym samym co zawsze straganie, porozmawiać chwilę o pogodzie, polityce i o tym, że kiedyś to były czasy i świat schodzi na psy, a młodzież to już w ogóle, panie, szkoda gadać. Potem szarpać się chwilę z zardzewiałą kłódką, znów postanowić sobie, że jutro, no, najdalej pojutrze, wymieni ją na nową, rozpalić w piecu i kuć aż do zmierzchu jakieś proste druciki i inne duperele, fałszując pod nosem tę samą melodię. W końcu kielich w ulubionej tawernie, partyjka kości, niedużo wygrać albo trochę stracić, kolacja, i do łóżka z żoną. Kochać się z nią, zawsze w tej samej pozycji, wzywając bez większego przekonania imiona tych samych bogów, i iść spać, zawsze na lewym boku, z ręką wsuniętą pod poduszkę i jedną stopą wystającą spod kołdry.

Jego ojciec wiódł takie właśnie życie. Nigdy nie był dalej niż dzień drogi od Aten, nigdy nie wracał do domu później niż o północy i nie wstawał później niż o świcie, nie upijał się i, brońcie bogowie Olimpu i podziemi, nie chadzał na dziwki. Wyglądał przeciętnie, był średnio zamożny, średniego wzrostu i średniej inteligencji. Nie mówił nic, czego wcześniej nie powiedzieliby inni, na Zgromadzeniu^[19] głosował tak, jak większość, a w warsztacie robił tylko to, co przyuważył u konkurencji. Ale był szczęśliwy. I umarł we własnym łóżku, ze starości, w rodzinnym domu.

Jeśli miał jakieś zmartwienie, to był nim właśnie Leochares. Syn, który nie przykładał się do pracy, nie okazywał mu należnego szacunku, nie słuchał jego rad ani zakazów. Który zawsze musiał wyjść na najmądrzejszego, mieć rację i powiedzieć ostatnie słowo.

Kiedy jeszcze był młody, ojciec próbował go wychowywać rzemieniem. Miał ciężką rękę, jak każdy, kto pracuje przy kowadle. Zawsze uderzał go

w pośladki, czternaście razy, ani więcej, ani mniej. Mocno, ale bez złości. Potem kazał sobie przyrzekać, że to już ostatni raz i więcej się nie powtórzy. Leochares przyrzekał. Średnio trzy razy na tydzień.

Bicie skończyło się, kiedy miał czternaście lat. Ojciec posłał go po drewno do pieca, Leochares urwał się, zwiął do Pireusu[20], kręcił się po porcie i tawernach. W końcu zgłodniał – a że nie miał pieniędzy, ukradł jabłko ze straganu. Wtedy jeszcze nie wiedział, jak to się robi, kupiec go przyłapał. Uderzył go raz, otwartą dłonią – i na tym by się pewnie skończyło, gdyby Leochares mu nie oddał. Wtedy już kupiec sprzął go metodycznie, kijem, wybijając kilka zębów.

Leochares dokuśtykał do domu dopiero nad ranem. Ojciec czekał przy drzwiach, z rzemieniem w ręku. Złapał go za szyję, żeby obrócić do ściany i zacząć bić – zamiast tego zastygł bez ruchu. Jego czerwone z niewyspania oczy liczyły sińce, krwiaki, opuchlizny. Puścił go. Rzucił rzemień na ziemię, gwałtownie, trochę z obrzydzeniem, jakby nagle się zorientował, że trzyma w ręku nie pasek skóry, a wijącego się węża. Nigdy o tym nie rozmawiali. W ogóle mało już rozmawiali.

Zaskrzypiały drzwi. Leochares odłożył pusty kielich, odwrócił się. Aranth.

– O! Witam jaśnie szanownego pana – wybełkotał Leochares. – Połąć?

– Nie. – Książę zamknął za sobą drzwi. – Czemu tu jest tak ciemno?

– Bo mi się nie chciało zapalać lampki.

– Gdzie ona jest?

– Z lewej. Nie, z mojej lewej... O, tam właśnie.

Nerwowe, pospieszne ruchy. Już wcześniej Leocharesowi wydawało się, że Aranth boi się ciemności. Teraz był tego pewien.

– No i jak, dowiedziałeś się czegoś?

– Nie bardzo. Mamerce twierdzi, że o naszej wizycie uprzedził go jakiś posłaniec. Mówi, że nie wspominał, kto go przysłał, ani jak mu było na imię.

– Ha! A nie mówiłem? Twoje zdrowie.

Aranth zdołał wreszcie zapalić lampkę. Pokój zalało ciepłe, drgające światło. Książę odetchnął z ulgą.

– No, a co z nim? – spytał Leochares.

– Z Mamerce?

– Mhm.

– Kazałem zaprowadzić go do baraków niewolników – odparł książę. – Jutro zacznie pracę w kopalni. Ma odgruzować korytarz, który się zawalił.

– On... – Leochares usiadł na łożu. – On tam długo nie wytrzyma. Wiesz o tym, prawda?

Aranth spojrzał na niego, zdziwiony, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć na tak oczywiste pytanie. Książę miał wielkie ciemne oczy, z nieludzko wręcz długimi rzęsami. Leochares rzadko kiedy widział je tak dobrze, bo Aranth zazwyczaj nie patrzył w stronę rozmówcy, tylko spuszczał wzrok w dół.

– Dobrej nocy – powiedział wreszcie książę, wchodząc do sypialni człowieka, którego dopiero co skazał na powolną śmierć.

– Mhm. Smacznych snów – odpowiedział Leochares. Po czym jeszcze sobie dołał.

Leochares spojrzał w lustro. Skrzywił się. Pęknięta wargą, rozcięty łuk brwiowy. Oczy zapuchnięte i nabiegłe krwią. I jakby tego było mało – z nosa wystawały mu włosy. Dwa z lewej dziurki, jeden z prawej. Dobrze chociaż, że nie siwe. Leochares złapał pęsetę, wydał nozdrza, wstrzymał oddech. Przesuwał pęsetę powoli, w stanie najwyższego skupienia, niczym chirurg przygotowujący się do pierwszego cięcia skalpelem.

Ukłuł się w nos. Kichnął, potężnie, aż od ścian łazienki odbiło się echo. Zaklął, wytarł lusterko ręcznikiem. Trudno, pomyślał, z kłakami w nosie czy bez, i tak niezbyt korzystnie się prezentuję.

Opuścili kopalnię tuż po świcie. Leochares raz za razem smagał osła po zadzie; nie mógł się doczekać, aż zostawią w tyle kominy, duszący dym i hałdy gruzu. Jechali w milczeniu, Leochares z oczami przed siebie, Aranth – z głową zadartą do góry i rozdziawionymi ustami, wpatrzony w przelatujące nad głowami jaskółki. Trudno było powiedzieć, czy po prostu zachwycał się gracją ich lotu, czy też próbował wyczytać, co się zdarzy jutro, pojutrze czy za rok.

Leochares pokręcił głową. Oczywiście, Grecy też mieli swoje wyrocznie, w Delfach czy w Dodonie. No, ale żeby czegokolwiek się od nich dowiedzieć, trzeba było wpierw przedłożyć bogom odpowiedni dar – i to raczej z tych drogich. Trójnóg odlany z brązu, na przykład. Złote ozdoby, jakaś rzeźba, dajmy na to woźnica z kwadrygą i zaprzęgiem koni, rzecz jasna wielkości naturalnej i ze szlachetnymi kamieniami w oczodołach. To znaczyło, że na sięganie rady u bogów stać było tylko arystokratów i królów – co miało sens. Gdyby tak każdy mógł się dowiedzieć, co go czeka, nie byłoby morderstw ani włamań, o zdradach małżeńskich nie wspominając. Po drugie, greccy bogowie zawsze udzielali dwuznacznych odpowiedzi, jakby nie chcieli dzielić się wiedzą. Albo nie do końca byli pewni swego.

Aranth zakrztusił się, nagle i gwałtownie. Zbladł, wytrzeszczył oczy; spłoszony osioł rzucił łbem.

– W porządku? – zapytał Leochares. – Klepnąć cię?

– Ni... Nie – wyduślił z siebie Aranth, po czym odchrząknął i splunął. – Mucha – dodał po chwili, gestykulując. – Wleciała mi do ust.

No proszę, pomyślał Leochares z satysfakcją, tego nie przewidziałeś. Uznał jednak, że nie będzie znów poruszał tematu przesądów. Interesowało go co innego.

– Słuchaj... – zaczął. – To czego w końcu chciał twój brat? Wtedy, przy bramie?

Aranth nie odpowiadał. Odezwał się dopiero, kiedy Leochares miał już powtórzyć pytanie.

– Powiedział, żebym szykował się na wojnę.

– Z kim?

– Z Rzymianami.

– A tak, wspominałeś o nich. I co? Nie uśmiecha ci się to?

Znów cisza, przerywana tylko stukotem kopyt.

– Jeśli nie chcesz mówić, to...

– Tej wojny nie da się zwyciężyć.

– Tak powiedzieli bogowie?

– Nie. – Kąciki ust Arantha uniosły się lekko, zadrżały. – Tak powie ci

każdy, kto nie okłamuje samego siebie. Od stu lat nic, tylko przegrywamy. Przesuwamy granice coraz bliżej murów.

Leochares się nie odzywał. Czasem najlepiej ciągnąć za język milczeniem.

– Niech cię to wszystko nie zwiedzie... – Etrusk wskazał ręką urodzajne pola i pokryte winnicami wzgórza. – I niech nie oślepi cię nasze złoto. My umieramy. Jesteśmy jak zwierzę złapane w sidła, które im bardziej będzie się rzucać, tym szybciej się wykrwawi. Mój brat tego nie rozumie.

– Próbowaleś mu to powiedzieć?

Kolejny uśmiech. Aranth miał ich szeroką gamę. Z początku Leochares myślał, że wszystkie oznaczają to samo. Teraz dostrzegał, jak wiele różnych uczuć wyrażały.

– Król sam dobiera sobie doradców.

Aranth znów podniósł oczy do góry, osłonił je przed słońcem. Leochares już go nie zagadywał. Resztę drogi do Veii przejechali w milczeniu.

Inga wpatrywała się w rozłożone na stole zdjęcia. Znała je na pamięć. Szkielet *in situ*, w grobie. Oczyszczone kości rozłożone na białym płótnie. Zbliżenie na czaszkę. Na klatkę piersiową. Piszczele i ramiona. Próbowwała dostrzec w nich coś niezwykłego, coś, na co wcześniej nie zwróciła uwagi. Na próżno.

– Zacznijmy od banałów – powiedziała Ava, stawiając przed nimi kubki z parującą szarokremową lurą. Jeden był ozdobiony napisem wzorowanym na brytyjskich plakatach propagandowych z okresu drugiej wojny światowej, „Keep calm and dig on”[21], na drugim widniała komiksowa mumia z podpisem „I love my mummy”[22]. Ha, ha. – To na pewno był mężczyzna. Zobacz. Wąska, podłużna miednica. Duże zęby. Duże wyrostki sutkowate – Inga myślała, że profesor Belmont mówi o jakiejś kości w klatce piersiowej, ale jej palec wskazał dwa kulcowate zgrubienia u podstawy potylicy.

– Wiek ciężko określić na podstawie zdjęcia, ale... Patrząc na zęby, powiedziałabym, że czterdzieści, sześćdziesiąt lat to rzeczywiście dobry strzał. Spójrz, tu dobrze widać, że trzonowce są bardzo

wytarte... A ósemki wyrośnięte. No i ten intrygujący ząb z kości słoniowej. – Ava upiła herbaty, siorbiąc głośno. – Żeby powiedzieć coś więcej, musiałabym przyjrzeć się z bliska. Całe szczęście, wygląda na to, że spojenie łonowe jest dobrze zachowane, a po tym najlepiej widać lata. Tam są takie małe rowki, które znikają z wiekiem... Poza tym można by sprawdzić warstwy kostniwa w zębach, ilość widocznych osteonów w przekroju kości, i takie tam – Inga kiwała energicznie głową. Miała głęboką nadzieję, że profesor Bellmont nie zorientuje się, że nie ma najmniejszego pojęcia, o czym mowa.

– No, a teraz przejdźmy do ciekawszych spraw. – Kolejne siorbnięcie. – Nigdy nie widziałam tak zmasakrowanego szkieletu.

– W jakim sensie?

– W każdym możliwym. – Profesor Bellmont poprawiła okulary. Różowe oprawki zaskakująco dobrze na niej wyglądały. – Od czego w ogóle zacząć... Patrz tu, na kość czołową. Widzisz to zgrubienie? Ślad po poważnej ranie. *Uomo Misterioso* dostał czymś w głowę, wnioskując po kształcie zrostu najpewniej mieczem albo innym długim ostrzem. Została przecięta skóra, naruszona kość... Ale przeżył, bo to ewidentnie stary uraz, wszystko się całkiem ładnie zrosło. Kolejne oznaki traumy na kości piszczelowej, w tym miejscu, tuż pod kolanem, i wgłębienie na łopatce, zgaduję, że to po strzale. A do tego zrosty na żebrach tu, tu i jeszcze tu. To z kolei ślady po pęknięciach albo złamaniach.

– Myślisz, że któreś z tych obrażeń było śmiertelne? – mówienie do Avy Bellmont na „ty” przychodziło Indze z trudem, ale obracała się w anglosaskim środowisku akademickim na tyle długo, żeby wiedzieć, że za „panią profesor” Ava mogłaby się na nią obrazić.

– Nie. Po pierwsze, bo wszędzie są widoczne ślady gojenia, choć niektóre dość świeże. Po drugie, bo... Ale to zaraz. Idźmy po kolei.

– Oczywiście – powiedziała Inga, choć bardzo, bardzo chciałyby zacząć od końca. – Jak uważasz.

– To wszystko są urazy typowe dla przemocy interpersonalnej. – Dziwne wyrażenie, pomyślała Inga. Jaka jeszcze może być przemoc? Ekstrapersonalna? – Innymi słowy, ten człowiek dużo walczył, wiele

razy został raniony... I miał mnóstwo szczęścia. Każde z tych obrażeń mogło się zakończyć infekcją. A w tamtych czasach nie było na to lekarstwa. Ale to jeszcze nie koniec – profesor Belmont postukała idealnie zadbanym paznokciem w zdjęcie ze zbliżeniem na kości dłoni. – Popatrz tu. Niektóre paliczki są zdeformowane, rozrośnięte. Moim zdaniem to ślady po jakiejś poważnej chorobie zakaźnej, ale to trzeba by było zobaczyć z bliska, zbadać, porównać z literaturą, i tak dalej, zresztą sama dobrze wiesz, jak to jest. Ale jeśli ta wstępna hipoteza by się sprawdziła... To by znaczyło, że kolejny raz minął się ze śmiercią. I to o włos. Powinno się na niego mówić nie tajemniczy mężczyzna, tylko mężczyzna, który nie chciał umrzeć! Jakby to było po włosku? *Uomoh que...* Hmm...

– Chyba *uomo, che non voleva morire*.

– Ach, właśnie... Piękny język. Niby mówimy o trupach, a brzmi jak opera!

– Mhm. Wiesz, tak sobie myślę... – Inga upiła mdłej herbaty. Zastanawiała się, czy jeśli doda cukru, będzie bardziej zdatna do picia, czy wręcz przeciwnie. – Jeśli on rzeczywiście był z Aten, tak jak mi się wydaje... To mogłyby być ślady po zarazie, o której pisze Tukidydes. Daty się zgadzają, tylko... Masz go tu gdzieś?

– *Wojnę Peloponeską?* Gdzieś mam... – Ava odwróciła się od stołu, zmrużyła oczy. – O, tam! Za tosterem. Poczekaj chwilę. Opis zarazy był... w której księdze?

– Druga, ustęp czterdzieści siedem – Inga odpowiedziała bez wahania. Wreszcie przydało się na coś to seminarium z historii Aten, na które musiała chodzić na pierwszym roku doktoratu.

– Dwa czterdzieści... Czterdzieści trzy... O, mam. „Choroba bowiem – profesor Belmont czytała na głos – zaczynając od głowy przechodziła przez całe ciało w dół. Jeśli komuś udało się przetrzymać najgorsze, to jednak pozostawały ślady: choroba rzucała się bowiem na genitalia, na palce rąk i nóg...” [23]

– To by się zgadzało.

– Mhm... – Tukidydes wrócił za toster. – Mogłabym porównać te kości ze szkieletami z masowego grobu, który Efi Baziotopoulou-

Valavani odkryła w Atenach w trakcie prac nad metrem. To prawdopodobnie też były ofiary zarazy. Poczekaj, zapiszę sobie, żeby wysłać do niej maila...

– Słyszałam, że Grecy niezbyt chętnie podejmują taką współpracę.

– Efi to stara znajoma. – Profesor Bellmont przykleiła odblaskoworóżową karteczkę do monitora. – Zrobi wyjątek. Ale moment, bo chyba zboczyłyśmy z tematu...

– Mówiłaś, że żadna z tych ran nie mogła być śmiertelna – powiedziała Inga, odsuwając kubek na bok. – Ale że masz pewne podejrzenia, co go zabiło.

– Nawet pewność. – Ava kiwnęła głową. – To coś tu.

Profesor Bellmont wskazała klatkę piersiową. Inga pochyliła się nad zdjęciem, odsunęła przed oczu opadające włosy. I wtedy zobaczyła coś, czego jakimś cudem wcześniej nie dostrzegła. Ciemną plamę, na fotografii nie większą niż paznokieć, z lewej strony, między czwartym a piątym żebrzem.

– Co... Co to? – spytała Inga.

– Nie wiem dokładnie... Coś ostrego. Przebiło skórę, mięśnie, przeszło między kośćmi... Po czym ułamało się i utkwilo między żebrami.

– Jak Mancini mógł tego nie zauważyć?

– Och, wy archeolodzy klasyczni... – Ava machnęła lekceważąco ręką. – Kości was nudzą. Nic tylko te wazy, wazy, wazy. Mancini tak się skupił na robieniu odrysów z dzbanków, że widać przeoczył.

Zapadła cisza. Ava wstała, zaczęła robić następną herbatę. Inga trawiła nowe informacje, rozglądała się po pokoju. Na parapecie koło zlewu stała ramka z czarno-białym zdjęciem młodej kobiety. Jej rysy rozmazały się w buchającej z czajnika parze.

– Powiedz, co robisz w przyszłym tygodniu? – spytała profesor Bellmont, otwierając kosz na śmieci.

– Ja... No, nic specjalnego.

– Chciałabyś polecieć ze mną do Tarentu?

Jeden z zapaśników był młody, ale potężnie zbudowany – wyglądał jak rzeźba Heraklesa, której ktoś przez pomyłkę nałożył na kark głowę dziecka. Drugi był starszy, niższy, mniej umięśniony, ale nadrabiał doświadczeniem i sprytem. Zwodził przeciwnika, wymykał się z jego chwytów, świetnie pracował stopami, zapierając się w piasku, podstawiając nogę. Skóra obu błyszczała od oliwy, skrzyła się przylepionymi ziarnami piasku. Wokół krążył sędzia w śnieżnobiałej tunice z czerwoną lamówką i barwionych na niebiesko butach. Naprawdę lubią tu jaskrawe kolory, pomyślał Leochares, opierając się o barierkę. Szkoda, że jeszcze nie ma żółtej czapki. W różowe kropki.

Młodszy zawodnik położył dłoń na twarzy przeciwnika, całkiem ją przykrywając. Grube palce znalazły oczy, zaczęły wciskać je do środka. Starszy zapaśnik stęknął, osunęła mu się noga. Już, już miał upaść, kiedy sędzia uderzył osiłka grubą lagą w ramię; widać nawet u barbarzyńców wydłubywanie oczu było zabronione. Leochares skrzywił się. Jemu taki cios złamałby chyba kość – ale młodzieniec tylko syknął, jakby pod paznokieć weszła mu drzazga. Po widzach siedzących na otaczających arenę drewnianych ławach przebiegł szmer dezaprobaty.

Starszy zapaśnik wykorzystał zamieszanie – skrócił dystans, złapał osiłka obiema rękoma za nadgarstek, uderzył barkiem w szeroką jak szafa klatkę piersiową, mocno pociągnął. Młody zawodnik już oderwał stopy od ziemi, już leciał przez ramię przeciwnika, żeby wyrznąć o ziemię, ale w ostatniej chwili okręcił się i szarpnął z całej siły ręką, pociągając starszego mężczyznę za sobą. Upadający zapaśnicy zamienili się w powietrzu miejscami, pierwszy uderzył o ziemię ten starszy, osilek tuż po nim, a właściwie – na nim. Coś chrupnęło, w powietrze wzbijała się chmura kurzu; sędzia odskoczył na bok, wykrzyczał kilka słów. Osilek wstał, otrzepał się, uniósł ręce w triumfalnym geście; starszy zapaśnik wypluł ząb, otarł ślinę z ust i zataczając się zszedł z areny. W kolejce czekali już następni zawodnicy.

Dobra walka, pomyślał Leochares, wywijając dolną wargę w geście uznania, naprawdę. Z góry było wiadomo, jak się skończy, ale ten starszy facet długo się opierał. Następną walka zapowiadała się na bardziej wyrównaną – zawodnicy byli podobnej wagi i wzrostu, w tym samym wieku.

Sędzia uniósł kij ku górze, wzywając pewnie bogów na świadków, albo może dedykując im krew i pot zapaśników, kto ich tam wie. Leochares dopiero teraz zauważył, że końcówka sędziowskiej lagi jest zakrzywiona i rzeźbiona w kształt głowy węża. Sympatyczny akcent, pomyślał, puszczając barierkę.

Podszedł do ustawionego na podwyższeniu ozdobnego krzesła wyłożonego poduszkami. Siedziała na nim Seianti. Lewą nogę trzymała wyprostowaną, opartą o stołek. Miała na sobie ciemne buty z cielęcej skóry i bogato zdobioną czerwono-czarną tunikę. Wiatr potargał misternie uczesane włosy; pojedyncze kosmyki wymknęły się spod siatki utkanej ze złotych drucików. Seianti odgarnęła loki z czoła, sięgnęła do misy po figę; jej palce lepły się już od gęstego soku.

Zauważyła go. Uśmiechnęła się.

– O, proszę, mój gość z Tarentu – powiedziała, odgryzając kawałeczek owocu. Przyjrzała się Leocharesowi, zmrużyła lekko oczy. – Też brałeś udział w jakichś zapasach?

– Mhm. – Leochares przejechał ręką po pokierszowanej twarzy – Pięćdziesiąt stóp pod ziemią.

– O? To jakaś ciekawa historia?

– Nie aż tak, żeby opowiadać.

– Rozumiem. A dowiedziałeś się, gdzie tak naprawdę pojechał Caile?

– Gdzie, tak. Po co... Już nie.

– Lethne nie chciał mówić? Na to są sposoby.

– Nie wątpię. – Wzrok Leocharesa uciekł na chwilę w stronę areny, gdzie jeden z zapaśników właśnie przerzucił przez bark drugiego; widzowie zaczęli gwizdać. – Ale nie ma takiej potrzeby. Lethne był skory do współpracy... Koniec końców. Ale Caile i przed nim miał tajemnice.

– To co teraz?

– Pójdę tam, gdzie był twój mąż. Odwiedzę każde miejsce, w którym był tamtego dnia.

– Wydaje ci się, że znajdziesz jeszcze jakieś ślady?

– Nie. Ale też nie o to mi chodzi.

Seianti ugryzła figę. Żuła ją powoli, patrząc Leocharesowi w oczy. Aż

opuścił wzrok.

– A o co? – zapytała wreszcie.

– Żeby poznać tajemnicę Caile. Bo to ona go zabiła.

– Poetycko to ująłeś... Ale mojego męża zabił nóż. Wystarczy ustalić, czyja ręka go trzymała.

– Na razie ustaliłem – odparł po chwili Leochares – że ta sama ręka sprawnie zaciera tropy. Żeby znaleźć mordercę, muszę poznać jego motyw.

– Skoro tak twierdzisz...

Zawiał lekki wiatr, sypiąc piaskiem w oczy. Seianti zasłoniła się szalem, Leochares odwrócił głowę w drugą stronę. Kiedy znów spojrział w stronę królowej, zobaczył, że przygląda się sińcom na jego szyi.

– Tam, w kopalni... Było blisko, prawda?

– Tak – Leochares przełknął ślinę. – Nawet bardzo.

– To czemu to robisz?

– Słucham?

Seianti uniosła się trochę, skrzywiła z bólu, poprawiła poduszkę.

– No, czemu zgodziłeś się nam pomóc?

– Czy to podchwytliwe pytanie? Dla pieniędzy.

– Aż tak ich potrzebujesz?

– Nie. Ale moja rodzina już tak. – Leochares uklonił się lekko, zrobił krok do tyłu. – Jeśli to już wszystko...

– Bardziej niż potrzebują ciebie?

Leochares zmarszczył brwi. Nie podobał mu się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa.

– Czemu pytasz?

– Bo ja chcę z kolei zrozumieć twój motyw – odparła beztrąsko Seianti. – Intryguje mnie to. Wiesz, że możesz tu zginąć, prawda? A wtedy twoja żona i syn zostaną i bez ciebie, i bez pieniędzy.

– Więc?

– Więc tu chodzi o coś jeszcze, prawda?

– Jestem mniej skomplikowanym człowiekiem, niż ci się wydaje, królowo.

Leochares uklonił się, chciał już odejść – ale Seianti schwyciła go za rękę i obróciła ją wierzchem ku sobie. Pochyliła się, kolejny lok wymknął się spod złotej siatki, opadł jej na oczy. Przejechała powoli palcem po żyłach na nadgarstku, po liniach przecinających dłoni, drobnych bliznach, stwardniałych odciskach. Uniosła brew, wyraźnie zaintrygowana, wyduła lekko usta. Wreszcie puściła go i opadła bez słowa na poduszki; jej wzrok wrócił na arenę. Leochares stał chwilę bez ruchu, zdezorientowany, potem spojrział na swoją rękę, jakby spodziewał się zobaczyć tam coś ciekawego. Muszę obciąć paznokcie, pomyślał tylko.

– Wybacz... – powiedział po chwili. – Co się właśnie stało?

– Nic, nic... – królowa machnęła lekceważąco ręką; zabrzączały bransoletki. – No, idź już.

To nie była satysfakcjonująca odpowiedź, ale Leochares uznał, że lepiej nie wypytywać. Uklonił się po raz drugi, odwrócił i ruszył w stronę miasta. Czuł się dziwnie. Jakby właśnie się zorientował, że ktoś go podglądał.

Szedł powoli, nie zwracając uwagi na mijanych ludzi, na piskliwy dźwięk fletów, rozgrzany piasek pod stopami i intensywną woń cyprysów. Zastanawiał się nad słowami Seianti. Czy rzeczywiście przyjechał tu tylko dla pieniędzy – czy dlatego, że chciał uciec od żony i upadającej biedy, udowodnić coś sobie i innym, poczuć znowu, jak strach ściska mu żołądek, a potem znowu tę obezwładniającą ulgę, kiedy ujdzie z życiem z kolejnej bójki. Zwykł myśleć, że łądował się w kłopoty, bo miał pecha, że to było poza jego kontrolą. Że było mu to pisane, by zacytować Arantha. Lamia zawsze mówiła, że to on szuka guza. Sam już nie wiedział, które z nich miało rację.

Wrócił do domu Rasce, rozebrał się jeszcze w korytarzu, padł na łóżko. Od razu zasnął i spał jak kamień.

Nie usłyszał nawet, jak otwierają się drzwi sypialni.

φ

Leochares był rozdarty. Nie bardzo miał ochotę wstawać z łóżka, ale strasznie chciało mu się sikać. Obrócił się na drugi bok, zamknął oczy i próbował znów zasnąć. Liczył w myślach skaczące przez płot barany; dobił do trzydziestu dwóch. Dało to tyle, że zaczęło go jeszcze ssać w żołądku. Miał ochotę na owczy ser. Taki świeży, mokry, który rozpada się, kiedy kroci się go w plastry.

Westchnął, wstał. Poszedł do ogrodu i wysikał się pod krzewem bukszpanu. Siedząca na krawędzi dachu pliszka przyglądała mu się, przekrzywiając główkę jakby z wyrzutem. Leochares pokazał jej język. Ziewnął, podrapał się po porośniętym skręconymi włosami brzuchu i podreptał do kuchni. Owczego sera nie było, więc zrobił sobie owsiankę. Przypalił ją, ale tylko trochę.

Było wciąż wcześnie, ale nie na tyle, żeby kłaść się znów spać. Ubrał się więc i położył na łóżku. Wspominał nieodległe w sumie czasy, kiedy Teodoros był jeszcze mały i dzień w dzień budził jego i Lamię z samego rana. Chłopak od urodzenia miał silne płuca; darł się tak, że człowiekowi łzy napływały do oczu. Lamia brała go na ręce, próbowała uspokoić – a Leochares naciągał kołdrę na głowę i kłął pod nosem. Jak to jest, myślał wtedy, zgrzytając zębami, że małe ptaszki ćwierkają, małe pieski popiskują, małe świnki pochrumkują, ale małe dzieci to już drą ryja, jakby je obdzierano ze skóry?

Potem, kiedy Lamii udawało się w końcu uciszyć małego, leżeli wtuleni w siebie i czekali na świt. Czasem po prostu milczeli. Czasem Leochares szeptał jej do ucha różne historie. O tym, jak Tezeusz pokonał Minotaura. Jak Argonauci popłynęli po złote runo, albo jak Parys rozsądzał między boginiami spór o to, która z nich jest najpiękniejsza. Wtedy zawsze mówił, że gdyby do konkursu stanęła jeszcze Lamia, trojański księżę nie miałby żadnego dylematu i tym samym oszczędziłby wszystkim kłopotów. Lamia najbardziej lubiła opowieść o Ifis. Jej ojciec tak bardzo wyczekiwał męskiego potomka, że kiedy Ifis się urodziła, jej matka okłamała go, ukrywając prawdziwą płć dziecka. Małą wychowywano więc jak chłopca – i w końcu ożeniono z piękną Jantą. To wszystko powinno było dać mi do myślenia,

westchnął Leochares.

Usłyszał pukanie. Wstał, otworzył drzwi. Czekał na niego Aranth, jak zawsze punktualny, świeżo ogolony, pięknie ubrany. Ruszyli w stronę świątyni Menrvy – pierwszego miejsca, które Caile odwiedził w ostatnim dniu swojego życia. Było pięknie: bezchmurne niebo, lekki wiatr.

– Powiedz mi coś o tym... Jak on się nazywał? Ten kapłan?

– Pesna.

– Tak, Pesna. Twój ojciec często się go radził?

– W ważnych momentach. Kiedy wahał się, co zrobić.

– Aha... I zawsze słuchał rad bogów?

Aranth rzucił mu zdziwione spojrzenie, zmarszczył brwi.

– Inaczej byłby chyba niespełna rozumu, nieprawdaż?

– Racja. Oczywiście – powiedział Leochares, kiwając z przekonaniem głową. Trochę nadgorliwie.

Jechali chwilę w milczeniu. Zapytać, czy nie zapytać?, myślał Leochares. Wreszcie odchrząknął, obrócił się w stronę księcia.

– A nie przyszło ci do głowy... No, tak czysto teoretycznie... Że ci kapłani mogli nie być z twoim ojcem szczerzy? Wiesz, że na przykład mówili mu to, co chciał usłyszeć. Albo namawiali do czegoś, co było im na rękę.

Aranth milczał. Leochares uznał już, że musiał się obrazić i udawał, że w ogóle nie usłyszał pytania. W końcu jednak usłyszał odpowiedź. Dość wymijającą.

– Wrócimy do tego, jak już porozmawiasz z Pesną. Może być?

– O, matko... – Leochares przewrócił oczami. – Zawsze musisz być taki tajemniczy?

– Tajemniczy?

– Mhm. Za każdym razem, jak cię o coś spytam, słyszę „nie teraz”, „potem” i inne wymówki. I uśmiechasz się jak sfinks[24]. O... O, właśnie o tym mówię.

– Nie, po prostu... To ciężko wytłumaczyć. Zwłaszcza obcemu.

– Ech... Jak wolisz.

Zbliżali się do sanktuarium Menrwy. Leochares widział je już wcześniej, ale z daleka. Teraz mógł się przyjrzeć z bliska. Świątynia wyglądała podobnie jak te, które można było zobaczyć w Atenach, czy w każdym innym greckim mieście, ale była szersza, bardziej przysadzista – miało się wrażenie, że dach budynku jakby osiadł pod ciężarem stojących na nim rzeźb. A było ich całe mnóstwo: tłum bożków z gliny, o czerwonej lśniącej miękko skórze, zastygłych w pół kroku, z rękoma wzniesionymi w pozdrowieniu, z oczami skierowanymi gdzieś za horyzont, poza miasto. Wyglądali jednocześnie znajomo, ale i obco. Twarze mieli podobne do starych rzeźb z ateńskiego akropolu, ale Leochares nie wiedział, kto jest kim, który bóg odpowiada za jaką część świata, jakie nosi imię. Do kogo należy się modlić, a kogo się bać.

Weszli po wyslizganych kamiennych schodach, stanęli w cieniu masywnego frontonu. Aranth zastukał kołatką w potężne okute brązową blachą drzwi, powiedział kilka słów w swoim szorstkim języku. Po chwili ciężkie wrota się otworzyły. Powiało chłodem, w powietrzu czuć było kadzidło, kurz, odór krzepnącej krwi. Chyba zwierzęcej, pomyślał Leochares. Mam nadzieję, że zwierzęcej.

W środku nie było okien, jedynym źródłem światła były ustawione pod ścianami oliwne lampki. Ich drgające płomienie nie mogły oświetlić ogromnego wnętrza, miały raczej zaznaczyć jego krawędzie, stanowić punkty odniesienia pozwalające poruszać się w wiecznym półmroku; były jak gwiazdy dla żeglarza. Oczy Leocharesa dostrajały się przez chwilę do ciemności, potem z cienia wynurzyły się niewyraźne kształty. Rzeźba kobiety na kamiennym postumencie, z tarczą w ręku, w płaszczu z wijących się węży. Regały sięgające po sufit, zastawione rzędami ciasno zwiniętych zwojów. Przepowiednie, wieszczby, objaśnienia boskich zamysłów i planów. Wreszcie dostrzegł kapłana. Był niezwykle wysoki; wrażenie to potęgowała stożkowata czapka z czerwonego filcu.

Wydawało się, że Pesna w ogóle ich nie zauważył, wciąż stał pochylony nad kamiennym stołem, na którym leżały rozrzucone zwierzęce kości. Dopiero kiedy podeszli na kilka kroków, wyprostował się i spojrzał w ich stronę. Leochares spodziewał się starca o twarzy pobrużdżonej zmarszczkami, o oczach wpół zakrytych bielmem i białej brodzie sięgającej do pasa. Zamiast tego miał przed sobą chłopaka o pyzaty

policzkach porośniętych rzadkimi rudymi kłakami. Tasiemka od czapki była związana tak mocno, że wrzynała się głęboko w skórę. Szyja i broda kapłana były pokryte czerwonymi pręgami.

– Nie było jego rozmiaru? – zapytał szeptem Leochares.

– Jeśli kapłanowi spadnie czapka... To bardzo zły omen.

Ciekawe, pomyślał Leochares, gnąc się w ukłonie, jaki to omen, kiedy kapłan udusi się własnym nakryciem głowy.

– Witajcie w domu Menrwy – zawołał Pesna uroczyście. Po grecku, czyli wiedział, kto do niego przyjdzie. Mówił trochę niewyraźnie. Może dlatego, że przez ciasno związaną tasiemkę ledwie mógł rozewrzeć usta.

Po powitaniu nastąpiły niezbędne grzeczności i wymiana religijnych formułek. Leochares nie słuchał, nic go to nie obchodziło. Zamiast tego przyglądał się Pesnie. Patrzył, gdzie kieruje oczy, czy nie unika wzroku Arantha. Czy nie poci się, mimo panującego wewnątrz świątyni chłodu, albo nie skubie krawędzi haftowanego srebrną nicią płaszcz. Nie zauważył nic godnego uwagi. Poza tym, że kapłan chyba nigdy w życiu nie czyścił uszu.

– Przychodźcie w sprawie...? – Pesna zasygnalizował wreszcie, że gotów jest przejść do rzeczy.

– Caile.

– Niechaj Charun poprowadzi go ku krainie szczęścia.

– Mhm, trzymam kciuki – rzucił Leochares. Nie znosił tego uduchowionego tonu. – Widziałeś się z nim w dniu jego śmierci. Po co przyjechał?

– Po to, co zwykle. Poradzić się bogów. Spytać, co przyniesie przyszłość.

– Ale chyba nie wszystko poszło jak zwykle, prawda? – stwierdził Leochares. – Lethne powiedział, że Caile wyszedł ze świątyni wstrząśnięty. Czemu?

Pesna złożył dłonie. Delikatna blada skóra, brudne paznokcie.

– Bo zobaczył, jak umrze.

Pojechały do muzeum autobusem – Inga z twarzą przyklepioną do

szyby, profesor Bellmont zgarbiona nad iPadem. Tarent był dziwnym miastem, wyglądał jak nieślubne dziecko Florencji i Bytomia. Z jednej strony – pałacyki, placyki, ryneczki, wąskie brukowane uliczki, elegancko ubrani staruszkowie sączący espresso przy stolikach nakrytych płóciennymi obrusami w czerwono-białą kratę. Z drugiej – ponure bloki, pomazane sprejem ściany, walające się na ulicy śmieci, obwieszane kleszczami bezdomne psy, fabryki plujące w niebo żółtawym dymem. Najbardziej zanieczyszczone miasto Europy Zachodniej, przeczytała Inga w kolorowej ramce w swoim wysłużonym przewodniku. Producent dziewięćdziesięciu dwóch procent emitowanych przez Włochy dioksyn. Wypasanie zwierząt zabronione w promieniu dwudziestu kilometrów od miasta. Wzrost zachorowań na białaczkę o ponad trzydzieści procent między 1995 a 2004. Może dobrze, pomyślała Inga, że zostajemy tu tylko dwa dni.

Doktor De Luca wyglądał inaczej niż na zdjęciu. Trochę mniej włosów, trochę większy brzuch. Wnioskując po plamie na koszuli, do lunchu pił czerwone wino. Przywitał je z uśmiechem, spytał, jak minął im lot i czy były już na Piazza Fontana albo w kościele San Domenico. Nie, nie były. Ach, *mio Dio*, załamał ręce doktor De Luca, prowadząc je przez galerię sztuki antycznej, to potem ko-niecz-nie, bo to prawdziwe perełki, a jeszcze niezadeptane przez turystów. A na kolację trzeba wybrać się do *La Locandy*. Okolica może nieciekawa, ale dają najlepsze homary w całej Apulii, jeśli nie we Włoszech.

Indze trudno było się skupić na tych rekomendacjach; rozglądała się po galerii z rozdziawionymi ustami. Sarkofag z Grobu Atlety, o którym tyle czytała. Wazy apulijskie, na pierwszy rzut oka podobne do ateńskich, na drugi – zupełnie inne, malowane miękkimi liniami, pełne koloru, teatralności, zaludnione zadumanymi kobietami o rubensowskich kształtach i zniewieściałymi amorkami o złotych skrzydłach. Dziadek do orzechów z czwartego wieku przed naszą erą w kształcie smukłych kobiecych dłoni. I brązowe etruskie lusterko z Agamemnonem i Klitajmestrą.

Doktor de Luca zatrzymał się przy bocznych drzwiach, wstukał kod na wytartej klawiaturce. Zeszli schodami w dół. Inga wzięła głęboki oddech, uśmiechnęła się. Magazyny muzealne na całym świecie

pachniały tak samo: kurzem, starymi gazetami, pastą do podłogi. Stanęli przed zamkniętym na kłódkę pokojem; na tabliczce był koślawy napis *RESTI UMANI*. Ludzkie szczątki.

W środku było bardziej sterylne. Stalowe półki od podłogi do sufitu, płaskie plastikowe pudła wyłożone gąbką. Białe ściany, światło jarzeniówek, żadnych ozdób. Na środku aluminiowy stół. Trochę jak w kostnicy, tylko że cieplej; co się miało rozłożyć, już dawno się rozłożyło. Doktor de Luca wszedł na drabinę, ściągnął jedno z pudeł, otworzył zatrzaski. Zdjął wieko.

– Pobudka! Te dwie panie przyjechały aż z Anglii, żeby się z tobą zobaczyć.

W środku, otulone w białą gąbkę, leżały kości *Uomo Misterioso*. U samej góry – czaszka. Podobnie jak doktor De Luca, też wyglądała inaczej niż na zdjęciu. Kość była jaśniejsza, czystsza. Szczęki były rozwarte – jakby w niemym okrzyku, ostatnim tchnieniu. Obok kości długie. Miednica. Paliczki i reszta drobnicy były popakowane w osobne pojemniczki. Czegóż brakowało.

– A gdzie klatka piersiowa? – profesor Bellmont uprzedziła pytanie Ingi o ułamek sekundy.

– Hm? O, rzeczywiście, nie ma... Daję słowo, że tydzień temu... – doktor De Luca przerwał w pół zdania, ściągnął brwi. – Momencik... Sprawdzę w papierach...

Inga spojrzała w puste oczodoły *Uomo Misterioso*. No tak, pomyślała. Za łatwo to wszystko szło.

W ciszy, jaka zapadła, słychać było chrobot korników. *Trr, trr, trr*, świątynia wszechmocnej Menrvy powoli, powolutku rozpadała się w pył.

– Zobaczył gdzie? – spytał Leochares.

– Słucham? – Pesna przechylił głowę, zamrugał.

– Gdzie Caile zobaczył, jak umrze?

– W ofiarnej wątrobie, oczywiście.

Oczywiście, pomyślał Leochares. Jakżeby inaczej.

– A nie w śledzienie, przypadkiem? – warknął. – Albo, dajmy na to, w woreczku żółciowym?

Pesna zaniemówił, nadał policzki. Widać nie był nawykły do drwin.

– Jak śmiesz...

– Spokojnie – wtrącił się milczący do tej pory Aranth. – Leochares jest z daleka. Nie zna naszych zwyczajów.

– Ani manier?

– Wybacz, ale przyszedłem tu, żeby wyjaśnić, kto zabił waszego króla, a nie wymieniać się grzecznościami.

– Odpowiedziałem na twoje pytanie. A...

– Odkąd tu przyjechałem – Leochares wszedł mu w słowo – słyszę o przeznaczeniu zapisanym w baranich wnętrznościach. Tu znak, tam omen, a za rogiem wieszczba. Gównu mi to daje. Imienia zabójcy nie znajdę między jelitem a żołądkiem ani nie wyczytam go z gwiazd. Więc zejdzmy, uprzejmie proszę, na ziemię. Co dokładnie zobaczył Caile?

Pesna chciał coś powiedzieć. Ugryzł się w język. Zaczął raz jeszcze.

– Chodź. Pokażę ci.

Pesna odwrócił się na pięcie, ruszył w stronę przeciwległego końca świątyni. Leochares ruszył za nim. Jak ja nie znoszę kapłanów, myślał, mieląc w ustach przekleństwa. Nadęte bufony. Darmozjady. Te ich tłuste palce, które nigdy nie trzymały radła ani motyki, skóra, która nie widuje słońca, natchnione westchnienia i oczy ciągle uciekające ku niebu. Pies ich wszystkich trącał.

Pesna zatrzymał się przed stojącymi pod ścianą wysokim garncami. Zakasał rękawy, wsadził rękę do jednego z nich i długo grzebał – aż wreszcie coś wyciągnął, chyba kawałek mięsa. Buchnęło smrodem. Dziwny zapach, odór trupa i słodczy. Miód, pomyślał Leochares, patrząc na gęsty płyn ciekący po ramieniu kapłana. Nic tak nie konserwuje.

– Tak wygląda zdrowa owcza wątroba – powiedział Pesna, kładąc ochłap na blacie, tuż obok lampki o trzech knotach. Dawała sporo światła, więc wszystko było dobrze widać. Może nawet za dobrze. – Podłużna, nie większa

niż bochen chleba. Ciemnoczerwona, prawie czarna. Gładka. Żyłki ledwie widoczne, niebieskawe. Widzisz?

Leochares pokiwał głową. Starał się za głęboko nie oddychać.

– Wątroba ma szesnaście części – kontynuował Pesna – Na tyle części dzieli się świat. I ludzkie życie.

– Skoro tak mówisz.

– Z tej strony są narodziny. Te kawałki pokazują dorosłe życie... A ten tu, śmierć.

– Mhm. Zapamiętam sobie.

Pesna odwrócił się, znów włożył rękę do garnca. Towarzyszył temu obrzydliwy dźwięk, coś jak cmoknięcie albo przełykanie flegmy. Leochares czuł, jak owsianka podchodzi mu do gardła. Całe szczęście kapłan szybko wyciągnął rękę.

– A tak – powiedział Pesna – wygląda wątroba z barana, którego złożył w ofierze król.

Leochares pochylił się nad kawałkiem mięsa. Zwierzę, które wybrał Caile, musiało być chore, bardzo chore. Wątroba była mała, pomarszczona, pokryta grubymi poskręcanyimi żyłami i jakimiś wyrostkami.

– Patrz tu. Ten kawałek to śmierć. Co widzisz?

Leochares zmrużył oczy, skupił wzrok. Nawet w słabym świetle oliwnej lampki było widać, że tkanka miała niezdrowy, różowawy kolor. A żyły układały się w kwadrat. Nierówny, ale kwadrat.

– Różowy oznacza morderstwo. A kwadrat dom. Tak nas nauczył Tages – powiedział Pesna, wycierając lepkie ręce ręcznikiem. – Rozumiesz już?

– Rozumiem. – Leochares wyprostował się, zrobił krok do tyłu. – Wyczytałeś tu coś więcej? Na przykład, kiedy zginie?

– Nie. Tylko miejsce... I to, że śmierć będzie bolesna.

– To też się sprawdziło. A skąd Caile wystraszył tego barana?

– Wybrał go z przyświątynnej zagrody. Sam. Spośród dwudziestu innych.

– Mhm. – Leochares potarł brodę. – Możesz... Możesz już schować te cuda?

Pesna wrzucił obie wątroby do garnców, używając drewnianych szczypców, takich, jakimi na targu wyciągało się z beczek solone ryby. W półmroku, w drgającym świetle oliwnej lampki, wydawało się nawet, że wiją się jak dopiero co wyłowione sardyny. Leochares wzdrygnął się. Czuł, jak w ustach zbiera mu się gorzka ślina. Chciał ją wypluć, ale nawet on wiedział, że w świątyni nie wypada.

– No, dobrze. Caile dowiedział się, że zostanie zamordowany we własnym domu. Tak czy inaczej, niewesoła wiadomość. Jak ją przyjął?

– Źle, ale... – Pesna zawiesił głos, szukał słowa. – Nie aż tak źle.

– Jakby się tego spodziewał?

– Nie wiem. Może.

– No, dobrze. Co dalej?

– Caile złożył prośbę przed Menrwą.

– Żeby uratowała mu życie?

– Nie wiem, nie patrzyłem, co pisze... Ale wątpię.

– Bo?

– Bo wiedział, że nawet bogowie nie mogą tego zrobić.

Leochares miał już coś powiedzieć, ale dał sobie spokój. Potarł brodę, podrapał się za uchem.

– Aranth... – powiedział, obracając się w stronę księcia. – Poznasz pismo ojca?

Świątynię Menrwy wzniesiono na niewysokim wzgórzu. Na tyłach budynku było widać gołą skałę – porowatą, poprzecinaną szczelinami tufę. Największe z pęknięć, ciągnące się na kilka stóp, było prawie całkiem wypełnione ciasno zwiniętymi ołowianymi blaszkami. Na każdej z nich zapisano kilka skierowanych do bogini słów. Prośby. Podziękowania. Przekleństwa. Jeden z tych liścików zostawił tu Caile. Niewiele ponad miesiąc temu, w dniu swojej śmierci.

Oczywiście, Pesna nie był zachwycony, kiedy usłyszał, że Leochares chce grzebać w najświętszych trzewiach sanktuarium. Aranth wytłumaczył mu

jednak, delikatnie, ale dobitnie, że tym razem racja stanu bierze górę nad prawami bogów.

Pokonali pierwszą przeszkodę, ale czekające ich zadanie nie było łatwe; szukali igły w stogu siana. Całe szczęście, pozostawiony na powietrzu ołów szybko bieleje – Leochares i Aranth wiedzieli więc przynajmniej, że muszą rozglądać się za zwitkami o ciemnoszarym, prawie czarnym kolorze, leżącymi w górnej warstwie. To eliminowało ładnych parę tysięcy blaszek – ale wciąż zostawiało kilkaset innych.

Aranth twierdził, że Caile pisał w charakterystyczny sposób. Kiedyś, jeszcze za młodu, osłonił się przed ciosem tarczą, uderzenie było jednak tak silne, że połamało mu palce. Odzyskał w nich sprawność na tyle, by złapać miecz czy końskie wodze, ale utrzymanie w dłoni rylca sprawiało mu kłopot. Kiedy już musiał pisać sam, bo nie mógł wyręczyć się skrybą, stawiał duże, nierówne litery. Nigdy nie domykał litery „o”, „b” rył w lustrzanym odbiciu. Często poprawiał raz wydrapane linie, przekreślał nieczytelne znaki. To powinno wystarczyć, pomyślał Leochares, wyjmując kolejną blaszkę. Oby.

Szybko wypracowali z Aranthem sprawny system. Leochares szukał świeżo wyglądających zwitków. Podawał je księciu, ten delikatnie je rozwijał, przyglądał się literom. Nawet jeśli w niczym nie przypominały pisma ojca, czytał je na głos, a potem tłumaczył na grecki, na wszelki wypadek, żeby na pewno nie przeoczyli niczego ważnego. I tak, nim słońce stanęło w zenicie, Leochares wiedział więcej o rozterkach i namiętnościach mieszkańców Veii, niż kiedykolwiek chciał. Zwykle prosili o zdrowie – zalecenie ropiejącej rany, zrośnięcie kości, przejście gorączki. Czasem o szczęśliwy powrót bliskich z dalekiej wyprawy, o narodziny wyczekiwanego dziecka, najlepiej syna, o odwzajemnienie miłości. Nie brakowało też życzeń dotyczących innych – oby ten, co znieważył tamtego, skręcił nogę, oby temu, co przyprawia rogi, męskość uwiędła i odpadła niby liść jesienią, niechaj taki i owaki, co oszukuje w handlu, straci wszystkie pieniądze i po prośbie na próżno chodzi. Wkrótce obok Arantha wyrosła góra rozwiniętych blaszek. Leochares podniósł jedną z nich. Litery były podobne do greckich, ale nie składały się w znajome słowa. Pierwszy wiersz zawsze był pisany od lewej do prawej, ale następny już od prawej do lewej, a potem znowu od lewej – i tak na przemian. Dziwny zwyczaj.

Żeby zabić nudę, Leochares spytał, jaki jest sens składania próśb, jeśli

wszystko jest już postanowione. Bogowie nie mogą odwrócić losu, odparł Aranth, ścierając piasek z kolejnego zwitka, ale mogą wpłynąć na to, jak dokładnie się wypełni. Znaki mówią, dajmy na to, że umrzesz we własnym łóżku, osiągnąwszy sędziwy wiek, i tak się stanie, choćby nie wiadomo co, ile by nie składać ofiar i nie zanosić modłów. Ale czy umrzesz w tym łóżku bogaty, czy biedny, czy otoczony bliskimi, czy sam jak palec, to już decyzja bogów.

Bogowie z ograniczoną odpowiedzialnością, pomyślał Leochares. Ciekawe, jaka część tych próśb została spełniona. Ktoś mu kiedyś powiedział, że wystarczy zobaczyć, ile w świątyniach stoi dziękczynnych wotów, żeby przekonać się o dobrej woli niebios. Leochares był jednak zdania, że gdyby ludzie mieli w zwyczaju stawiać też rzeźbę za każdym razem, kiedy ich modły nie zostały wysłuchane, rachunek nie byłby dla mieszkańców Olimpu łaskawy.

Aranth z kolei spytał Leocharesa, czy wciąż wątpił w prawdomówność Pesny. Musiał przyznać, że nie, że kapłan, choć nadęty i irytujący, wydawał się szczery, a ta wątroba... Cóż, nawet on by powiedział, że nie zwiastowała niczego dobrego. Aranth potwierdził jeszcze, że wszystkie znaki, o których mówił kapłan, symbolika kształtu, koloru, układu żył i tak dalej, są spisane w księgach prorocत्व, że gdyby chcieli, mogliby je wszystkie sprawdzić, chociaż zajęłoby to trochę czasu. Leochares uznał, że nie ma takiej potrzeby, że lepiej skupić się na poszukiwaniu blaszki ze złożoną przez Caile prośbą. Aranth spytał też po raz kolejny, czy Leochares nie chce aby poznać swojego losu. Odparł, że nie, w życiu, za żadne skarby, dziękuję bardzo. Potem pracowali już w milczeniu.

Wreszcie, kiedy Leochares miał już ochotę cisnąć te wszystkie blaszki w cholerę, Aranth zerwał się na nogi i wznosił rękę w triumfalnym geście.

– Mam! Mam ją!

– Świetnie. Ale nie machaj tak, bo jeszcze ją upuścisz i wtedy szlag mnie trafi, czy mi tak zapisano w gwiazdach, czy nie. No, mów, co tam Caile napisał.

– Chwila...

Aranth obrócił się tyłem do słońca, zbliżył blaszkę do oczu. Przeczytał pospiesznie nakreślone litery, otwierając bezgłośnie usta, potem odwrócił się

w stronę Leocharesa. Minę miał niewyraźną.

– „Niechaj kruk przekona dzieci wilka”.

– Co?

– „Niechaj kru...”

– Nie, nie, usłyszałem za pierwszym razem, tylko nie rozumiem, co to znaczy. To jakieś wasze powiedzenie, przysłowie?

Aranth zwinął z powrotem ołowianą blaszkę w rulonik, cisnął ją w szczelinę.

– Nie. Pierwsze słyszę.

– Aha. A masz pomysł, co to może znaczyć? Jakikolwiek?

Aranth nic nie powiedział, wzruszył tylko ramionami. Fantastycznie, pomyślał Leochares, wycierając brudne, śmierdzące metalem dłonie.

– No nic, trudno. Może to ślepy zaułek. Może odkryjemy później, co miał na myśli.

– To... Co teraz? – spytał ksiązę. Czuć było, że jest tak samo zmęczony i sfrustrowany jak on.

– Teraz – Leochares skrzywił się, prostując plecy – to coś bym zjadł. Może nawet chwilę bym się zdrzemnął.

– Chcesz wrócić do domu?

– Nie, nie, tylko nie tam – wzdrygnął się Leochares. – Zabierz mnie do jakiegoś miejsca, które lubisz. Gdzie odpoczywasz.

Aranth zastanawiał się dłuższą chwilę. W końcu się uśmiechnął. Nie tajemniczo, nie smutnie, nie głupio. Szczerze.

Aranth wziął rozbieg, odbił się od deski, zrobił w powietrzu fikołka i gładko wszedł w wodę, ledwie tylko burząc taflę jeziora. Następny był Leochares. Nabrał powietrza w płuca, powoli je wypuścił. Stanął na krawędzi deski, spojrzał w dół. Wziął jeszcze jeden oddech. Wreszcie zamknął oczy, zacisnął zęby, skoczył – i płasko uderzył w wodę klatką piersiową i brzuchem. Głośne klaśnięcie odbiło się echem od szuwarów, wystraszone

kaczki zerwały się do lotu. Leochares wynurzył się na powierzchnię, rozkaszał. Dopłynął do brzegu jeziora, stękając i jęcząc, wyszedł na piaszczystą plażę, gdzie czekał na niego rozbawiony z jakiegoś powodu Aranth. Spojrzał w dół – już zaczynała mu czerwienić skóra. Dobrze chociaż, że nie uderzyłem czym innym, pomyślał masując obolały brzuch.

– Szczerze mówiąc – powiedział Leochares, skacząc na jednej nodze, żeby pozbyć się wody z ucha, za cholerę nie chciała wylecieć – nie wiem, gdzie tu frajda.

– Zrozumiesz, jak nabierzesz trochę wprawy.

– O, nie, nie ma mowy. Nie wchodzę już na to coś.

– Boisz się? – spytał Aranth, opierając głowę na łokciu.

– Nie. Po prostu jestem zdania, że gdyby bogowie chcieli, żebym latał, daliby mi skrzydła; i płetwę, gdyby sobie życzyli, żebym pływał. Na razie mam tylko dwie nogi i dwie ręce, więc wolę zostać na lądzie, dziękuję bardzo.

– Jak chcesz.

Aranth wstał, otrzepał się z piasku i wspiął się po drabince na szczyt trampoliny. Tym razem, zamiast wziąć rozbieg i odbić się jak najdalej, stanął na końcu deski i podskakiwał w miejscu raz po raz. Wreszcie odbił się, okręcił w powietrzu półtora raza i wszedł, albo raczej wślizgnął się bezgłośnie pod powierzchnię. Leochares pokręcił z niedowierzaniem głową. Chłopak był w wodzie zwinny jak wydra.

Księżę skoczył jeszcze kilkakrotnie. Leochares leżał na słońcu, z ręką założoną pod głowę, ze źdźbłem trawy w ustach. Raz na jakiś czas każdemu należy się przerwa. Aranth wyszedł wreszcie na brzeg, wytarł się płaszczem. Teraz, bez tych wszystkich bogato zdobionych ubrań, widać było, jak bardzo jest szczupły, wychudły nawet. Można było policzyć mu wszystkie żebra, a kręgi tuż pod skórą, wyglądały tak, jakby lada chwila miały ją przebić. Na całym ciele nie widać było chyba ani jednego włosa, za to plecy pokrywały niewielkie pieprzyki ułożone w skomplikowane konstelacje.

– No dobrze – powiedział Leochares. – To teraz byśmy może coś zjedli, hm?

– Lubisz raki?

– Lubię. A mamy jakieś?

– Nie – odpowiedział Aranth, wkładając tunikę na mokre ciało. – Ale złowimy.

– O? No dobrze... Jak to się robi?

– Są dwa sposoby. Po pierwsze, można je złapać w palce...

– Lubię swoje palce. Więc wolałbym trzymać je z dala od szczypców.

– No, to jest druga metoda.

Aranth uciął długą i prostą gałąź leszczyny. Rozszczepił jej końcówki, rozwarł je, wkładając pomiędzy mały patyczek. Potem wszedł po kolana w wodę, wznosił swój dziwny oręż do góry i zastygł bez ruchu. Stał tak dłuższy czas w absolutnej ciszy, jak rzeźba. W końcu uderzył, nagle i bez jakiegokolwiek ostrzeżenia; kijek zniknął pod powierzchnią. Po chwili Aranth wyciągnął leszczynę z wody – między końcówkami gałęzi, zamiast drewnianka, tkwił rak. Aranth złapał go z tyłu, jakby za kark. Skorupiak wiał się i rzucał, machał rozpaczliwie szczypcami, ale za nic nie mógł dosięgnąć ręki Etruska.

– Widzisz? – powiedział zadowolony z siebie chłopak. – To proste.

– Może dla ciebie... – odparł Leochares z niekłamanym podziwem. – Naprawdę, gdybym nie wiedział, kto był twoim ojcem, pomyślałbym, że spłodził cię jakiś wodny bożek.

Aranth drgnął. Rak to wykorzystał, wyślizgnął się spomiędzy jego palców i wpadł z pluskiem do wody. Kręgi powoli rozchodziły się po powierzchni, coraz większe i większe, aż w końcu znikły zupełnie. Zrobiło się cicho.

– Powiedziałem coś nie tak? – spytał Leochares.

– Nie – zapewnił Aranth tonem równie kategorycznym, co fałszywym. – Chodźmy stąd.

– A raki?

– Zjemy coś innego.

Leochares zastanawiał się, co się stało, jaką niezaleczoną ranę rozdrapał, jakiego czułego punktu dotknął. Coś związanego z rodziną, z ojcem. Może to bez znaczenia. Może wręcz przeciwnie. Trzeba to zapamiętać, zapytać później, jak Aranth trochę ochłonie.

Złapał krawędź himationu. Wyczuł pod palcami coś twardego. Dziwne. Jeszcze raz przejechał palcami po ubraniu. Nie, nie wydawało mu się. Coś tam było. Rozłożył himation na ziemi, pochylił się nad nim. Biała nić. Odcinała się wyraźnie od spranej, poszarzałej tkaniny. Wyciągnął nóż, rozciął ją szybkimi, nerwowymi ruchami. Aranth stanął obok, spojrzał pytająco. Leochares nic nie powiedział, zamiast tego zaczął gwałtownie trząść ubraniem.

Na ziemię wypadła ptasia kość, ludzki ząb, brązowa moneta.

– Co do cholery...

– Ktoś ci źle życzy. – Aranth lekko pobladł. – Bardzo źle.

– To wiem nie od dziś. Co te rzeczy oznaczają?

– Chorobę. Zdradę. Śmierć.

Leochares zgarnął fetysze w dłoń, zgniótł, rzucił w szuwary. Zaklął.

– Wczoraj, jak spałem... To się musiało stać wtedy. Ktoś wszedł do domu i zaszył mi te cholerstwa.

– Skąd... Skąd wiesz?

– Nie wiem. Podejrzewam tylko. Ale zaraz pojedziemy to sprawdzić. Cholera jasna... Nie powinniśmy byli robić sobie przerwy. Nie powinniśmy byli tu przyjeżdżać.

– Tak – Aranth powtórzył jego słowa jak echo. – Nie powinniśmy byli.

Leochares i Aranth chodzili na czworakach po sypialni, z nosem przy samej ziemi. Znaleźli pestki jabłka, zasuszone mysie bobki, kilka zdechłych much, kościany guzik. I kawałeczek białej nici, nie dłuższy niż paznokieć, ucięty równiutko z obydwu stron. Może zostawił go tu Rasce, może cerował tu sobie ubrania, siedząc na krawędzi łóżka. Ale Leochares nie postawiłby na to swoich pieniędzy, nawet gdyby jakies miał. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że kawałek nitki upuścił wczorajszy nocny gość.

Potem szukali innych śladów. Nie znaleźli ich wiele. Stołek stał chyba inaczej niż poprzedniego wieczoru, a Leochares był pewien, że go nie ruszał. Na podłodze, tuż przy framudze, była tłusta plama; ktoś naoliwił zawiasy,

żeby na pewno nie zgrzytnęły. Przed wejściem, tuż przy progu, Aranth zauważył okrągłe zagłębienie wielkości monety, zrobione czymś ostrym. I to wszystko. Nic nie wskazywało na włamanie. Najpewniej drzwi otworzono kluczem. Najpewniej zrobiła to ta sama osoba, która wcześniej podrzuciła martwego psa. Najpewniej znów nie uda się ustalić, kto to był.

– To... Co teraz zamierzasz? – spytał Aranth, kiedy już usiedli przy stole.

– Kupię kłódkę. Solidną. I z jednym kluczem. Ale to później... Wpierw coś wreszcie zjem.

– Myślałem, że bardziej się przejmiesz. Ten ktoś... Mógł cię zabić.

– O, tak... – Leochares ukroił kromkę chleba. Nóż był tępy, więc szło mu powoli. – Z łatwością.

– I co? Nie martwi cię to?

– Wręcz przeciwnie. – Leochares zamoczył pieczywo w oliwie, po czym wsadził cały kawałek do ust; tłuszcz pociekł mu po brodzie. – To jedyne, co mnie w tej sytuacji pociesza.

Aranth prychnął, pokręcił głową.

– Lubisz to, prawda? – spytał po chwili.

– Co, chleb z oliwą? Nawet bardzo.

– Nie o tym mówię. Lubisz, żeby cię dopytywać. Już się czegoś domyśliłeś, już ci coś świta, ale nie powiesz tego wprost. Poczekasz, aż poproszę, żebyś mi wyjaśnił.

Leochares przeżuł ostatni kęs, popił.

– Może i tak – przytaknął, ocierając tłuszcz z ust. – Odrobina próżności jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

– Wyjaśnij więc, co miałeś na myśli. Proszę.

– O moim nocnym gościu można powiedzieć kilka rzeczy. Po pierwsze, ma dostęp do twojego domu. To jakiś wasz krewny, przyjaciel, może kolejny niewolnik.

– Szerokie grono podejrzanych.

– Nie szkodzi. Nie mam zamiaru na razie go szukać.

– Bo?

– Bo nie stanowi większego zagrożenia. Nawet jeśli to on jest zabójcą.

Leochares nalał sobie wina. Po brzegi, aż się przelało. Zbliżył usta do krawędzi naczynia, upił trochę.

– Kontynuuj. – Aranth urwał kawałek chleba, zwinął ciasto w kulkę. – Jeśli możesz.

– Spokojnie, musiałem tylko zwilżyć gardło. No więc... Mój nocny gość nie zabił mnie, choć mógł. Zamiast tego zaszył jakieś śmieci w moim himationie.

– To nie były śmieci – Etrusk wszedł mu w słowo.

– Dla was może i nie. Dla mnie i owszem. I to jest pierwsza dobra wiadomość. Nocny myśli, że tak mnie powstrzyma. I świetnie, wolę, żeby przeszkadzał mi w ten sposób, niż wbił we śnie nóż między żebra. A druga dobra wiadomość – Leochares wziął kolejny łyk – jest właśnie taka, że na razie najwyraźniej woli, żebym pozostał przy życiu.

– Właśnie. Dlaczego?

– Nie wiem na pewno – powiedział Leochares.

– Ale masz swoje podejrzenia.

– Mam. Widzisz... Wydaje mi się, że temu komuś zależy, żeby moje śledztwo skończyło się fiaskiem, ale jednocześnie nie chce skandalu. Caile zginął już ponad miesiąc temu, sprawa zaczyna powoli przycichać. Ale gdybym ja teraz zginął, znowu zrobiłoby się o niej głośno. Zabójcy i jego wspólnikom, jeśli takowych posiada, to oczywiście nie na rękę. Więc lepiej mnie zniechęcić. Nastraszyć.

– A co, jeśli stwierdzą, że to nie działa?

– Zobacz się. Nie ma co kombinować na zapas, skupmy się na twoim ojcu, na jego ostatnim dniu. Świątynię już mamy z głowy, teraz ta winnica... Thrusa?

– Thresu – poprawił go Aranth. – Ale dziś już jest za późno, żeby tam jechać.

– To wybierzemy się tam jutro, z samego rana. A tymczasem... – Leochares klepnął się w udo. – Gdzie tu można kupić kłódkę?

– Na rynku. Zaprowadzę cię...

Coś zagrzechotało o dach. Mocno. Pękły dachówki, z sufitu posypał się pył.

– Grad...? – spytał zdziwiony Leochares, zadzierając głowę.

Doszedł ich dźwięk rogu. Krzyki. Szczęk żelaza.

– Nie sądzę – odparł Aranth.

Wybiegli przed dom.

Doktor De Luca przejrzał rejestr eksponatów. Potem segregator z pożółkłymi kartami muzealnymi. Wreszcie wykonał kilka telefonów, a każda kolejna rozmowa była głośniejsza. Mimo wszystko Inga słuchała doktora De Luki z przyjemnością. Uwielbiała włoskie awantury. Pełne ekspresji gesty godne dyrygenta, staccato pomysłowych przekleństw, modulacja głosu cudownie podkreślająca emocje, soczyste podwójne głoski, wymawiane przez lekko ściśnięte i zwilżone śliną usta: *gnoCCa*, *cabeLLa*, *vaFFanculo*. Żałowała tylko, że nie słyszy drugiej strony tych rozmów. No i że zapowiadało się, że tajemnica śmierci *Uomo Misterioso* pozostanie jednak nierozwiązana.

– Drogie panie – powiedział De Luca po ostatnim telefonie. – Jestem na tropie, ale to trochę potrwa. Czy mogę panie zostawić tu na chwilę same? Oczywiście, możecie w tym czasie przyjrzeć się reszcie szkieletu...

– Z przyjemnością – odparła profesor Bellmont, wyciągając z plecaka lateksowe rękawiczki. Inga zastanawiała się, czy spakowała je specjalnie na wyjazd, czy zawsze ma je przy sobie. Skłaniała się ku tej drugiej wersji. W końcu nigdy nie wiadomo, kiedy nadarzy się okazja, żeby pomacać jakieś kości.

Doktor De Luca uklonił się lekko i wyszedł z pokoju; jeszcze jakiś czas słyszały, jak podeszwy jego butów skrzypią na płytkach PCV. Profesor Bellmont założyła okulary, sięgnęła do pudła i wyciągnęła czaszkę. Trzymała ją w dłoniach, opierając kość na szeroko rozstawionych palcach. Indziej ten widok kojarzył się z Hamletem. Jakżeby inaczej.

– Twarz miał pociągłą, z szerokim nosem. Oczy osadzone głęboko. A tu... – Ava urwała, zbliżyła oczy do kości. – Hm. No proszę.

– Coś ciekawego?

– Nawet kilka rzeczy. Tutaj, na krawędzi kości nosowych, są ślady złamań. A tu, przy łukach brwiowych i na kości czołowej... Widzisz te małe pęknięcia?

– Mhm. Wygląda na rezultat urazu mechanicznego – Inga użyła fachowego zwrotu, zapamiętanego z któregoś z przeczytanych przed wyjazdem podręczników. Wreszcie na coś się przydał.

– Tak. I to urazu wielokrotnie powtarzanego. Widywałam coś podobnego na zdjęciach czaszek bokserów... Tyle że mniej. I nie w takim zagęszczeniu. Ale Grecy pewnie nie używali rękawic?

– Używali...

– Tak? No to już nie rozumiem.

– Używali – Inga podjęła przerwana myśl – ale nie takich, jak dzisiaj. Owijali ręce rzemieniami.

– Ale... To przecież nie zmniejsza obrażeń?

– Nie. Zwiększa. I o to chodziło. Potem nawet zaczęli stosować takie specjalne owijki, żeby lało się więcej krwi. Tu, na kłykciach – Inga zwinęła dłoń w pięść – był taki dodatkowy pasek utwardzanej skóry.

– Hm. Myślałam, że Grecy byli bardziej cywilizowani.

– O, nie. Po prostu w dziewiętnastym wieku zrobiliśmy im dobry PR. Wiesz, kolebka europejskiej myśli, sztuki, teatru, i tak dalej. To wszystko prawda... Ale nie do końca.

– Ciekawe... Muszę o tym więcej poczytać. No, ale wróćmy do kości. *Uomo Misterioso* musiał sporo bić się na pięści. I to od młodego wieku.

– Pasuje do tego, co sobie na jego temat wyobrażałam...

– No to teraz pokażę ci dwie rzeczy, które pewnie nie pasują. Spójrz na zęby.

Inga pochyliła się nad czaszką. Szczęki były mocno przerzedzone.

Część zębów *Uomo Misterioso* stracił pewnie za życia, część już po śmierci. Te, które się zachowały, nie wyglądały zbyt dobrze. Pożółkłe, prawie brązowe, pokryte kamieniem. Wytarte. Ukruszone. Z wyjątkiem tego jednego, z kości słoniowej i litego złota.

– No i? Co widzisz? – dopytywała się profesor Belmont. Inga czuła, że się poci. Uspokój się, powiedziała sobie w myślach, to przecież nie jest egzamin, idiotko. Niestety, nie podziałało.

– Um... Że miał problemy z higieną?

– Nie to miałam na myśli, ale tak, zgadza się. – Ava kiwnęła głową. – Widać, że nigdy nie czyścił zębów. Są ubytki od próchnicy, ale w sumie niewiele. Widać jego dieta była uboga w cukry. Po stopniu wytarcia zębów powiedziałabym, że jadł głównie miękkie rzeczy. Chleb, ser, owoce. Mięso pewnie z rzadka, ale to jeszcze sobie sprawdzimy na izotopach.

Nie pytaj, w jaki sposób, pomyślała Inga. Błagam, wszystko, tylko nie izotopy.

– Ale lepszych zębów z tamtych czasów ze świecą szukać... – westchnęła Ava, pokazując przez chwilę własne, pozostawiające sporo do życzenia, typowo angielskie uzębienie. – Mogło być znacznie gorzej. Zobaczyłabyś szczęki z Egiptu. Szkliwo wytarte przez piasek, zwłaszcza na trzonowcach... Musiało boleć jak cholera.

Inga przypomniała sobie, że musi się umówić na przegląd. Od razu rozbolały ją wszystkie zęby. Dentysta, którego miała opłaconego z uniwersyteckiego ubezpieczenia, miał siedemdziesiąt lat i był niereformowalny. Znieczulenie jest zbędne, najlepiej rwać, a jak już uzupełniać, to metalową plombą. Dobrze chociaż, że nie złotą, pomyślała, patrząc na czaszkę *Uomo Misterioso*. I wtedy zauważyła coś, na co wcześniej nie zwróciła uwagi.

– Te dwa rowki na piątkach... Co to?

– A, właśnie. Jak myślisz?

– Po tym, co widziałam w gablocie koło twojego gabinetu, kusi mnie, żeby powiedzieć, że ślady po jakimś ozdobnym piłowaniu... Ale Grecy tego nie robili.

– No właśnie. To ślady po gwoździach.

– Gwoździach? – Inga wyobraziła sobie, jak ktoś wkłada *Uomo Misterioso* gwoździe między zęby, a potem z całej siły uderza młotkiem. Zrobiło jej się sucho w ustach.

– Nie wiem, co sobie pomyślałaś, kochanie, ale możesz odetchnąć. On po prostu był rzemieślnikiem. Trzymał gwoździe w zębach, jak miał zajęte ręce. Po kilku latach robią się od tego takie właśnie żłobienia. Od ustnika fajki jeszcze większe, takie rozmiaru jednopensówki.

– A... Aha – z ulgą przytaknęła Inga. – Rzemieślnik, bokser, ranny na jakiejś wojnie, Ateńczyk mieszkający w mieście założonym przez Spartan... Ciekawe życie.

– To jeszcze nie wszystko – dodała profesor Belmont z uśmiechem.

A potem sięgnęła po lupę i obróciła czaszkę bokiem.

Kiedy Leochares miał jakieś siedem, osiem lat, lubił niszczyć mrowiska. Bawiło go patrzeć na biegające chaotycznie mrówki, był zafascynowany tym, ile tajemnic kryło usypane w stos igliwie. Przyglądał się, z nosem przy samej ziemi, jak robotnice wyciągały spod ziemi białe larwy, jak desperacko próbowały wynieść je w bezpieczne miejsce. Czasem zagradał im drogę i obserwował, jak sobie poradzą. Czasem wyobrażał sobie, że jest gromowładnym Zeusem i ciskał w nie gałązkami udającymi błyskawice, mrużeniem naśladując odgłosy grzmotów. Zwykle zabierał parę larw do domu i próbował je tam hodować; zawsze zdychały. Potem, kiedy miał dziesięć lat, przeżył pierwsze oblężenie miasta – i zabawy z mrówkami skończyły się raz na zawsze. Biegające w panice owady przywodziły na myśl obrazy, o których starał się zapomnieć.

Teraz, kiedy tylko wyszedł za próg domu, wspomnienia wróciły. Rżenie koni. Krzyk przerażonych dzieci. Trzask łamiących się belek, świst strzał, ryk płomieni. Tupot uciekających mieszkańców, tętent pędzących koni. Serce podeszło Leocharesowi do gardła, krew pulsowała w skroniach, żołądek się

ścisnął.

– Rzymianie – oznajmił Aranth. Był blady.

– Musimy się gdzieś schować. – powiedział Leochares, z trudem odrywając język od suchego podniebienia. – Gdzieś, gdzie nie dojdzie pożar. Czy...

– Chowaj się, jeśli chcesz. Ja nie mogę.

– Słuchaj, to nie jest pora, żeby zgrywać bohatera...

– Nie? – powiedział ksiązę, drżącym głosem, ale dumnie. – A kiedy?

Leochares miał już pozwolić mu odejść. W ostatniej chwili złapał go za ramię.

– Czekaj. Z gołymi rękoma nic nie zdziałamy. W domu jest broń myśliwska.

Etrusk kiwnął tylko głową. Wrócili na chwilę do środka. Nie mieli dużego wyboru. Aranth wziął długi nóż, Leochares włócznię. Mam nadzieję, pomyślał, idąc szybkim krokiem w stronę odgłosów walki, że dostanę za to jakąś premię.

Aranth trzymał broń nisko, kurczowo zaciskając dłoń na rękojeści noża, aż zbieleły mu kłykcie. Zamiast oprzeć zwinięty kciuk o złożone palce, trzymał go u góry, tuż przy ostrzu. Niedobrze, pomyślał Leochares. Nie umie walczyć. Nigdy nie był na wojnie ani chyba nawet na polowaniu. Dlatego tak mu się spieszy, nie wie, co go czeka. Leochares zaklął, odwrócił wzrok, skupił się na swojej broni. Włócznia dobrze leżała w rękach. Solidne drzewce, suche, ale nie zeschnięte, nie powinno pęknąć przy uderzeniu. Grot żelazny, wysłużony, ale bez śladu rdzy, mocno osadzony. Krawędzie były jaśniejsze, łapały światło. Dobrze, znaczy, że były niedawno ostrzone. Pewnie wtedy, jak Rasce szykował się na polowanie ze swoim królem.

Wybiegli na główną ulicę. Brama była otwarta na oścież. Na ziemi leżało już kilka trupów – twarze zalane krwią, ręce wygięte pod dziwnym kątem. Koń z rozprutym brzuchem, wierzgający rozpaczliwie; z każdym ruchem więcej śliskich flaków wylewało się na piasek. Inni wciąż walczyli. Etruskowie – jedni bez hełmów, inni bez butów, któryś w niedopiętym napierśniku. I napastnicy. Na spienionych wierzchowcach, w lekkich zbrojach, w ubłoconych płaszczach. Zwiadowcy. Musieli tu wpaść

znienacka, zaskoczyć strażę. Gdzieś niedaleko był główny oddział, ciężka piechota. Maszerowali w stronę miasta, bieгли. Jeśli dotrą do Veii, nim zamkną się bramy, będzie rzeź.

Jeden z Rzymian zauważył ich. Ściągnął lejce, docisnął konia kolanami, prawie obrócił go w miejscu – i ruszył cwałem, unosząc miecz do ciosu. Dobry jeździec, pomyślał Leochares, patrząc, jak pracuje nogami, jak doskonale synchronizuje swoje ruchy z ruchami wierzchowca. I dobry wojownik. Wziął niewielki zamach, wie, że pęd konia wystarczy, że siła mięśni nie jest już potrzebna; lekko ugięty łokieć, nie trzyma broni sztywno, żeby nie wypadła przy uderzeniu. A ja nawet nie mam tarczy.

Aranth stanął na środku drogi, wznosił nóż wysoko nad głowę, zaczął coś krzyczeć – łamiącym się głosem, ale za to bardzo głośno. Najwyraźniej miał zamiar zatrzymać szarżę. Idiota, pomyślał Leochares, no po prostu idiota. Doskoczył do niego, pociągnął go z całej siły za płaszcz. Księżę poleciał na ziemię, Leochares za nim; miecz jeźdźca świsnął im nad głowami.

– Co robisz?! – krzyknął Aranth. Twarz miał oblepioną pyłem, ledwo widział.

– Ratuję ci skórę – zawołał Leochares, powstrzymując kaszel. – Nie ruszaj się stąd!

Leochares rozpiął broszę spinającą płaszcz Arantha, po czym zaczął owijać materiał wokół lewej ręki, najszybciej, jak tylko dało się spoconymi, drżącymi rękoma. Wełna najwyższej jakości, cienka, ale gęsto tkana. Dobrze. Będzie ją można ciasno okręcić. Z odgłosów walki – krzyków, szczęku żelaza, dmących bez przerwy rogów – starał się wyłowić atakującego ich jeźdźca. Rzenie konia, któremu ściągnięto nagle wędzidło, drobienie kopyt, potem znów narastający tętent. Odwrócił się. Rzymianin pędził już w ich w stronę, wzbijając tuman kurzu.

Leochares złapał włócznię, wstał, odsunął się jak najdalej mógł od Arantha. Stanął bokiem i zgarbił się, żeby stanowić jak najmniejszy cel, oparł trzonek włóczni o ziemię, owiniętą płaszczem rękę trzymał nisko, tak żeby nie było jej widać. Robiłeś to już, powtarzał sobie w myślach, nie panikuj, a będzie dobrze. Gówno prawda, odpowiadał mu drugi głos. Gówno prawda.

Czas jakby zwolnił, Leochares wyraźnie widział nadciągającego jeźdźca... Dokładnie ogolony. Orli nos. Niebieskie oczy. Twarz, na której nie

widać choćby śladu nienawiści, wściekłości, żądzы krwi. Tylko skupienie. Zauważył włócznię, więc odbił trochę w bok, żeby znaleźć się poza jej zasięgiem. Szykował miecz do ciosu. Trzymał go wysoko, będzie mierzył w głowę. Tętent był coraz głośniejszy, pod Leocharesem zadrżała ziemia – a może to drżały jego kolana, trudno powiedzieć. Wytrzymaj, myślał, tłumiąc całkowicie naturalny i ze wszech miar pożądany odruch, żeby rzucić wszystko w cholerę i wiać, wytrzymaj jeszcze tylko chwilę.

Potem wszystko wydarzyło się szybko, bardzo szybko, jakby czas rekompensował sobie chwilowe spowolnienie. Wielkie, lśniące oczy konia tuż przed twarzą. Pęd powietrza. Świst żelaza tnącego powietrze, miecz opadający na jego głowę. Leochares zasłonił się ręką owiniętą płaszczem, jednocześnie przesuwał włócznię w bok, ku mijającemu go koniowi. Bogowie, zdążył jeszcze pomyśleć, o bogowie. I zamknął oczy.

Wpierw poczuł piorunujący ból w lewym ramieniu, kiedy ciął go jeździec, chwilę potem szarpnięcie w prawym, kiedy jego włócznia weszła w bok konia. Krzyknął z bólu, upadł bezwładnie na ziemię. Uderzył głową o coś twardego, przeturlał się, wreszcie wpadł na ścianę i zatrzymał, chociaż wszystko wokół kręciło się nadal.

Chyba żyję, pomyślał głupio. Chyba. Oparł się na łokciu, stęknął i osunął znów na ziemię; poczuł w ustach palący, kwaśny smak wymiocin. Spróbował podnieść się jeszcze raz. Powoli, z plecami opartymi o ścianę. Chciał ruszyć lewą ręką. Zaboląło. Spojrzał w dół. Owinięty wokół ramienia płaszcz był rozcięty, nasiąkał krwią. Poczuł przyspieszone bicie serca, zimny pot. Słowem, strach. Ale chwilę potem – uczucie ulgi. Rana była płytka, powierzchowna. Sprawdził prawą rękę. Bolała jak cholera, ale mógł nią ruszać. Trochę.

Rozejrzał się. Jeździec wygramolił się już spod konia, cały czerwony od jego krwi. Włócznia tkwiła w ciele wierzchowca. Zwierzę miało połamane nogi; rżało cicho, żałośnie. Rzymianin wpierw zatoczył się, ale potem stanął twardo na ziemi. Wzniósł miecz nad głowę, opuścił go szybkim ruchem. Rżenie ustało. Potem jeździec obrócił się w stronę Leocharesa. Pierwsza zła wiadomość – wciąż miał broń, a Leochares już nie. Druga – ewidentnie był w lepszym stanie niż on. Trzecia – spokój i skupienie malujące się wcześniej na jego twarzy ustąpiły miejsca wściekłości. Rzymianin ruszył w jego stronę. Pewnym, szybkim krokiem. Nie odpuści, dopóki go nie zabije.

– Aranth! – krzyknął Leochares, rozglądając się wokół. – Aranth!!!

Zobaczył go. Księżę siedział pod ścianą. Po wcześniejszej odwadze nie zostało ani śladu. Był przerażony. Szeroko otwarte oczy, łzy ciekące po brudnych policzkach. Nie zdziwiło go to. Wiedział, że tak będzie. Wojna na żywo wygląda trochę inaczej niż na wazach i w pieśniach aojdów[25]. Nie liczył na to, że księżę przyjdzie mu z odsieczą. Chciał czegoś innego.

– Aranth! – wrzasnął. – Nóż! Rzuć mi swój nóż!

Etrusk obrócił się w jego stronę, ale spojrzenie miał puste, nieobecne.

– Nóż! – ryknął Leochares, łypiąc w stronę zbliżającego się Rzymianina. – Daj nóż!

Aranth nie zareagował. Nie był w stanie. Niedobrze, pomyślał Leochares. Szukał wzrokiem czegokolwiek, czym mógłby próbować się bronić. Grubego kija. Motyki. Ułamanej deski. Nie było nic, absolutnie nic. Ugiął lekko kolana, szykując się, żeby uskoczyć w bok. Kości chrupnęły ciężko, prawie stracił równowagę. To nie wróżyło dobrze.

Rzymianin powiedział coś w swoim języku, wyciągnął miecz przed siebie. Dziwna intonacja. Pytająca?

– Jestem Grekiem! – krzyknął. – Mówisz po grecku?

Miecz przeciął powietrze. Leochares zrobił krok do tyłu, wpadł na ścianę, upadł na ziemię. Kością ogonową uderzył o kamień; plecy przeszył mu błysk bólu.

– Homer! Illiada! – krzyczał bez sensu Leochares. – Ateny! Olimpia! Jestem Grekiem, nie zabijaj!

Rzymianin nie rozumiał. Albo rozumiał, ale miał go w dupie. Znów wzniósł miecz nad głowę, ryknął. Leochares zasłonił się rękoma, zacisnął oczy, wrzasnął.

A potem Rzymianin upadł na niego, bluznęło krwią. Jeździec próbował coś jeszcze powiedzieć, ale z jego ust wydobywały się tylko krwawe bąble i jakby żabie skrzeczenie; po chwili i to ustało. Leochares siedział chwilę bez ruchu, oszołomiony – a potem zrzucił z siebie bezwładne ciało. Z pleców wystawały dwie strzały. Na ulicy zaroilo się od etruskich wojowników, zamykali bramę.

Odsiecz, pomyślał Leochares, w samą porę. A potem się rozplakał.

Pocisk procy był wielkości i kształtu migdała, ale znacznie cięższy. Zdaje się odlany z ołowiu. W ogrodzie leżało ich kilkanaście; to one zagrzechotały o dach domu, zwiastując atak. Ten akurat spadł tuż koło stołu, wszedł głęboko w miękki grunt. Dobrze, że nas tu wtedy nie było, pomyślał Leochares, obracając pocisk między palcami. Kiedyś lekceważył procarzy, miał wrażenie, że ich broń nadaje się co najwyżej na zające, nie na wojnę. Ale potem zobaczył ich w akcji – zobaczył, co taki mały, malusieńki kawałek metalu może zrobić człowiekowi, jeśli odpowiednio mocno się nim ciśnie. Jaką piękną okrągłą dziurkę może zrobić w hełmie. I w czaszce.

Wyczuł coś pod palcami. Litery? Przyjrzał się bliżej. Tak, jakiś napis. Wypukły, więc z odlewu.

– Rozumiesz, co tu jest napisane? – zapytał, podając pocisk Aranthowi.

Etrusk wyteńczył wzrok, skrzywił się.

– „Łap”.

– Ha. Zabawne. Znaczy, czarny humor, ale zabawne.

Aranth się nie zaśmiał. Leochares cisnął ołowianą kulkę w krzaki.

– Jesteś mi coś winien – odezwał się po chwili, siadając na krześle. Delikatnie położył lewą rękę na oparciu, ostrożnie, żeby nie zaczepić o nic bandażem. Całe szczęście, rana nie była poważna, kość nie została złamana. Ale i tak bolało. Bardzo.

– Ja... Przepraszam. Słyszałem cię, ale... Nie byłem w stanie się ruszyć. Jakby...

– Jakbyś pierwszy raz widział, jak wygląda wojna – Leochares wszedł mu w słowo. – Wiem. Nie chodzi mi o przeprosiny ani podziękowania. Chcę wytłumaczenia.

– Wytłumaczenia... Czego?

Leochares przyglądał mu się dłuższą chwilę. Chłopak wciąż był w szoku, rozdygotany. Dobrze. To sprzyja szczerości.

– Jesteś księciem – powiedział wreszcie – a nie umiesz walczyć. Ba, nie

wiesz nawet, jak trzymać broń. Zgaduję, że nigdy nie byłeś na wojnie, pewnie nigdy też nie polowałeś, jeśli nie liczyć łapania raków w szuwarach. Seianti puszcza cię samego, bez jakiegokolwiek obstawy, do Tarentu, w przeddzień wojny. Twój brat szykuje wojska, a ty nie masz nic lepszego do roboty, jak jeździć za mną wte i wewte. Pomagać mi. Jakiemuś Grekowi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że nietypowy z ciebie książę. I chyba pora, żebyś mi powiedział dlaczego.

– Żeby zaspokoić twoją ciekawość? – spytał Aranth.

– Też... Ale i po to, żeby pomóc mi w znalezieniu mordercy twojego ojca.

– To nie ma nic do rzeczy.

– Może ma. – Leochares wzruszył ramionami; stawy chodziły jak nienaoliwione zawiasy. – Może nie ma. Pozwól, że ja zadecyduję. No... – rozparł się w krzesło, wyciągnął przed siebie nogi – zamieniam się w słuch.

Aranth usiadł obok niego, ścisnął wargi w wąską kreskę. Milczał. Dochodziły ich odgłosy miasta odżywającego po ataku. Jęk rannych, równy krok maszerujących wojowników, łoskot osuwających się cegieł towarzyszący odgruzowywaniu spalonych budynków. No i, oczywiście, dźwięk fletów. Na czas ataku umilkły, teraz znów zaczęły grać – ale smutniejsze melodie niż wcześniej.

– Caile nie był moim ojcem – wydusił z siebie Aranth.

Cisza. Leochares bał się cokolwiek powiedzieć, spojrzeć na niego, choćby się ruszyć. Nie chciał go spłoszyć.

– Kiedy miałem kilka lat – podjął po chwili książę – wyszło na jaw, że moja matka go zdradzała. Potem, kiedy policzył, kiedy był na wyprawach poza miastem, a kiedy ja się urodziłem, wyszło mu, że nie mógł mnie spłodzić. Co do Velthura nie było już takich wątpliwości. Zresztą, on od małego był do niego podobny.

– Co się stało z twoją matką? – spytał Leochares. Mówił cicho, prawie szeptem. – Jednak nie umarła z powodu choroby, prawda?

– Caile ją zabił. Udusił. Mnie... Mnie podobno też chciał. Nie pamiętam tego. Całe szczęście.

Aranth pochylił się w krześle. Opuścił głowę, ściągnął ramiona, podwinął nogi. Skojarzył się Leocharesowi ze ślimakiem, który zwija czułki i chowa się powoli do skorupy. Przykro mu było na to patrzeć, przykro mu było, że musi wyciągać z niego te słowa.

– Mimo wszystko cię nie zabił, nie wygnał. Ba, nawet nie wydziedziczył.

– Nie. Wtedy musiałyby przed wszystkimi przyznać, jak wielkie rogi mu przyprawiono. To mu się nie kalkulowało. Ale przestał traktować mnie jak syna. Szybko... – Aranth zaciął się na chwilę – szybko nauczyłem się go unikać. No, a wkrótce potem Caile wziął sobie za żonę Seianti. Ona też mi raczej nie matkowała.

– To kto cię wychowywał?

– Nikt. Znaczący, zawsze ktoś dbał, żebym miał się w co ubrać, co zjeść... Żebym się godnie prezentował. Ale to wszystko.

– Przykro mi.

– A... Wiesz, co było najgorsze?

Leochares uniósł pytająco brew. To było jedno z tych pytań, na które się nie odpowiada. Nawet jeśli zna się odpowiedź. Aranth długo mełł w ustach słowa, w końcu wyrzucił je z siebie nagle, jednym tchnieniem.

– Że dla każdego miał więcej uczuć niż dla mnie. Nawet dla niewolnika.

– Uwierz mi... – westchnął Leochares. – Rozumiem cię.

Siedzieli chwilę w milczeniu, zmęczeni, brudni i przybici. Leochares nie bardzo wiedział, co powiedzieć, czy próbować podnieść Arantha na duchu, czy być z nim szczerym. Pocieszenie nie było jego mocną stroną, jakoś zawsze tak dobierał słowa, że rozmówca, zamiast poczuć się lepiej, popadał w coraz głębsze odmęty rozpacz. Zawsze można poklepać po plecach i powiedzieć, że wszystko będzie w porządku, ale Leochares wiedział aż za dobrze, jak straszliwie irytujące są takie puste zapewnienia.

Rozległo się łomotanie do drzwi wejściowych. Leochares odetchnął z ulgą: rozmowa dobiegła końca.

– Spodziewasz się kogoś? – zapytał rzeczowym tonem, jakby nic się nie stało.

Etrusk pokręcił głową; Leochares dopiero teraz zauważył, jak wstyd

rozpalił jego policzki. Razem poszli otworzyć. Przed domem czekał wojownik – napierśnik miał brudny od krwi, ale chyba nie swojej, bo trzymał się prosto. Wymienił z Aranthem kilka słów, wskazał głową Leocharesa. Na twarzy księcia widać było zaskoczenie.

– O co chodzi? – zapytał Leochares.

– Mój brat, Velthur... – odwrócił się jeszcze raz w stronę wojownika, jakby chciał się upewnić, że nie ma mowy o pomyłce. – Chce cię zobaczyć. Teraz.

Inga spojrzała przez lupę do małego otworku u nasady szczęki – który, jak wiedziała z przyspieszonego kursu ludzkiej anatomii, jaki sobie zorganizowała przed wyjazdem, był przewodem słuchowym. Ale wyglądał inaczej niż na rycinach w podręczniku. Ścianki tunelu nie były gładkie, wystawały z nich niewielkie kostne wypustki.

– Jakaś infekcja? – zgadywała Inga.

– Pudło. To od morskiej wody. Tak zwane „ucho surfera”.

– No, Grecy grali w hokej, piłkę nożną, znali jojo... – Inga oddała lupę Avie. – Ale z tego, co wiem, jednak nie surfowali. Choć na Krecie są niezłe warunki.

– Nie, nie surfowali. Ale spędzali dużo czasu na morzu. Takie zmiany się pojawiają, kiedy kanalik przez dłuższy czas jest zalany zimną wodą. To podrażnia tkanki i wtedy robią się takie narośle.

– To groźne?

– Nie w tym stadium – powiedziała profesor Bellmont, pochylając się nad lupą. – Nadal jest spory prześwit. Problem pojawia się wtedy, kiedy kość uniemożliwia wypłynięcie wody z ucha. Wtedy można się nabawić groźnej infekcji. Ale... Jego jakoś choroby się nie imają.

– Czyli co... Dużo żeglował?

– Może. Albo jakiś czas zajmował się połowem ryb. Trudno powiedzieć. No, jeśli chodzi o czaszkę, to już chyba wszystko, co mogę powiedzieć, przynajmniej bez mikroskopu. Możemy wziąć się

za...

Skrzypnęły drzwi, wrócił doktor De Luca. Był spocony, miał czerwone policzki. Najwyraźniej biegał po muzeum, próbując odkryć, gdzie podziła się klatka piersiowa *Uomo Misterioso*.

– I jak? Nasz tajemniczy mężczyzna coś paniom zdradził?

– To i owo – powiedziała Ava. – Ale nie wie, kto mu gwizdnął żebra.

– Całe szczęście, udało mi się to ustalić. Są w konserwacji. Tylko ktoś zapomniał wypełnić odpowiedni formularz, stąd całe zamieszanie.

– Uuu. Niedobrze.

– Proszę się nie martwić. Na pewno zdołam je tu ściągnąć przed waszym wylotem, więc...

– Nie o to chodzi – przerwała mu profesor Bellmont. Dość obcesowo. – Interesuje nas pewien obiekt, który znajduje się między zębami. Boję się, że konserwator może go usunąć, zanim zda sobie sprawę z jego wagi.

– Mhm. Mhm. – Doktor De Luca spojrzał w papiery. – No cóż, nie mogę nic obiecać... Ale wykonam jeszcze kilka telefonów.

– Będziemy zobowiązane – powiedziała Inga. – Możemy teraz wrócić do reszty kości...?

– Oj, obawiam się, że zaraz zamykamy. Dochodzi dziewiętnasta.

– Nie dałoby się przedłużyć...?

– Niestety. Ale jutro zapraszam od samego rana. – Inga kiwnęła głową, choć wiedziała, że we Włoszech to oznacza dziesiątą. A w południowych Włoszech prawdopodobnie jedenastą. – A na razie, może wyjdą panie do miasta? Zapowiada się piękny wieczór.

Wymienili potem jeszcze kilka grzeczności, kilka bezpiecznych żartów – nic kontrowersyjnego, nieszczególnie śmiesznego. Potem rzeczywiście pojechały do miasta. Piazza Fontana nie zrobiła na Indze dobrego wrażenia. Obskurne kamieniczki, nowoczesna fontanna z betonowych klocków, która wyglądała jak pozostałości po niedokończonej partyjce tetrisa, foliowe torebki pływające w zielonej

od glonów wodzie. Obawy doktora De Luki, że ta nieodkryta jeszcze perła włoskiej architektury zostanie już wkrótce zdeptana przez tłumy turystów, były raczej nieuzasadnione. Za to kościół Świętego Dominika rzeczywiście robił wrażenie. Nietypowa, masywna bryła, rzeźbione w tufie schody, piękny portal, okno rozetowe. Inga wyczytała w przewodniku, że zbudowano go na początku czternastego wieku, na miejscu, gdzie wcześniej stała starożytna grecka świątynia. W środku surowy gotyk zastąpił niestety obleśny barok, przywodzący na myśl porcelanowe figurki ze sklepu „wszystko za pięć złotych”: różyczki, złocenia i fikuśne zygzaczkę walczące o każdy centymetr kwadratowy powierzchni. W jednej z naw stała przeszklona gabłota z woskową figurą Jezusa, który wyglądał, jakby leżał nie w grobie, a w kapsule solarium. Brakowało mu tylko okularów przeciwsłonecznych.

Na kolację poszły do polecanej przez doktora De Lucę La Locandy. Stwierdzenie, że restauracja leży „w nie najlepszej okolicy”, okazało się eufemizmem ocierającym się o bezczelne kłamstwo. Trędowne kamienice z resztkami tynku odklejającego się od ścian, koślawe graffiti, w bramach grubi faceci w dresach i siatkowych podkoszulkach o twarzach statystów z filmu o mafii. Inga żałowała, że nie ma w torebce gazu pieprzowego. Albo raczej pistoletu maszynowego.

Sama knajpa okazała się jednak zaskakująco sympatyczna. Piwnica z łukowymi sklepieniami, kamienne ściany, stoliki z niebieskimi obrusami, na ścianach zakurzone obrazy ze scenami morskimi. Typowy włoski klimat – z wyjątkiem futurystycznych żyrandoli z poskręcanych drutów, które nijak nie pasowały do wnętrza. Pachniało smażonym na maśle czosnkiem, oliwą, sokiem z cytryny. Inga momentalnie poczuła, jak do ust napływa jej ślinka.

Usiadły przy małym stoliku w głębi sali, zajrzały do menu. Rozsądek sugerował, żeby zamówić spaghetti oglio e aglio i wodę mineralną, ale Inga postanowiła zignorować jego podszepty. Zgoda, na koncie zostały jej grosze, ale życie jest za krótkie, żeby źle jeść. Zresztą, może okaże się, że profesor Bellmont stawia...

– Co będzie dla pań? – spytał łamaną angielszczyzną kelner. Wyglądał na syna właścicieli.

– Dla mnie na przystawkę smażone kalmary... Potem czarne linguine z sosem z atramentu mątwy... I kieliszek czerwonego wina domowego.

– Mhm, mhm... A dla pani?

– Spaghetti bolognese i pieczywo czosnkowe – powiedziała Ava.

Kelner zanotował zamówienie, ale skrzywił się przy tym, jakby ktoś go uszczyptał. Zamówić spaghetti bolognese w Apulii... Niech no jeszcze powie coś na papieża, pomyślała Inga, i wyrzucą nas zaraz na zbity pysk.

Całe szczęście, obyło się bez dalszych despektów. Inga poszła do łazienki umyć ręce. Kiedy wróciła, zastała profesor Belmont pochyloną nad iPadem. Candy Crush. Nie wytrzymała.

– Wiesz, miałam cię już spytać jakiś czas temu... – zaczęła, odsuwając krzesło. – O co chodzi z tą grą?

Ava przesunęła landrynkę do rzędu obok. SWEET!, krzyczał napis na ekranie.

– To iPad mojej córki – powiedziała, nie odrywając wzroku od ekranu. – Próbuję pobić jej rekord.

– Taki sobie zrobiliście konkurs?

– Mhm. Coś w tym stylu.

Zapadła niezręczna cisza. Inga nie drażyła tematu. Zresztą, za chwilę przynieśli jedzenie. Było wyborne. Warto było przylecieć dla samych linguine. Do hotelu wróciły już taksówką; jakoś nie miały ochoty na nocny spacer ulicami Tarentu.

Zasypiając, Inga widziała jeszcze, że pogrążony w ciemności pokój zalewa niebieskawe światło ekranu.

Niestety, wojownik, który po niego przyszedł, mówił trochę po grecku. Niestety, bo Leochares szczerze nienawidził rozmawiać z ludźmi, których dopiero co poznał, a których najprawdopodobniej nigdy więcej już w życiu nie spotka. No bo o czym z takimi gadać? O pogodzie? Wyższości wina

z Chios nad tym z Kos? Że kiedyś to było, a teraz to tylko gorzej i gorzej? Bez sensu. Tu przynajmniej temat sam się nawinał. Wojna. Jak doszło do ataku na miasto.

Wojownik był zmęczony, grekę znał kiepsko, więc mówił prostymi zdaniem. Wyjechali pod wodzą Velthura na wojnę z Rzymem. Chcieli wydać walną bitwę, ale przeciwnik unikał starcia. Myśleli, że uciekają, bo są słabsi, więc tym bardziej parli do przodu, coraz głębiej w ich terytorium. Pod osłoną nocy, po cichu i bez pochodni. Rzymianie – pod wodzą jakiegoś Corvusa – zwinęli obóz, okrążyli Etrusków i ruszyli w stronę Veii. Posłali przodem mały oddział jazdy i lekkiej piechoty, żeby zaskoczyć przeciwnika, zaatakować garnizon i nie dopuścić do zamknięcia bram. Szalony plan, ale przez nieuwagę ospałych strażników, prawie się udał. Całe szczęście Velthur zorientował się w wybiegu dość szybko, żeby wrócić na czas i zapobiec rzezi. Rzymianie się wycofali, Etruskowie zamknęli się za murami Veii. Znów było spokojnie – na razie.

Velthur przyjął go w domu. Widać było, że nie starczyło mu czasu, żeby się przebrać, umyć ani wyspać – wciąż miał na sobie wgięty napierśnik, śmierdział dymem ogniska, końskim potem i krwią, miał podkrążone oczy i kilkudniowy zarost. Kiedy Leochares do niego przyszedł, akurat jadł – czy raczej pożerał pieczone mięso. Odkrajał wielkie, dymiące jeszcze kawałki, które ledwie mieściły mu się w ustach, żuł je krótką chwilę, potem pospiesznie połykał i zagryzał chlebem. Kiedy zobaczył Leocharesa, odsunął talerz i otarł twarz wierzchem dłoni; policzki świeciły mu się od tłuszczu.

– Wzywałeś mnie, królu – Leochares uklonił się lekko. Czuł, że Velthur nie jest ani tak nieśmiały jak Aranth, ani tak pewny siebie jak Seianti, żeby godzić się na odstępstwa od dworskiego protokołu.

– Słyszałem, że uratowałeś życie Aranthowi – odparł Velthur, żując jeszcze ostatni kęs. Mówił po grecku z silnym akcentem, do tego był zmęczony i miał pełne usta. Leochares musiał się skupić, żeby go zrozumieć.

– Tak. Można chyba tak powiedzieć.

– Sam przeciw jeźdźcowi? Bez zbroi, tarczy?

– Zgadza się.

– Gdzie się nauczyłeś tak walczyć?

– W ateńskim wojsku. Potem jako najemnik.

– Hm. Szkoda, że nie jesteś młodszy.

– Też żałuję, wasza wysokość.

Velthur pokiwał głową. Opadały mu powieki. To nie będzie długa rozmowa.

– Zasłużyłeś się. Zostaniesz wynagrodzony.

Leochares ciekaw był szczegółów, ale uznał, że zamiast się dopytywać, lepiej będzie znów się skłonić.

– A co z moim ojcem? – zmienił temat Velthur. – Wiesz już, kto go zabił?

– Nie, jeszcze nie. Ale...

– Trudno.

– Przepraszam...?

– Mówię, że trudno – warknął Velthur. Cierpliwość ewidentnie nie była jego mocną stroną. – Ale teraz jest czas wojny. Trzeba patrzeć w przyszłość, nie w przeszłość. Możesz wracać do siebie.

– Ale... – wybąkał Leochares. – Przecież dostałem sporą zaliczkę. I już prawie...

– Nie rozumiesz? – Velthur wstał. Był od niego wyższy o głowę. – Wracaj do siebie.

Etrusk wyszedł z pokoju bez słowa, pozostawiając na talerzu niedojedzone mięso i porwany na kawałki bochenek chleba, który wyglądał, jakby jadło go zwierzę, nie człowiek. Trzasnęły drzwi. Ciężko o bardziej definitywny koniec rozmowy. Leochares stał chwilę w miejscu, nie do końca pewien, co zrobić, po czym ruszył wolnym krokiem w stronę domu Rasce. Spakować się.

Velthur nie kłamał, Leochares dostał nagrodę. Wojownik, który odprowadził go do domu, wręczył mu pękata sakiewkę. Była bardzo ciężka – do tego stopnia, że kiedy wziął ją do ręki, prawie mu wypadła. Leochares wymamrotał podziękowania, poprosił, żeby przekazać Aranthowi, żeby przyszedł się pożegnać, po czym zatrzasnął za sobą drzwi i pobiegł do kuchni. Wpierw próbował rozsupłać wiążący woreczek sznurek, w końcu

jednak, po kilku nieudanych podejściach, które spowodowały jedynie dalsze zaciśnięcie się węzełków, sięgnął po nóż. Teraz rzemień puścił od razu, monety rozsypały się z brzękiem na stole, zatańczyły na nierównym blacie. Drachmy z Tarentu, z Tarasem siedzącym okrakiem na delfinie, z Syrakuz, z pędzącą kwadrygą i głową Artemidy, z Krotony, z ofiarnym trójzębem, nawet i z Lokrów, z brodatym Zeusem[26]. Wydawało mu się, że obróceni profilem bogowie uśmiechają się do niego i mrugają porozumiewawczo. No, Leocharesie, zdawali się mówić, trochę się pobawiliśmy twoim kosztem, ale w końcu przyszła pora na zadośćuczynienie. Wreszcie możesz odbić się od dna, wyjść na prostą!

Leochares podnosił kolejne monety, obracał je w palcach, wycierał na błysk, układał w słupki, w rzędkie, od najmniejszej do największej, od największej do najmniejszej, potem każdą gryzł, żeby sprawdzić, czy to nie fałszywka. Cały czas chciało mu się śmiać, krzyczeć, był przepełniony prostą, bezgraniczną radością dziecka, które dostało wymarzoną zabawkę. Nie czuł już swądu spalenizny unoszącego się nad miastem, zmęczenia, poranionych ramion, jego cały świat ograniczał się do krążków lśniącego blado metalu.

Myślał, jak wyda pieniądze. Koniec z wynajmowaniem tej żalostnej rudery w Tarencie, teraz kupi dom tuż koło agory, albo nie, jeszcze lepiej, gospodarstwo pod miastem. Jakiś gaj oliwny, taki jak ten Hilariona, w którym tyrał od świtu do zmierzchu za dwa pieprzone obole, albo i jeszcze większy, kto bogatemu zabroni. Albo może lepiej winnicę? Będzie miał własne wino, tyle, ile dusza zapragnie, słodkie, półsłodkie, wytrawne i półwytrawne, ze stoków południowych i północnych, białe i czerwone. Teodorosowi kupi konika na kółkach, o którym zawsze marzył, co tam, kupi mu prawdziwego konika! I Lamii też coś sprawi, biżuterię tak misterną, jakiej sam nie byłby w stanie zrobić, szaty z Dalekiego Wschodu, cienkie jak pajęczyny, kościane grzebienie i perfumy. Nie układało im się ostatnio, prawda, ale niech ona też ma coś z życia. No i jeszcze niewolników, tak, kupi wielu niewolników, może wtedy zapomni o Nanie.

Kiedy Leochares wydał już w myślach wszystkie pieniądze po kilka razy, nieco ochłonął. Do Tarentu droga daleka i niebezpieczna, trzeba będzie tę fortunę jakoś tam dowieźć. Pękata sakiewka ciąży, pobrzękuje przy każdym ruchu, zwraca na siebie uwagę. Część monet upchnął więc do sakwy, między

brudne ubrania i zawiniątka z prowiantem, inne do worka z obrokiem dla osła, kilka następnych zaszył w płaszczu i podeszwach sandałów. Nadal zostało mu ładnych kilka drachm, ale tyle mógł mieć już na wierzchu. Trochę może nawet wydać.

Leochares spakował resztę manatków, przygotował wszystko do drogi. Umył się, sycząc za każdym razem, kiedy dotknął jakiegoś większego zadrapania czy sińca. Potem poszedł grzecznie do łóżka, ale nie mógł zasnąć. Za dużo myśli naraz, nie mógł wytrzymać nawet chwili w bezruchu – przewracał się z boku na bok, poprawiał poduszki, wpierv skopał koc, bo mu było gorąco, zaraz go naciągnął, bo dostał gęziej skórki. Wreszcie stwierdził, że się napije, w końcu to zawsze pomagało. Podreptał do kuchni – i zawiedziony odkrył, że wino się skończyło. Postanowił, że wyjdzie na miasto; widział jakąś tawernę przy głównej ulicy. Zostanie na kolejkę, no, najwyżej dwie.

Spodziewał się miasta liżącego rany po ataku, pogrążonego w ciszy. Zatrzaśniętych drzwi i okiennic, zgaszonych świateł. Myślał, że spotka jedynie patrole, że będzie musiał tłumaczyć, kim jest i co robi po zmroku na ulicy. Zakładał, że w tawernie zastanie kilku zmęczonych mężczyzn, zapijających w milczeniu strach i smutek. W końcu mało brakowało, a doszłoby do rzezi, miasto o włos uniknęło ciosu, po którym mogło się już nigdy nie podnieść.

I rzeczywiście, wzmocniono strażę – na murach aż gęsto było od wolno sunących punkcików pochodni, na każdym rogu widać było wojowników. Ale mieszkańcy zdawali się tego nie zauważać. Z każdego domu dochodził śmiech, śpiew, piskliwa muzyka; zapach jedzenia mieszał się z dymem, drażnił nozdrza. Leochares musiał się przepychać przez tłumy podchmielonych chłopców wystrojonych w jaskrawe tuniki obszyte srebrną nitką, w opadających na spocone czoła wieńcach z polnych kwiatów. Coś do niego wołali, wesoło, zaczepnie, ale nie rozumiał słów, więc odpowiadał im głupkowskim uśmiechem. Wydawało się, że wszyscy zdążyli już zapomnieć o tym, co się stało, i o tym, co wkrótce przyjdzie. Może wyczytali w gwiazdach, że nic im nie grozi, pomyślał Leochares, może żyły na wątrobie poświęconego barana ułożyły się w symbol zwycięstwa i wiecznej szczęśliwości. Może tyle im wystarczyło, żeby się nie bać. Leochares nie był pewien, czy powinien im zazdrościć, czy raczej współczuć.

W tawernie był taki ścisk, że ledwie dopchnął się do kontuaru zrobionego z długiej deski wspartej na pustych beczkach.

– Wina! – rzucił, przekrzykując śpiew siedzącego na stołku obok grubasa o krzaczastej brodzie.

Oberżysta odpowiedział zdziwionym spojrzeniem. Najwyraźniej nie rozumiał po grecku. Leochares próbował sobie przypomnieć odpowiednie słowo w miejscowej mowie.

– Eee... Vimum?

– Vinum?

– O, tak, tak. Właśnie. Vinum!

Cenę uzgodnili już na migi. Wyszło niedrogo, zwłaszcza dla świeżo upieczonego bogacza. Wino było lekkie, o owocowym posmaku. Łatwo wchodziło i łatwo uderzało do głowy. Leochares oparł się o kontuar, omiół wzrokiem wnętrze tawerny. Ze zdumieniem stwierdził, że mniej więcej połowę klientów stanowią kobiety. Na początku uznał, że to muszą być prostytutki – dopiero chwilę potem zdał sobie sprawę, że pewnie się myli, bo przecież u Etrusków zwykle kobiety też mogą bywać w takich miejscach, podobno nawet same, bez niczyjej opieki. Dziwaczne, nie mógł się do tego przyzwyczaić.

Jego uwagę przykuła niewysoka brunetka stojąca przy wejściu. Miała piękne włosy – ciasno splecione i związane błękitną wstążką, zarzucone na plecy. Ale wzrok Leocharesa skupił się nieco niżej, tam gdzie warkocz się kończył. Dziewczyna była obrócona tyłem, lekko pochylona; cienki materiał pięknie opinał się na jej pośladkach, pozostawiając bardzo niewiele wyobraźni. Leochares westchnął z rozmarzeniem. Dziewczyna jakby wyczuła jego wzrok – odwróciła się od przystojnego chłopca o gładkich czerwonych policzkach, który coś jej opowiadał, i spojrzała w jego stronę. Leochares uśmiechnął się, w zamierzeniu zalotnie, efekt pozostawiał jednak wiele do życzenia. Brunetka prychnęła pogardliwie, odwróciła się, poprawiła warkocz. Leochares westchnął, pokręcił głową. Co ty sobie wyobrażasz, stary capie, pomyślał, z czym do ludzi. Przypomniał mu się wiersz Anakreonta[27], który z jakiegoś powodu utkwiał mu w pamięci:

Ach, poczekaj!

*Nie uciekaj
Widząc żem ja stary
W życiu kwiecie,
Nie gardź przecie,
Mojemy ofiary.
Tyś jak róża,
Mnie zachmurza
Włos biały, twarz bladą.
Lecz i w wianki
Dla kochanki
Do róż lilje kładą[28].*

Trafne, pomyślał Leochares, chociaż ja bym się do lilii nie porównał.
Prędeż do karczocha.

Wypił kubek do dna, jednym haustem. Potem jeszcze jeden.

A co było dalej, już nie pamiętał.

X

Leochares obudził się, ale oczu nie otworzył od razu. Nigdzie się w końcu nie spieszył. Obok leżała Lamia. Napawał się jej ciepłem, bliskością. Tak długo jej już nie tulił, nie czuł słodkiego ciężaru jej ciała. Kosmyk włosów załaskotał go w nos, uśmiechnął się. Nieco już rozbudzony przesunął rękę wyżej po jej koszuli, znalazł pierś, krągłą i ciężką. Zamknął ją w dłoni, ścisnął lekko; odpowiedziało mu pełne aprobaty mruczenie. Delikatnie odsunął poły materiału, położył rękę na jej skórze... Była pokryta gęstymi, szorstkimi włosami.

Leochares otworzył oczy, tak nagle i szeroko, że natychmiast uleciały resztki snu. Nie był w Tarencie, tylko w Veii, nie leżał w swoim małżeńskim łóżu, tylko na ulicy, a w objęciach miał nie Lamię, tylko brodatego grubasa, który poprzedniego wieczoru siedział obok niego w tawernie i zdzierał gardło, fałszując piosenki. Leochares wzdrygnął się, powoli wycofał rękę. Towarzysz jego nocnych brewerii spał dalej; cieknąca z jego półotwartych ust ślina zdążyła już utworzyć małą kałużę. Leochares rozejrzał się wokół. Byli w bocznej alejce, za tawerną. Pewnie pili wczoraj do zamknięcia, aż w końcu oberżysta wyrzucił ich na dwór, gdzie, połączeni pijacką komitywą, zasnęli przytuleni pod ścianą. Zabawne, pomyślał Leochares, bo gruby nie znał chyba ani słowa po grecku. Widać nie przeszkodziło to przyjaźni.

Leochares się podniósł – i zaraz usiadł; poczuł w głowie setki ostrych igiełek. Podparł się lewą ręką, tą, w którą poprzedniego dnia ciął go rzymski jeździec. Jęknął z bólu, wyłożył się na ziemię. Gruby wymamrotał coś, co brzmiało jak wyjątkowo ohydne przekleństwo, po czym obrócił się na drugi bok i nakrył poplamionym winem i błotem płaszczem. Leochares dźwignął się i na nowo podjął wyczerpującą walkę o osiągnięcie pozycji pionowej. Tym razem, świadomy już w pełni skali kaca, którego się dorobił, poruszał się powolutku, opierając plecami o cudownie chłodną ścianę.

Udało się. Następnym priorytetem było napicie się czegoś, czegokolwiek. Wargi miał wyschnięte na wiór, język drętwy – jakby trzymał w ustach martwe zwierzę. Na szczęście na końcu ulicy zobaczył stojącą pod okapem beczkę na deszczówkę. Kilka dni temu była burza, więc coś tam jeszcze powinno być. Leochares ruszył w jej stronę, jedną ręką trzymając się cały

czas ściany, stawiając nogę za nogą tak ostrożnie, jakby szedł po rozciągniętej nad przepaścią linie. Wreszcie dotarł do celu, chwycił krawędź beczki. W mętnej tafli wody zobaczył swoje odbicie. Przypomniała mu się legenda o pięknym Narcyzie, który, znalazłszy się w podobnej sytuacji, zapalał do samego siebie gorącą miłością. Zastanawiał się, czy od patrzenia na własną gębę można się też zniechęcić. Wydało mu się to wysoce prawdopodobne.

Przejechał palcami po tafli wody, burząc odbicie. Dopiero teraz zauważył, że na powierzchni unosiło się kilka zdechłych much, jakieś liście, pyłki i inne tałatajstwo. Nie przeszkadzało mu to. Nabrał wody w dłoń, napił się. Była zatechła, z posmakiem zgnilizny, ale Leochares nie zwracał na to uwagi, miał wrażenie, że kosztuje nektaru skradzionego z boskiego stołu. Uśmiechnął się błogo, wystawił twarz ku wschodzącemu słońcu.

A potem zgiął się w pół i zwymiotował.

Leochares chciał pożegnać się z Aranthem, ale nie zastał go w domu, a szukać go nie miał siły. Spakował się do końca, zarzucił sakwę na ramię, po czym powoli, powolutku wspiął się na osła i ruszył w drogę. Przez południową bramę, w stronę Tarentu.

Leochares dziękował bogom za każdy powiew wiatru, przeklinał każdy wybój. Nigdy więcej już nie wypiję, powtarzał w myślach. Ani kubka. Ani łyka. Choćby mnie przypalali żelazem. Bo to nie może być gorsze niż to, co się ze mną teraz dzieje. Podniósł głowę; pod krawędź filcowego kapelusza wpadło ostre słońce. Zmrużył oczy, skrzywił się. Zdał sobie sprawę, że się nie porusza. Osioł zatrzymał się na skraju drogi, skubał zeschniętą trawę. Nie wiedział, jak długo już tak stali. Chyba nie chciał wiedzieć. Ścisnął zwierzę kolanami; pożałował tego, kiedy tylko ruszyli. Zakręciło mu się w głowie, żołądek podszedł do gardła, czuł, jak skręcają mu się kiszki. W końcu przeszło. Odetchnął z ulgą. Dłuższą chwilę nic się nie działo. Po prostu jechał do domu.

Wczorajsza euforia całkowicie wyparowała. Tak, miał pieniądze. To rozwiąże część problemów, ale nie wszystkie. Srebro nie sprawi, że Lamia zacznie się do niego uśmiechać. W nowym, większym domu nie będzie

wcale szczęśliwszy. Może kupić sobie własny warsztat, ale nie oszuka czasu. Wzrok miał coraz słabszy, palce coraz mniej zwinne. Już wcześniej musiał ograniczyć się do robienia prostych ozdób – odciskania matryc, odlewania ozdób w gotowych formach. A teraz? Lewa ręka wisiała na temblaku, ukryta pod brudnym bandażem rana pulsowała tęnym, nieznośnym bólem. Prawa, w której trzymał witkę, co chwilę drętwiała, tracił czucie w palcach. Oczywiście, to przez wczorajszą walkę, wkrótce przejdzie, zagoi się. Ale czy do końca? Odzyska sprawność? Trudno powiedzieć. Co prawda, zawsze może przyuczyć do zawodu Teodorosa, to mu da zajęcie na kilka następnych lat... A potem co? Będzie wysiadywał całe dni przed domem, czekając, aż go szlag trafi, jak sąsiada z naprzeciwka? Zacznie kolekcjonować malowane talerzyki? Chadzać na posiedzenia sądu, słuchać o cudzych zdradach, kłótniach i przestępstwach, żeby zapełnić czymś własne życie, puste jak wydmuszka? Żeby tak chociaż mieć przy sobie rodzinę, przyjaciół. Ale ich zostawił w Atenach, daleko stąd, dawno temu.

Z odmętów melancholii wytrąciło go parsknięcie osła. Zwierzę było czymś wyraźnie zaniepokojone; strzygło uszami, drobilo kopytami. Leochares odwrócił głowę. Jeździec. Od strony miasta. W galopie.

Po uczcie w La Locandzie poprzedniego wieczoru śniadanie hotelowe musiało być rozczarowaniem. Ale nie musiało być aż tak wielkim. Czerstwa bułka, zwiędła sałata, kwadratowy plasterek wędliny, który wyglądał jak tester farby ściennej o barwie „niezdrowy róż”, tania podróbka nutelli. Inga jadła bez entuzjazmu, oglądając na wiszącym w kącie jadalni telewizorze powtórkę jakiegoś głupiego programu rozrywkowego. Głos był wyłączony, więc trudno było się zorientować, o co dokładnie chodziło, ale główną atrakcją była niewątpliwie hostessa, zgrabna blondynka w mikroskopijnym kostiumie kąpielowym, szczudłowatych szpilkach, ze sztucznym biustem i sztucznym uśmiechem. Ludzie, którzy narzekają na polską telewizję, powinni poskakać chwilę po kanałach Mediasatu, pomyślała Inga, żując gumowatą bułkę. Jeszcze by dziękowali za gwiazdy tańczące na lodzie.

O dziwo, De Luca czekał już na nie przed wejściem do muzeum. Był ubrany prawie tak samo jak wczoraj, tylko krata na koszuli miała inny kolor i brakowało plamy po winie, przynajmniej na razie.

– Dobre wieści – powiedział, ściskając dłoń profesor Bellmont. – Klatka piersiowa naszego przyjaciela przyjedzie dziś po południu.

– Wiadomo, jakie dokładnie prace wykonał konserwator?

– Nie... Niestety, jest akurat na urlopie. Nieosiągalny.

– No, trudno. Niedługo same się przekonamy. Możemy wrócić do tych kości?

– Oczywiście. – De Luca skinął głową. – Ale pomyślałem, że może wpieryw chciałby panie rzucić okiem na przedmioty z grobu *Uomo Misterioso*? Wygrzebałem je dziś rano z magazynu, są u mnie w biurze.

– Bardzo chętnie – powiedziała Inga, zanim profesor Bellmont zdążyła zainterweniować.

– Doskonale. To zapraszam tędy.

Weszli do gabinetu De Luki. Na ścianie wisiała oprawiona w ramkę jasnobłękitna koszulka klubu S.S.C. Napoli z numerem „10”, nazwiskiem MARADONA i koślawym podpisem. Pod ścianami stały szafki zastawione książkami. Pod oknem – masywne biurko, które pamiętało chyba jeszcze czasy Królestwa Obojga Sycylii. Na blacie leżały trzy pudełka po butach. Piłkarskich korkach, dokładnie mówiąc.

– Proszę, proszę – De Luca wskazał biurko zachęcającym gestem. – Obejrzyjcie sobie.

Inga otworzyła pierwsze pudełko. W środku, oparte o tekturowe podpórki, leżały biało gruntowane lekyty. Były słabo zachowane; biała farbka łuszczyła się z nich jak tynk z tarenckich kamienic. Na pierwszym namalowana scena była już zupełnie nieczytelna. Na drugim widać było tylko kilka kresek, prawdopodobnie zarys nagrobka. Na trzecim – „pochylony mężczyzna”, jak chciał Mancini, albo Syzyf, jak sugerowała Inga. Delikatnie go uniosła, chwytając za nóżkę i krawędź wylewu. Jak zawsze w takich sytuacjach, jej serce zaczęło szybciej bić. Trzymała w końcu w dłoniach naczynie, które miało dwa

i pół tysiąca lat.

– Przeczytałem wczoraj abstrakt pani wystąpienia na konferencji Classical Association – powiedział De Luca. – I muszę powiedzieć, że mnie pani przekonała. To Syzyf, jak nic. Wyjątkowa waza. Myślę, że kiedyś go wystawię w gablocie.

– Kiedyś?

– Jak tylko Mancini kopnie w kalendarz. Wcześniej na to nie pozwoli.

– Czemu? – spytała profesor Belmont, wyraźnie niezaznajomiona z realiami włoskiej akademii.

– Bo musiałby się przyznać do pomyłki – burknął De Luca. – A prędeż wygra tytuł Miss Italia.

Ava odchrząknęła. Zajrzała do pudełka.

– Te naczynka musiały być strasznie niepraktyczne – stwierdziła. – Jak to się w ogóle myło?

– Nie myło się – odpowiedziała Inga. – Tego rodzaju lekytów używało się tylko jako podarków grobowych. Coś jak nasze znicze albo wieńce.

– A co było w środku?

– Różnie. Perfumy. Olejki.

– Niektóre lekyty mają w środku ukryty taki niewielki zbiorniczek – wtrącił się De Luca. – Dzięki temu żałobnik mógł zaoszczędzić, bo wydawało się, że perfum jest po brzegi, a...

– Co jest w tych dwóch pudełkach? – Ava weszła mu w słowo. Drżał jej głos. A może Indze tylko się wydawało.

– No... W tym monety, a w drugim żelastwo...

– Słucham? – Inga zdrętwiała. – Jakie znowu żelastwo? W publikacji nie było mowy o żadnym żelastwie.

– Nie? – De Luca podrapał się po głowie. – Aaa, tak, już sobie przypominam. Te przedmioty zostały źle skatalogowane w trakcie wykopalisk. Jakiś student postawił na kartce siódemkę, która wyglądała jak jedynka, no i same panie wiecie, jak jest...

Zorientowaliśmy się dość szybko, ale publikacja Manciniego już wyszła.

– I nikt nie napisał sprostowania?

– Ja pisałem. W takim artykuliku w „Dialogues d’Histoire Ancienne”, w dziewięćdziesiątym ósmym, albo dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, już nie pamiętam dokładnie.

– Musiałam to przegapić... Cholera.

Inga podeszła do biurka, ze wzrokiem utkwionym w trzecim pudełku. Przez pokryte kurzem wieko biegł napis *ADIDAS PREDATOR*. Za oknem pisnęły opony, zatrąbił klakson, ktoś coś krzyknął.

– No? – usłyszała za plecami głos profesor Belmont. – Otwierasz, czy nie?

Leochares miał złe przeczucia. Cholera, kto wie, co ja tam wczoraj po pijaku wygadywałem. Mogłem się przechwalać, że dostałem małą fortunę w srebrze, gdzie ją poukrywałem, że jutro wracam do domu. Sam. Może ktoś zrozumiał ten bełkot. Ktoś, komu też był potrzebny pieniądz, a nie brzydził się rozbojem. Trudno o łatwiejszą ofiarę. Obcy, który nikogo nie obchodzi, o którego nikt się nie upomni. Do tego ranny i wciąż pijany. A w czas wojny często się zdarza, że ktoś ginie na trakcie.

Leochares zsiadł z osła, zaciągnął go do rosnącego obok drogi zagajnika, przywiązał do ukrytego za gęstwiną krzaków drzewa. Potem zatarł szybko ślady i schował się w biegnącym wzdłuż drogi rowie. Sprawdził, czy nóż wychodzi gładko z pochwy. Rozgrzał drętwiącą prawą dłoń. Próbował nie myśleć o tym, jak żalosne są jego szanse, jeśli rzeczywiście dojdzie do starcia.

Zza zakrętu wyjechał jeździec, Etrusk na karym koniu. Miał na sobie nagolenniki, brązowy napierśnik, hełm ozdobiony czarnym pióropuszem, z wąską szparą na oczy i nos. Był pochylony, wzrok miał wbity w gościniec; wyglądało na to, że jechał jego tropem. Niedobrze, pomyślał Leochares. Jego podejrzenia potwierdziły się, kiedy jeździec zatrzymał się w miejscu, gdzie

urywały się ślady. Etrusk zeskoczył z konia, kucnął na piaszczystej drodze, przyglądał się pospiesznie zatartym odciskom. Wyciągnął miecz z pochwy; metal zabłyszczał w słońcu.

Zdecydowanie niedobrze, uznał Leochares, przełykając ślinę. Zaskoczenie, pomyślał. To twoja jedyna szansa. Wypadł z rowu z przeraźliwym okrzykiem na ustach i nożem wzniesionym do ciosu. Musi trafić między krawędź napierśnika i hełmu, tuż nad obojczykiem. I to za pierwszym razem, bo drugiej szansy najpewniej nie będzie.

Nie miał nawet okazji chybić. Potknął się, jedna noga uciekła mu do przodu, druga do tyłu, nóż wypadł z ręki i poleciał w krzaki. Runął na ziemię; spięty broszą płaszcz wpierw wydał się jak żagiel, potem opadł i całego go przykrył. Leochares próbował go z siebie ściągnąć, podnieść się, ale nie było łatwo – grunt był śliski, rosnące dookoła krzaki miały kolczaste gałęzie, a lewa ręka zaplątała mu się w temblak. Musiał wyglądać jak chrząszcz, który przewrócił się na grzbiet i próbuje się obrócić, rozpaczliwie przebierając nóżkami. Kiedy wreszcie stanął na czworakach i unióśł głowę, etruski wojownik był już przy nim, z mieczem gotowym do ciosu.

Ale zamiast skrócić go o głowę, Etrusk się roześmiał. Leochares patrzył na niego nierozumiejącymi oczami; błoto ciekło mu po twarzy.

– I mówisz, że ja nie umiem walczyć? – usłyszał znajomy głos.

Aranth.

Bez zbroi, hełmu i rozwianego wiatrem płaszcza, Aranth wydawał się dwa razy mniejszy. Leochares nie mógł uwierzyć, że go nie poznał i, co gorsza, przestraszył się. Wszystko przez tego cholernego kaca, myślał, wycierając się z błota. Kiedy skończył, jedzenie było już gotowe. Zupa. Lekka, bez przypraw. W sam raz.

– To czemu się na mnie rzuciłeś? – zapytał Aranth, mieszając chochlą w kociołku.

– Bo wyciągnąłeś miecz. Nie wiem, może u was to symbol dobrych intencji, ale ja to odczytałem inaczej.

– Ślad się nagle urwał... Myślałem, że ktoś cię porwał.

– A ja, że chcesz mnie obrabować.

– Hm. To dobrze, że się potknąłeś.

– Bo ja wiem – powiedział Leochares, dmuchając na łyżkę. –
Przynajmniej wtedy miałbym spokój.

Aranth nic nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko.

– Nie gonisz mnie, żeby się pożegnać, prawda? – podjął Leochares.

– Nie.

– Więc po co?

Aranth odłożył chochlę, wyciągnął z sakwy bochenek chleba. Rozdarł go
na dwa kawałki, jeden podał Leocharesowi.

– Chcę, żebyś wrócił do śledztwa.

– Tego się obawiałem. – Leochares westchnął, namoczył chleb w zupie. –
Seianti i Velthur o tym wiedzą?

– Wiedzą.

– I co?

– Nie pochwalają. Ale się uparłem.

– Hm. Myślałem, że nie liczą się z twoim zdaniem.

– Zwykle nie. Tym razem ulegli.

Leochares wziął kęs chleba. Mimo że ciasto zupełnie już rozmiękło, żuł je
długo, wpatrując się w horyzont. Naprawdę tu pięknie, pomyślał. Te falujące
wzgórza, cyprysy, domy porośnięte bluszczem. Można się, cholera,
zakochać.

– A czemu się uparłeś?

– W jakim sensie?

– W tym oczywistym – zachnął się Leochares. – Skoro Velthur już
odżałował śmierć Caile, ty powinieneś tym bardziej. Nie był twoim ojcem.
A z tego, co mówiłeś, jako ojczym też niezbyt się sprawdził.

– Nie sprawdził się – zgodził się Aranth. – Ale ja się sprawdzę jako syn.

– Ach, więc o to chodzi. – Leochares oblizał łyżkę, skierował ją w stronę
Arantha w oskarżycielskim geście. – Chcesz coś sobie udowodnić.

– Nie, nie sobie. Jemu. Że się co do mnie mylił.

Leochares nalał sobie drugą porcję. Zupa przyjemnie rozgrzewała żołądek. Nie musiał pytać o więcej. Etruskowie mieli może innych bogów, język i jedli dwa obiady dziennie, ale koniec końców to tacy sami ludzie jak on. Nietrudno było odgadnąć, co Caile myślał o Arancie. O synu, który nie był jego synem, a miał rysy kobiety, która go zdradziła, i mężczyzny, który go upokorzył. Który nie odziedziczył po przodkach orlego nosa ani szerokich ramion, a zamiast tego był wąty i chudy jak tyczka i opuszczał wzrok, kiedy podniosło się na niego głoś. Bękart. Nieudacznik. Łamaga.

– No dobrze... – Leochares wydłubał z brody kawałek rozgotowanej cebuli. – Przejdźmy do ważniejszego pytania. Czemu niby miałbym ci pomóc? Velthur już mi zapłacił.

– To ja zapłacę więcej.

– Nie wątpię. Ale już teraz mam tyle pieniędzy, że nie mogę się zdecydować, co z nimi zrobię. Wiem tylko jedno – Leochares powstrzymał z trudem beknięcie – jeśli zginę, nie zrobię z nimi nic.

Aranth grzebał patykiem w dogasającym ognisku. Nie patrzył mu w oczy.

– Czyli odmawiasz?

– A co ty byś zrobił na moim miejscu? He?

– Zostałbym.

– Ciekawe. Czemu miałbym ciągnąć tę sprawę, jeśli nie dla pieniędzy? Z ciekawości? Z sympatii do ciebie?

Aranth szturchnął kijkiem węgle, w powietrze wzbił się snop iskier.

– Wiesz dlaczego. Bo tutaj jesteś coś wart.

– Mhm. To pewnie też wyczytałeś z jakiejś wątroby?

– Nie – odparł spokojnie Etrusk, nie wyczuwając najwyraźniej ironii w jego głosie. – Wystarczy, że sobie przypomnę, jak wyglądałeś, kiedy spotkałem cię po raz pierwszy.

– A co? Teraz niby wyglądam lepiej? – spytał Leochares, unosząc owiniętą bandażem rękę.

– Oczywiście. – Aranth wzruszył ramionami. – Rany to powód do dumy.

Leochares prychnął. W ustach Arantha, który na całym ciele nie miał ani

jednej blizny, takie słowa brzmiały nienaturalnie, wręcz śmiesznie. Chłopak pewnie powtarzał powiedzenie zasłyszane od Caile. Chciał być taki jak on.

– Wiesz, wtedy w Tarencie... – Leochares wrócił do rozmowy. – Miałem po prostu zły dzień.

– Aha. – Aranth skinął głową. – A dzień wcześniej? Było lepiej?

Leochares nie odpowiedział. Po chwili wstał, coś chrupnęło mu w biodrze. Wygiął się, żeby kości wskoczyły na miejsce; zamiast tego zabolalo jeszcze bardziej. Oparł się o drzewo, skrzywił.

– Nie, nie było – odparł wreszcie. – Dwa dni wcześniej, szczerze mówiąc, też nie. Ani tydzień.

Milczeli przez jakiś czas. Leochares wpatrywał się tępo w wiszący nad dogasającym paleniskiem kociołek. Zupa wystygła. Po tężejącej powoli powierzchni przesuwały się tłuste oka, jak rżesa na stawie. Serce biło mu mocno, aż zatykało uszy i pękały skronie. Wiedział, co go czeka, jeśli wróci. Zimne łóżko, w którym będzie leżał do południa, gapiąc się w sufit. Kielichy, w których będzie powoli się topił. Syn, w którego oczach pewnego dnia zobaczy wyrzut i wstyd.

Wyciągnął z sakiewki monetę – srebrną drachmę błyszczącą jeszcze nowością. Bawił się nią chwilę, przekładając między palcami. Potem podrzucił ją, złapał w otwartą dłoń. Reszka. Podrzucił ją drugi raz – znowu reszka. Zniecierpliwiony, obrócił ją na drugą stronę, a potem schował do sakiewki.

– Niech będzie – powiedział. – Zostanę jeszcze kilka dni. Pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Jeśli coś mi się stanie... – urwał zdanie. – No dobra, nazwijmy rzeczy po imieniu. Jeśli zginę, masz oddać moje ciało rodzinie. A człowiekowi, który się nimi opiekuje, dać tyle pieniędzy, żeby niczego im nie zabrakło. Rozumiesz?

– Tak zrobię.

– „Tak zrobię” nie wystarczy. To poważna sprawa. Masz złożyć przysięgę.

– Na co?

– No, na coś istotnego, jeśli łaska.

– Więc przysięgam na duchy przodków – uroczyście obiecał Etrusk.

– Hm. Może być – odparł Leochares, choć nie był przekonany, czy akurat w przypadku Arantha to był najlepszy wybór. – Zbierajmy się do drogi.

– Dziękuję. Naprawdę, to dla mnie...

– Dobra, dobra, bo się rozmyślę.

Leochares wylał resztki zupy na palenisko, żeby zgasić węgle; syknęło, buchnęło gryzącym w nozdrza dymem. Potem wypłukał garnek, wytarł go, włożył do sakwy. Aranth w tym czasie próbował wbić się w swój wojenny ekwipunek. Szło mu opornie, przypominał dziecko, które chciało dla zabawy włożyć ubrania rodziców. Dobrze, że chociaż wie, gdzie jest przód hełmu, pomyślał Leochares, dosiadając osła.

– To gdzie teraz? – zapytał Aranth, kiedy już się ze wszystkim uporał.

– Nie mam już siły, żeby jechać do tego Thrysa...

– Thresu.

– Cholera, nie mogę się nauczyć tych waszych imion. Thresu. No, jak zwał, tak zwał, zostawmy go sobie na jutro. A dziś rzucilibyśmy okiem na to miejsce, gdzie twój... Gdzie Caile kazał schować broń po tym, jak wyjechał z miasta.

– Sądzisz, że coś tam zostawił?

– Może. – Leochares musiał pogonić swojego osła, żeby dotrzymał kroku wierzchowcowi Arantha. – Ale przede wszystkim myślę, że nie wybrał tego miejsca przypadkowo. Pewnie znał je już wcześniej, może miało dla niego szczególne znaczenie. No, w każdym razie chcę je sobie obejrzyć.

Aranth kiwnął głową na zgodę.

– I jeszcze jedno.

– Tak?

– Przypiąłeś sobie płaszcz na lewą stronę.

Wszystko było tak, jak w opowieści Lethne. Obok drogi, na zakręcie, tam

gdzie Veii niknie za horyzontem, stał potężny głaz porośnięty mchem. Mimo upływu czasu szybko znaleźli ślady Caile i jego niewielkiej świty. W splekanym błocie widać było wciąż odciski kopyt. Za kamieniem, w miejscu, gdzie król kazał ukryć broń, leżały zeschnięte gałęzie. W gęstej trawie znaleźli pojedynczą strzałę, która musiała wysunąć się z kołczanu.

Weszli głębiej w las. Rosły tu głównie sosny, niewielkie i poskręcane, wygięte wiatrem. Suche igły chrzęściły pod stopami, wpadały do sandałów, kłuły w skórę. Z gałęzi zwisały smętnie porzucone pajęczyny; Leochares przecierał sobie szlak kijkiem, żeby w którąś z nich nie wejść. Rozglądał się za jakimiś śladami, czymkolwiek, co mogłoby mieć znaczenie dla śledztwa, ale nie było nawet na czym zawiesić wzroku. Nagle Aranth zatrzymał się w pół kroku, ukucnął, zaczął grzebać w mchu.

– Masz coś?

– Kurki!

– Co?

– To takie grzyby. – Wyciągnął dłoń, na której leżały żółtawe drobinki.

– Mhm – westchnął Leochares. – Nie ma co, owocna wyprawa. Dobra, nic tu po nas. Chodź.

– Daj mi chwilę... – powiedział Aranth, kucając. – One zwykle rosną po kilka.

– Myślałem, że mamy pilniejsze rzeczy na głowie.

– To długo nie potrwa.

Leochares wzruszył ramionami. Jak przerwa, to przerwa. Odszedł parę kroków na bok, podciągnął himation i zaczął sikać.

– Nie jadłeś ich nigdy?

– Nie – odparł Leochares, nie odwracając głowy. – Grzyby są dobre dla ślimaków.

– To ślimaków też nie lubisz?

– Słucham?

– Ślimaki są pyszne. Tylko trzeba je dobrze przyrządzić... A najlepiej wpierv utuczyć je na słonym mleku.

– Teraz to już się ze mnie nabijasz – stwierdził Leochares, poprawiając

ubranie.

– Nie, dlaczego? Mleko jest pożywne, a jak dodać soli, to ślimakom ciągle chce się pić, więc jedzą i jedzą, aż...

– Starczy. Proszę. Skończ zbierać te swoje grzybki i... – Leochares urwał w pół słowa.

– Co?

– Tam, między drzewami – Leochares wskazał przecinkę palcem. – Wydaje mi się, czy coś tam błyszczący?

– Ja tam nic... – Aranth zmrużył oczy. – A nie. Też widzę.

Leochares ruszył przed siebie, nie czekając na Arantha; Etrusk pobiegł za nim, gubiąc po drodze kurki.

Na środku polany rosła powykęciana, częściowo uschnięta pinia. Środek drzewa przebijało kilka żelaznych prętów długich na trzy, cztery stopy, nie grubszych niż palec. Były wbite pod różnymi kątami, niektóre prawie się krzyżowały. Większość była pokryta rdzą, dwa czy trzy wyglądały na nowsze, a jeden wciąż jeszcze błyszczał.

Podeszli bliżej – powoli, ostrożnie stawiając stopy. Leochares rozglądał się, zapamiętywał każdy szczegół. Białe zacieki żywicy na pniu. Leżące u stóp drzewa zwierzęce kości, przyprószone igliwem. Siedzące w koronie drzewa szpaki, które zamiast spłoszyć się i odlecieć, śledziły ich w milczeniu wzrokiem.

Leochares stanął przed drzewem, po chwili wahania położył rękę na jednym z prętów. Był chropowaty od rdzy, chłodny w dotyku. Tępa końcówka nosiła ślady wielokrotnych uderzeń. Leochares cofnął dłoń, wytarł ją o himation, mimo że nie była brudna. Kucnął, przerzucił zeschnięte igły zalegające między korzeniami. Znalazł kawałki odłupanej kory, drobinki metalu i fragment glinianego naczynia. Obrócił skorupę w palcach. Była cienka, lekko wybrzuszona, pokryta firnisem. Ścianka kielicha, zdaje się.

– Caile miał coś przeciw drzewom? – spytał Leochares, robiąc krok do tyłu. Zadarł głowę do góry. Cholerne szpaki wciąż tam były.

– Hm. Nie wydaje mi się – odparł nieco zdziwiony Aranth. Leochares uniósł pytająco brew, czekając na ciąg dalszy. Etrusk albo tego nie zauważył, albo nie zrozumiał sugestii.

– Wiesz, co to za miejsce?

– Nie... Nigdy o nim nie słyszałem.

– A może pokusisz się o jakąś interpretację? – Leochares zatrzepotał przymilnie rzesami.

– Te pręty... Używamy ich do odliczania czasu.

– Jak to działa? Jeden pręt równa się jeden rok?

– Mhm. Dokładnie.

– Raz, dwa, trzy... – liczył na głos Leochares – ...piętnaście. Jest ich piętnaście.

– Wydaje mi się, że tamten krzywy, o tam, policzyłeś dwa razy.

– Hm. Faktycznie. Czyli czternaście... Czternaście lat. Co się stało czternaście lat temu?

– Nie wiem... – zakłopotany Aranth wzruszył ramionami. – Wiele rzeczy.

– No tak, jak co roku. Chodzi mi o coś, co było ważne dla Caile.

– Miałem wtedy kilka lat.

– Hm. Racja. – Leochares podrapał się po brodzie. – W takim razie porozmawiam z...

Nagle, bez żadnego widocznego powodu, szpaki zerwały się z krzykiem do lotu. Było ich dużo, czterdzieści, może nawet pięćdziesiąt sztuk, w każdym razie Leochares pierwszy raz widział ich aż tyle jednocześnie. Ptaki zbiły się w powietrzu w kulę, pomknęły w stronę chylącego się ku zachodowi słońca, wykonały kilka gwałtownych skrętów, po czym rozpierzchły się na wszystkie strony.

Leochares chwilę jeszcze śledził wzrokiem lot pojedynczych ptaków, osłaniając oczy dłonią przed ostrym światłem. Po chwili odwrócił się w stronę Arantha. Etrusk był blady, głowę miał wciąż zadartą ku górze.

– Wracajmy do Veii – wyszeptał książę. – Nim się zrobi ciemno.

Leochares miał już na końcu języka zjadliwą uwagę o etruskich przesądach, ale koniec końców zachował ją dla siebie.

A co ja robiłem czternaście lat temu?, pomyślał Leochares, popędzając osła. To było, kiedy Lysimach był archontem... Czyli to tamtego roku rozwiązałem swoją pierwszą sprawę.

Co ciekawe, wtedy też chodziło o drzewo. Ale nie byle jakie, tylko o świętą oliwkę. Pewnego dnia ją ścięto – przy samej ziemi. Oczywiście, podejrzenie padło na właściciela gruntu, Kalliasa, znajomego Leocharesa z czasów wojska. Groziła mu kara śmierci – niszczenie darów bogini było zbrodnią gorszą niż morderstwo. Jeszcze nim doszło do procesu, wściekły tłum wyciągnął go z domu i pobił do nieprzytomności, a potem podpalił jego spichrze. Kilka dni później Leochares spotkał Kalliasa w tawernie w Pireusie – był jednocześnie niebieski od sińców, zielony z przepicia i blady ze strachu. Wychylili parę kielichów za stare, dobre czasy, potem Kallias zaczął wylewać swoje żale. Trudno było go zrozumieć, bo po pierwsze, nie trzeźwiał od dawna, po drugie – bogobojna tłuszcza wybiła mu większość zębów. Z długiej litanii pretensji, porwanych wątków i pijackich szlochów Leochares wyciągnął tyle, że Kallias rzeczywiście nie ściał świętego drzewa, że podejrzewał sąsiada, z którym od dłuższego czasu miał już na pieńku, ale nie był w stanie tego udowodnić, a rozprawa zaczynała się już za dwa dni. Leochares zaoferował pomoc – po trosze dlatego, że było mu go po ludzku żal, po trosze dlatego, że wdzięczność Kalliasa miałyby z pewnością wymiar materialny. Tuż przed świtem wyściskali się, wycalowali, wypili strzemiennego i rozeszli do domów – ku wielkiej uldze właściciela tawerny.

Jeszcze przed upływem następnego dnia Leochares znalazł świadka i, używając sprawdzonych metod perswazji, przekonał go do złożenia zeznań. W efekcie Kalliasa uniewinniono, sąsiad musiał wypić kubek cykuty, a Leochares dostał tyle, ile normalnie zarabiał w kwartał. Kallias polecił go swojemu szwagrowi, który miał problem z dłużnikiem, ten znajomemu kupcowi, którego jakiś cwaniak z Pireusu orznął na dwie miny... Dalej było już z górki. Jedenaście lat. Leochares pokręcił z niedowierzaniem głową.

Bramy Veii były zatrzaśnięte; wpuścili ich dopiero, kiedy strażnicy poznali Arantha. Na zamkniętych w obrębie murów łąkach, gdzie jeszcze kilka dni temu pasły się leniwie krowy, rozbili obóz etruscy wojownicy. Leochares był pod wrażeniem panującego w nim porządku – namioty stały w rzędach, w równych odstępach, wszystkie w tym samym rozmiarze, z tego samego barwionego na czerwono płótna. Pośrodku, na idealnie

kwadratowym placu, kilkunastu młodych wojowników ćwiczyło maszerowanie w falandze; tarcza nachodząca na tarczę, starannie odmierzone kroki, lewa-prawa-lewa, wzniesione nad głowy włócznie. Poruszali się do wygrywanego na flecie rytmu, w milczeniu, skupieni.

Leochares doskonale rozumiał, jak ważne są te ćwiczenia. Jeśli dadzą radę utrzymać ten rytm w trakcie bitwy, jeśli widząc szarżującą jazdę, zdołają iść równym krokiem, lewa-prawa-lewa, i utrzymać tarcze w drżących rękach, mają szansę przeżyć. Ale jeśli chociaż jeden z nich się potknie, zawaha, spóźni, jeśli w tym chodzącym murze powstanie na moment wyrwa, zginą wszyscy. Leochares widział to na własne oczy. Z bliska.

Wjechali między budynki, tam Leochares pożegnał się z Aranthem i poszedł szukać Seianti. Nie zastał jej w domu, była na miejskich murach – w otoczeniu wojowników, wsparta na lasce, wyglądała czegoś na horyzoncie. Kiedy go zobaczyła, odprawiła świętę, poprawiła narzuconą na ramiona chustę. Czekaając, aż podejdzie bliżej, patrzyła mu prosto w oczy. Leochares walczył ze sobą, żeby nie spuścić wzroku. Przegrał.

Inga uchyliła wieko pudełka. W środku leżały przeżarte rdzą kawałki metalu. Niektóre podłużne, coś jakby pręty, poza tym jakieś bezkształtne bryły, odłamki, odpryski. Wyglądały, jakby miały rozpaść się przy pierwszym dotyku.

– Co to jest?

– Narzędzia – odparł De Luca tonem, który wskazywał, że uważa to za oczywistą oczywistość.

– Ale jakie? – Inga starała się zachować spokój. Niestety, niezbyt jej to wychodziło. – Ogrodnicze? Chirurgiczne?

– Rzemieślnicze. A dokładniej mówiąc, kowalskie albo raczej złotnicze. To na przykład były uchwyty kleszczy... A to pewnie obuch młotka.

– To by się zgadzało z tymi żłobieniami po gwoździach na piątkach – wtrąciła się profesor Belmont.

– Mhm. Ale za to nie zgadza się z greckimi obrządkami

pogrzebowymi – Inga potarła skroń.

– W jakim sensie?

– Grecy zasadniczo nie wkładali do grobu narzędzi – ciągnęła Inga.

– Zwłaszcza w epoce klasycznej. Ewentualnie jakiś nóż, coś małego... Ale nie cały zestaw.

– Prawda – zgodził się De Luca. – To jedyne takie znalezisko z całego cmentarza Via Marche.

Inga założyła rękawiczki, podniosła jedno z narzędzi. Ostrożnie, żeby nic się ukruszyło. Obróciła je, obejrzała z bliska, z daleka, od góry i od spodu. Niestety, nie była w stanie wyczytać absolutnie niczego. Archeologia życia codziennego nigdy nie była jej specjalnością.

– Będę panu musiała uwierzyć na słowo, doktorze... – powiedziała, odkładając kawałek metalu.

– No tak, jak ktoś nie ma wytrenowanego oka, ciężko nawet powiedzieć, gdzie góra, a gdzie dół. Narzędzia to akurat moja specjalizacja... Ale zaraz, powinienem mieć tu w teczce rysunki z rekonstrukcjami z tego artykułu ze sprostowaniem, o którym mówiłem.

De Luca otworzył żółtą teczkę; gumka strzeliła z trzaskiem o tekturę. Przerzucił kilka arkuszy papieru milimetrowego, wreszcie wyciągnął jeden z nich i uniósł nad głowę w triumfalnym geście.

– O, proszę popatrzeć. To są uchwyty szczypców... Co ciekawe, tu i tu widać ślady naprawy... Obuch młotka też nieźle sfatygowany... A to nożyk w kościanej rękojeści. Ostrzony tyle razy, że bardziej przypomina wykałaczkę.

– No dobrze – wtrąciła się Ava – ale czemu te narzędzia złożono w grobie? Macie jakieś pomysły?

– Może miały szczególne znaczenie dla zmarłego... A skoro były już tak sfatygowane, jak mówi doktor De Luca, to strata wiążąca się ze złożeniem ich do grobu była niewielka. – Inga zamknęła pudełko; na wieku zostały ślady jej palców odcisnięte w kurzu. – A może jego rodzina przyjęła taki zwyczaj pochówkowy od jakichś innych ludów.

W końcu zdaje się, że ten tajemniczy mężczyzna wiele podróżował. Trudno powiedzieć.

– Jak panie widzą, nie ochrzciliśmy tak tego szkieletu bez powodu – spuwentował z dumą De Luca.

– Spokojnie, jeszcze go rozgryziemy – powiedziała profesor Bellmont. – Tylko dajcie mi obejrzeć resztę kości.

De Luca kiwnął głową, wstał, chwycił już za klamkę, ale zamiast otworzyć drzwi, odwrócił się.

– Nawet mnie panie nie spytacie, skąd mam koszulkę Maradony? – Na twarzy doktora malował się szczerzy zawód. – Wszyscy pytają.

Inga spojrzała na wiszącą nad biurkiem ramkę. Zdała sobie sprawę, że był to jedyny przedmiot w biurze De Luki, na którym nie zalega kurz. A szyba była wypolerowana tak, że można było się w niej przejrzeć.

– Hm... Kupił ją pan przez internet? – spytała profesor Bellmont.

– A właśnie, że nie! Maradona dał mi ją po meczu! I to jakim? Finale Coppa Italia w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym! Wygraliśmy trzy do zera z Atalantą! Ach, co to był za pojedynek... Renica strzela w sześćdziesiątej siódmej, cztery minuty później Muro, i wreszcie w siedemdziesiątej siódmej Bagni, z przewrotki, bum!

Inga kiwała głową, udając zainteresowanie, choć jedyne, co ją kiedykolwiek interesowało w piłce nożnej, to Gerard Piqué i jego nieziemski broda. Ava czyściła okulary irchą.

– Ech... – westchnął De Luca, otwierając drzwi. – Chodźmy już lepiej do magazynu.

– No, proszę – Seianti lekko uniosła brew. – Czyli wróciłeś.

– Mam nadzieję, że to nie jest przykra niespodzianka.

– To w ogóle nie jest niespodzianka.

– Doprawdy?

Seianti machnęła ręką. Niedbały gest pełen gracji.

– Od początku mówiłam, że chodzi ci o coś więcej niż pieniądze... Tylko wciąż nie wiem, o co.

– Powiedzmy... Powiedzmy, że nie lubię zostawiać rozgrzebanych spraw.

– Mhm. Powiedzmy.

– No i właśnie... Masz chwilę?

– Chwilę, owszem – Seianti skinęła głową. – Więcej nie. Jak widzisz, mamy tu trochę rzeczy do zrobienia.

– Rozumiem.

Leochares oparł się o mur, skrzyżował ramiona.

– Czternaście lat temu wydarzyło się coś ważnego. – powiedział. – Coś, co Caile chciał sobie wbić w pamięć. Dosłownie.

– Tak – odparła Seianti. – Zgadza się.

– Co to było?

Seianti oparła się o mur, podniosła laskę i skierowała ją przed siebie.

– Widzisz ten punkt? Tam, na horyzoncie?

Leochares zmrużył oczy, wytężył wzrok.

– Tak... To jakieś miasto?

– Fidenae – skinęła głową Seianti. – Kiedyś było nasze. A równo od jedenastu lat należy do Rzymu.

– Jak do tego doszło?

– Mówiąc krótko, przez wojnę.

– A mówiąc dłużej?

Seianti prychnęła. Leochares spodziewał się, że odpowie ostro, utnie rozmowę. Jestem zajęta, poproś kogoś innego, żeby dawał ci lekcje historii. Ale kiedy w końcu się odezwała, miała spokojny głos, mówiła powoli i bez pośpiechu.

– Nie wiem, co ci więcej powiedzieć. Zostaliśmy pokonani, upokorzeni, straciliśmy połowę ziem. Mimo że mieliśmy więcej sojuszników, świetnych wodzów...

– Aranth powiedziała by, że widać tak było pisane.

– Może. On lepiej czyta znaki bogów. Ufa im.

– A ty nie?

– Ja myślę – powiedziała po chwili wahania Seianti – że o losach wojny więcej można wyczytać z ruchów wojsk niż lotu ptaków.

– To czemu przegraliście?

Piękną twarz Seianti wykrzywił na chwilę grymas. Pogarda, złość, żal.

– Bo nie obudziliśmy się ze słodkiego snu.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Wiem... Nikt nie rozumie. Pomóż mi zejść na dół. No, na co czekasz? Daj rękę.

Oparła się o niego. Była drobna, prawie nie czuł jej ciężaru. Za to jej perfumy uderzyły mu do głowy.

– U nas czas biegnie trochę inaczej niż u was – powiedziała Seianti, pokonując pierwszy stopień schodów. Szła powoli, każdy krok sprawiał jej ból; stara kontuzja najwyraźniej nie przestawała dawać się we znaki.

Po cholere tu w ogóle wchodziła, pomyślał Leochares, nie mogła kazać zwiadowcy zdać raport, co widzi?

– Inaczej? To znaczy jak?

– Wolniej. Nie wiem, jak to... Aj! Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Wy, Grecy... – Seianti wykonała nieokreślony ruch ręką. – Ciągłe wam się gdzieś spieszy. Nie możecie usiedzieć na miejscu. A my... Niczego bardziej nie lubimy, niż ułożyć się gdzieś wygodnie. Dobrze zjeść, wypić, posłuchać muzyki.

– To ładne. Wiesz, umieć cieszyć się życiem.

– Może – powiedziała Seianti, przystając, żeby odpocząć – ale z umiarem. A my umiaru nie znaleźliśmy. – Leżeliśmy tu sobie, między gajami oliwnymi i winnicami – podjęła, ruszając znów w dół schodów – powoli obrastając w tłuszcz. Świat się zmieniał, a myśmy tego nie dostrzegli. Rzym... Jeszcze nie tak dawno to była wieś. Lepianki rozrzucone na siedmiu wzgórzach.

Kolejnych kilka stopni. Zdrowa noga Seianti drżała już z wysiłku.

– Przez jakiś czas Rzymem rządzą etruscy królowie, wiesz? Wygnano ich, ale nie przejęliśmy się tym zbyt... Nie chciało nam się. Tak, jak

czasem nie chce się wstać z łóżka, żeby zabić muchę, która wpadła do sypialni i brzęczy. Niby przeszkadza... Ale nie aż tak.

Seianti poślizgnęła się. Leochares przytrzymał ją, pomógł stanąć prosto.

– Rzym urósł w siłę dosłownie z dnia na dzień. A potem... Zaczęło się od tego, że przysłali do nas posłów. Z żądaniami.

– Zgaduję, że ich nie spełniliście?

– Mało powiedziane. Larth... Ojciec Caile... Kazał ich zabić.

– Dlaczego?

– Caile mówił mi potem, że tuż przed audiencją grali w kości. Larth wyrzucił wysokie oczka. Stwierdził, że bogowie nam sprzyjają i nie ma się czego bać.

– Żartujesz.

– Nie, nie żartuję – odparła zdyszana Seianti. – Ja nigdy nie żartuję. A potem... Zamiast uderzyć, nim rozeszły się wieści, zebrać wojska... Larth pojechał na polowanie, jakby nigdy nic. Kupił nowe psy myśliwskie, spieszyło mu się, żeby je sprawdzić. Ufff...

Jeszcze kilka stopni. Na dole czekała już na Seianti lektyka.

– Rzymianie... Oni z kolei nie próżnowali. Nie minęło kilka dni i już byli pod naszymi murami. Kilka kolejnych i Larth nie żył. Broniliśmy się, ale... To już było na nic. I tak, równo czternaście lat temu, padło Fidenae. Potem zawarliśmy pokój. Upokarzający, dodam.

– Caile... Jak to przeżył?

– Źle. Nie było dnia, żeby nie myślał o tej wojnie... Ciągle radził się ludzi i bogów, co dalej, jak nadrobić te przespane lata. Nie zdążył... Ale Velthur pomści jego i Lartha. Zobaczysz.

– Szczerze mówiąc... – powiedział Leochares, pomagając Seianti zejść z ostatniego schodka. Jej skóra była lepka od potu. – Mam nadzieję, że już mnie tu wtedy nie będzie.

– Racja – uśmiechnęła się lekko. – Tego ci też życzę.

– Dziękuję za opowieść. Myślę... Myślę, że trochę lepiej was teraz rozumiem.

– Cieszę się. A teraz, wybacz... Obowiązki wzywają.

Seianti opuściła laskę. Ostra okuta brązem końcówka wbiła się z chrzęstem w piasek.

– Czekał! – Leochares chciał ją złapać za ramię, w ostatniej chwili cofnął rękę.

– No?

– Wiem, że to w ogóle nie moja sprawa, ale... Twoja noga... To nie wygląda dobrze. W Tarencie są dobrzy lekarze, mogliby...

– Tu też są. Ale po nich nie posyłam.

– Ach. Ale... Czemu, jeśli wolno?

– Bo nie chcę – powiedziała, oddając laskę niewolnikowi. – Niech boli.

Seianti weszła do lektyki, po czym opadła ciężko na poduszki i zamknęła oczy.

Było jeszcze wcześniej, słońce dopiero co zaszło. Leochares postanowił więc odwiedzić świątynię Menrwy. Po pierwsze, miał parę pytań do Pesny. Po drugie, bardzo, ale to bardzo nie chciał jeszcze wracać do domu Rasce. Nic tam na niego nie czekało.

W sanktuarium był tłum – jak to zawsze w czas wojny. Każdy chciał wiedzieć, jaki czeka go los, jakich znaków ma wyglądać, czego się wystrzeżać. Schody świątyni były już śliskie od krwi baranów, w kolejce czekały następne. Ich beczenie, wzmocnione odbitym od murów echem, zagłuszało ludzkie głosy. Głupie, przerażone zwierzęta, w których flakach bogowie umyślili sobie skryć prawdę o świecie.

Leocharesowi się nie spieszyło. Czekał. Patrzył, jak Pesna zagląda w rozprute, parujące jeszcze brzuchy, jak jego odświętne szaty zmieniają powoli kolor z niebieskiego na czerwony, jak rośnie góra trucheł u jego stóp. Pielgrzymi słuchali słów kapłana, wstrzymując oddech. Niektórzy odchodzili z ulgą, przekonani, że ich czas jeszcze nie nadszedł. Inni, bladzi, ze spuszczonej głowami, szli do domów, wiedząc, że mają wyglądać nieuchronnej śmierci.

Ostatni baran oddał życie za ludzką ciekawość, Pesna odczytał znaki

zapisane w jego wątrobie, mrużąc zmęczone oczy. Potem zrobiło się cicho; słyhać było tylko, jak niewolnicy obdzierają zarżnięte zwierzęta ze skóry. Leochares wszedł po śliskich od krwi stopniach świątyni, uważając, żeby się nie przewrócić.

– Jak tam? Bogowie szykują coś dobrego?

Pesna uniósł głowę, poprawił stożkową czapkę.

– Drwiesz ze mnie?

– Nie... Próbuję zagaic rozmowę.

– Słucham?

– Chodzi o śledztwo. Mam kilka pytań.

– Pytaj więc – odparł Pesna, myjąc zakrwawione ręce w marmurowej misie. Woda natychmiast zrobiła się różowa.

– Kiedy przyjechałem do Veii, znalazłem w łóżku martwego psa. Z połamanymi nogami i bez oczu. Obok leżała figurka spętanego mężczyzny.

Pesna zeszywniał. Przestał szorować dłonie.

– Kilka dni potem, w nocy – ciągnął Leochares – ktoś wkradł się do domu, w którym się zatrzymuję. Wszedł do sypialni i zaszył mi w ubraniu ptasią kość, monetę i... I coś jeszcze, nie pamiętam teraz.

– Przypomnij sobie. To ważne.

– Nie dla mnie, szczerze mówiąc.

Pesna wyjął ręce z wody, wytarł je dokładnie ręcznikiem. Za paznokciami wciąż miał krew.

– Dziwne. Bo zdaje się, że ktoś dwa razy życzył ci śmierci.

– Tak, Aranth mi już tłumaczył. Ale mniejsza z tym. Widzisz, mnie interesuje co innego.

– Mianowicie?

– Ciekaw jestem, czy każdy zna takie sztuczki?

– Sztuczki? – Pesna zmarszczył brwi.

– Chodzi mi o to, czy byle człowiek z ulicy wiedziałby, jak rzucić te uroki?

– Nie. To jest w świętych księgach. A te czytają tylko nieliczni.

– Na przykład kapłani?

Pesna nadał się i poczerwieniał. Pasek od czapki jeszcze głębiej wżął mu się w skórę.

– Widzę, że jednak ze mnie drwisz.

– Bynajmniej.

– W takim razie co? Oskarżasz?

– Nie, po prostu pytam. Czy powinienem założyć, że przeklął mnie kapłan?

– Może – odparł Pesna po chwili zastanowienia. – Chociaż... Raczej nie.

– Bo?

– Bo... Hm... – Pesna otworzył usta, po czym zaraz je zamknął. – Bo każdy kapłan wie, że bogów nie można ponaglać.

– Nie rozumiem.

– Wtedy, z tym psem, ktoś życzył ci szybkiej śmierci. Bogowie to widzieli i wazą twoje losy, patrzą, co ci było pisane. Nie ma co ponownie ich prosić. Ale ten ktoś... Rzucił jeszcze drugą klątwę, chociaż to już nic nie da. Co ma być, to będzie.

– Niewątpliwie – skinął głową Leochares. – No dobrze, załóżmy, że to nie był kapłan ani wróżbita. W takim razie kto?

– Ktoś, kto podpatrzył nasze sekrety – powiedział Pesna. – Ale ich nie rozumie albo nie respektuje. Powtarza tylko gesty i słowa.

– A masz może jakieś konkrety? Imiona?

– Obawiam się, że nie.

– Tak myślałem... No nic, dzięki, tak czy siak. Bywaj.

Leochares skłonił się na do widzenia, ruszył w stronę wyjścia. Świątynni niewolnicy zabrali się już do ćwiartowania złożonych w ofierze owiec. Nierówny rytm tasaków, *tok!-tak!-tok!*, rozbrzmiewał po sanktuarium, łącząc się w upiorną melodię z odległym piskiem fletów.

– To, że jeszcze żyjesz – Leochares usłyszał za plecami głos Pesny – nie znaczy, że jesteś bezpieczny.

Leochares odwrócił się na pięcie. Podeszwa sandała zapiszczała na

mokrych od krwi schodach.

– Słucham?

– Twoje losy wciąż się wazą – powiedział Pesna. I tak był wysoki, ale teraz, stojąc na szczycie schodów w swojej absurdalnej stożkowej czapce, wydawał się naprawdę ogromny. – Ciągłe wisi nad tobą klątwa.

– Po co mi to mówisz? Chcesz mnie nastraszyć?

– Nie. Daję ci radę. Dobrze wykorzystaj nadchodzące dni. Bo mogą być twoimi ostatnimi.

– Mhm. Piękne dzięki. Powiedzieć ci, jak je wykorzystam?

Pesna nie odpowiedział. Widać nie był w nastroju do zgadywania.

– Ustalę, kto zabił Caile, a potem o tym powiem, głośno i wyraźnie. Chociaż, tak mi się coś zdaje, wielu ludziom w Veii będzie to nie na rękę. W tym może i tobie, święty mężu. Hę?

– O czym ty mówisz?

– Poluzuj sobie ten pieprzony sznurek – warknął Leochares. – To może zrozumiesz. Wasz król został zamordowany i jedyna osoba, która się tym przejmuje, to jego bękart. Nie wydaje ci się to trochę dziwne? Bo mnie bardzo.

– Nic nie rozumiesz. Zginął, bo tak było pisane.

– A to, że nie znajdziecie mordercy, też było pisane?

– Tak, też! – Pesna już prawie krzyczał, mimo że przez ciasno przywiązaną czapkę ledwie mógł otworzyć usta. – Mówiłem Aranthowi, ale nie słuchał!

– Co? Pierwsze słyszę.

– Nie chcesz mi wierzyć, trudno – wycedził kapłan. – Twoja strata. A teraz idź stąd. Nim stracę cierpliwość.

Leochares machnął ręką i poszedł, nie oglądając się za siebie. Kiedy minął bramę sanktuarium, wytarł o trawę zakrwawione buty.

Wychodzi na to, myślał Leochares, idąc przez pogrążoną w mroku ulicę,

że mam do pogadania z Aranthem. Kolejna rzecz, o której powinien być mi powiedzieć. Kolejny sekret, cholera jasna.

Nie chciało mu się wracać do głównej ulicy, więc wszedł między domy, szukając drogi na skróty. Nie był jeszcze w tej części miasta. Budynki były tu mniejsze, skromniejsze. W poprzek ulicy wisiały sznury, na których suszyło się pranie. W Atenach czy w Tarencie wszystkie ubrania byłyby białe – tu paleta barw była tak bogata, że przyprawiała o zawrót głowy. Różowy płaszcz, niebiesko-czerwona tunika z lamówką w kropki, pomarańczowa suknia w czerwone krzyżyki. Bogowie, skrzywił się Leochares, nawet ja wiem, że to się gryzie.

Kiedy był już prawie pod domem, usłyszał gwizd. Nie ostry świst, jakim woła się psa, ani nie melodię, którą ktoś nucił sobie pod nosem przy pracy. Nie, to brzmiało, jakby ktoś próbował zwrócić jego uwagę. Leochares odwrócił się, powoli, lekko zaniepokojony – ale od razu odetchnął.

W bramie, oparta o odrapaną ścianę, stała młoda kobieta. Miała na sobie cienką tunikę w kolorze spranej żółci i długie korale z jarzębiny. Jasne włosy nosiła upięte wysoko, odsłaniając zgrabną szyję. Uśmiechnęła się do niego. Mrugnęła.

Leochares wiedział, że nie zaczepiła go dlatego, że jej się spodobał. Nie prezentował się zbyt dobrze jeszcze nim przyjechał do Veii, a teraz, poobijany i brudny, z pewnością nie sprawiał, że niewieście serca były żywiej. Dziewczyna musiała być po prostu w pracy.

Wahał się. Nie był z kobietą od... No, od bardzo dawna. Jakiś czas temu jeszcze liczył, potem przestał, bo tylko się wściekał. Z Lamią, wiadomo, niezbyt mu się ostatnimi czasy układało. Kochanek nie szukał, a do burdelu nie chodził, bo nie miał pieniędzy. Ale teraz miał.

Dziewczyna odwróciła się do niego bokiem i zaczęła unosić kraj tuniki. Powoli, powolutku, jak morze cofające się wraz z odpływem z plaży. Miała zgrabne szczupłe nogi. Pieprzyk tuż pod kolanem. Drugi trochę wyżej, na udzie. Trzeci tuż pod pośladkiem. Żeby zobaczyć kolejne, musiał zapłacić. A co mi tam, pomyślał. Może Pesna miał rację. Powinienem korzystać z życia. Zwłaszcza że w domu żadna Penelopa nie czeka[29].

Leochares znał tylko kilka słów po etrusku, ale nie miał wątpliwości, że mimo to się dogadają. Wyciągnął dwie drachmy. Po chwili wahania dołożył

trzecią. Chciał, żeby robiła to z entuzjazmem, entuzjazm można pomylić z czymś więcej. Dziewczyna wzięła pieniądze ruchem tak delikatnym, że ledwie poczuł jej dotyk. Weszła w głąb bramy, skinęła na niego palcem. Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać.

Dziewczyna zrzuciła z siebie tunikę, usiadła na skrzyni. Leochares sycił się jej widokiem. Niewielkie, ale pełne piersi, o sutkach tak ciemnych jak jej jarzębinowe korale. Piękne wcięcie w talii, zaokrąglone biodra, jakby stworzone, żeby położyć na nich dłonie, zacisnąć na nich palce. Płaski brzuch, u dołu porośnięty drobnymi, ledwie widocznymi włoskami, które łaskoczą, kiedy zbliża się do nich usta. Leochares dosłownie czuł, jak krew odpływa mu z głowy. I przepływa gdzie indziej.

Ukląkł przed nią. Całował brzuch, piersi. Jej skóra była ciepła, młoda, pachnąca. Położyła mu dłonie na głowie, rozczesywała palcami splątane włosy. Ugniatał jej pośladki, lizał i gryzł sutki. Jęknęła cicho, zdjęła korale, żeby mu nie przeszkadzały. Potem zarzuciła mu je na szyję. I zacisnęła gwałtownym ruchem.

Profesor Belmont usiadła przy aluminiowym stole, zatarła dłonie. Widać było, że nie mogła się doczekać, aż znów będzie mogła wziąć się za kości *Uomo Misterioso*. Doktor De Luca zostawił je same; powiedział, że pójdzie się dowiedzieć, o której przyjadą brakujące elementy szkieletu.

Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, Ava wzięła się do pracy. Oglądała każdą kosteczkę, centymetr po centymetrze, zgarbiona, prawie dotykając okiem szkła powiększającego, mruzczała coś niezrozumiale pod nosem. Przez jakiś czas Inga przyglądała się jej pracy w nadziei, że dostrzeże coś ciekawego, albo chociaż podłapie od niej jakieś techniki. Po pół godzinie poddała się i wyciągnęła książkę. Wskazówki ściennego zegara robiły okrążenie za okrążeniem, głośno tykając.

– Co czytasz? – spytała nagle Ava, nie odrywając wzroku od szkieletu; Inga aż podskoczyła na krześle.

– *Grę o tron*.

- To o tych włochatym ludzikach i czarodziejach?
- Eee... Nie. Myślisz chyba o *Władcy Pierścieni*.
- A, tak, prawda. W każdym razie... Daj znać, jak doczytasz do końca rozdziału, to powiem ci, czego się dowiedziałam.
- Zaczniemy teraz. – Inga zagięła róg strony, zamknęła książkę. – Lannisterowie mogą zaczekać.
- No dobrze... To najpierw rzeczy proste, jak zwykle. Jak na tamte czasy, był dość wysoki. Metr siedemdziesiąt, plus minus dziesięć centymetrów.
- Przepraszam... Ale skąd to wiesz, skoro nie mamy wszystkich kości?
- Wystarczą kości długie. Potem trzeba tylko podstawić wymiary do odpowiedniego wzoru, na przykład $y = c + mx$, gdzie „y” to... – profesor Bellmont urwała, uniosła głowę. – Naprawdę chcesz się zagłębiać w takie szczegóły?
- Nie. W sumie to niekoniecznie.
- Tak myślałam. Dalej... Nasz tajemniczy mężczyzna był z pewnością praworęczny. Widać to wyraźnie po asymetriach. Popatrz tylko. Tu – powiedziała Ava, stukając w pudełko – leży lewa kość ramienna. A tu prawa. Widzisz różnicę?
- No... Prawa jest grubsza.
- Dokładnie. Zawsze jednego ramienia używa się częściej i intensywniej, mięśnie naciskają bardziej na kość, to z kolei stymuluje wzrost. No i à propos mięśni... Zostawiły bardzo wyraźne ślady po zaczepach. Słowem, był silny. Co też ma sens w zestawieniu z obrażeniami czaszki typowymi dla boksera.
- Prawdziwy superman.
- Tyle że kulejący. – Profesor Bellmont sięgnęła po kość miednicową. – Miał artretyzm biodra, co prawda tylko w początkowej fazie. Widzisz te wyrośla? Takie jakby kostne krosty? To osteofity. Teraz wyobraź sobie, że te dzioby trą o drugą kość...
- Mhm – mruknęła Inga, choć tak naprawdę właśnie starała się

sobie tego nie wyobrażać. Nie jej bajka. Zdarzało jej się zemdleć na pobieraniu krwi i zamykała oczy, gdy w serialu *Doktor House* pokazywali operację.

– To powoduje ból. Ogranicza ruchy. No, ale jak mówię, artretyzm dopiero zaczynał mu dokuczać... I dużo bardziej by się już nie rozwinął. Nawet gdyby ktoś mu nie wetknął czegoś ostrego między żebra.

– Dlaczego?

– Dlatego. – Profesor Belmont sięgnęła po lewą kość ramieniową, obróciła ją na drugą stronę. Na środkowym odcinku kości powierzchnia wyglądała inaczej niż wszędzie indziej. Niezdrowo. Była chropowata, pokryta drobnymi żłobieniami. Przywodziła na myśl próchniejące drewno.

Leochares wypuścił ze świstem powietrze. Dziewczyna go dusiła. Oderwał oczy od jej ciała, od lśniącego od śliny sutka, spojrzął w górę. Już się nie uśmiechała. Usta miała zaciśnięte, twarz poczerwieniałą z wysiłku. Złapał ją za ręce, próbował je odciągnąć. Kopnęła go w brzuch, raz, drugi, aż zgiął się wpół. Potem pociągnęła jeszcze mocniej za ramię, ścisnęła mu głowę udami. Nic nie widział, nie słyszał. Czuł na policzku jej krocze, gorące i suche. Wrzynające się w skórę szyi korale. Machał na oślep rękoma, coraz bardziej rozpaczliwie. Czuł się, jakby tonął. I już, już, kiedy gasły zmysły, ramię pękł; jarzębinowe korale wystrzeliły w powietrze, potoczyły się po ziemi.

Dziewczyna odepchnęła go. Upadł na ziemię, zwinął się w kłębek. Łapał powietrze wielkimi haustami, trzymając się za płonące bólem gardło; twarz miał mokrą od śliny, żółci i łez, oblepioną piaskiem, oczy wytrzeszczone.

Uklękła koło niego. Coś błysnęło w jej ręku. Nóż. Poczuł ostrze na policzku. Jego czubek przebił skórę i popłynęła strużka ciepłej krwi.

– Wyjeżdż od Veii – wyszeptała dziewczyna łamaną greką, kładąc trzy drachmy na jego piersi. – Wyjeżdż i nie wrócej.

Cofnęła rękę. Zabrała tunikę. Zniknęła.

Leochares przekręcił się na plecy. Oddychał, charcząc głośno. Pomiędzy dachami budynków widział nocne niebo. Przecięła je spadająca gwiazda.

Po moim, kurwa, trupie, pomyślał, zaciskając zęby.

Wrócił do domu Rasce. Zamknął za sobą drzwi. Ciągłe nie kupił kłódki, więc zastawił je krzesłem. Wątpił, żeby to powstrzymało kogokolwiek przed włamaniem, ale może chociaż narobi hałasu. Rzucił juki na stół i, mimo że był obolały i wymęczony, zaczął je rozpakowywać. Każdy przedmiot wykladał z rozmachem, waląc nim o blat, jakby przybijał właśnie pieczęć. Był głodny, ale nic już nie jadł. Bolało go, kiedy przełykał ślinę. Na myśl o gryzieniu robiło mu się słabo.

Poszedł do sypialni. Ściągnął koc i cisnął go na podłogę, położył się i zamknął oczy. Leżał dłuższą chwilę bez ruchu, oddychając głośno przez usta. Nie starał się zasnąć, przewijał mu się przed oczami cały dzień. Wyjazd z miasta, spotkanie z Aranthem, drzewo przebite żelaznymi prętami, opowieść Seianti, słowa Pesny. Korale z jarzębiny, które prawie zmiażdżyły mu krtań.

Zaklął pod nosem, po czym wstał. Chwiejnym krokiem poszedł do wewnętrznego ogrodu, złapał szpadel. Miejsce, gdzie zakopał psa, było wciąż widoczne z daleka. Ciemna martwa plama wśród wysokiej trawy. Wbił ostrze, przerzucił ziemię na bok, ignorując rwące bólem ramiona i zawroty głowy. Metal uderzył o coś miękkiego, buchnęło słodkawym smrodem. Dokopał się. Wziął głęboki wdech, zawinął truchło w szmaty. Odsunął nogą krzesło blokujące drzwi, wyszedł na ulicę. Minął trzy przecznice, rzucił trupa w gęste krzaki. Otrzepał ręce, po czym wytarł je o ścianę czyjegoś domu. Palce zostawiły ciemne, długie smugi.

Wrócił do domu. Zasypał dół, przyklepał go szpadlem. Wrócił do łóżka.

Po chwili spał już jak kamień.

Leochares obudził się z twarzą na poduszce mokrej od śliny. Podniósł się na łokciu, rozejrzył. Cały materac był zapiaszczony. W kilku miejscach

widniały plamy zaschniętej krwi. Przetarł twarz. Była brudna i tłusta.

Muszę się umyć, pomyślał. Teraz. Wszedł z sypialni, utykając lekko na lewą nogę. Bolało go biodro. Nie wiedział czemu. To była chyba jedyna część ciała, na której nie miał zadrapań ani sińców.

Doczłapał do kuchni. Zajrzał do stojącego w rogu wiadra. Puste. Beczka na deszczówkę w ogrodzie też, mimo że niedawno padało, pewnie się rozszczelniła. Leochares westchnął, oparł się o ścianę. Bardzo, ale to bardzo nie chciał teraz iść do studni.

Przypomniawszy sobie o oczku wodnym na dziedzińcu. Było niewielkie – z pięć stóp długości, dwie szerokości, głębokie na jedną stopę. Dno usłane było liśćmi, na powierzchni unosiły się martwe owady. Śmierdziało szlamem. No, pomyślał Leochares, łąźnie to nie są. Ale lepsze coś takiego niż nic.

Zrzucił przepocony himation, postawił lewą stopę w cudownie chłodnej wodzie. Podniósł drugą nogę – i poślizgnął się na śliskim kamieniu. Próbował złapać równowagę, ale bez skutku, uderzył tyłkiem o dno. Syknął z bólu, potem się rozkaszał. Wreszcie wyciągnął ręce, uważając, żeby nie zmoczyć zabandażowanej lewej ręki, oparł głowę o krawędź oczka. Odetchnął z ulgą. Leżał tak jakiś czas, starając się nie myśleć o niczym i nie oddychać za głęboko.

Z błogostanu wyrwało go trzaśnięcie drzwi wejściowych. No tak, pomyślał z rezygnacją, w końcu zapomniałem je zastawić.

– Kto tam? – chciał krzyknąć, ale z gardła wydobył mu się ledwie słyszalny skrzek.

– Co? – usłyszał głos z korytarza. Aranth.

– Nic, nic – odpowiedział Leochares, po czym zamknął znów oczy.

Kroki. Sandały plaskające o mokrą podłogę. Coraz bliżej.

– Eee... Wiesz, że to oczko jest dekoracyjne? I nie służy do kąpieli?

– Mnie służy. Wybornie.

– Aha – kiwnął głową książę. – A widziałeś, co jest w tej wodzie?

– Staralem się za bardzo nie przyglądać.

– Mhm.

Aranth stał chwilę w miejscu, nie do końca wiedząc, co zrobić. Wreszcie usiadł na ławie pod ścianą.

– Uciąłem sobie wczoraj pogawędkę z Pesną – powiedział Leochares.

– O? Wydawało mi się, że się nie polubiliście.

– Oj, nie. I nadal się nie lubimy. Ale... Dowiedziałem się czegoś ciekawego.

– Tak? Czego?

– Ponoć wywróżył ci, że nigdy nie znajdziesz zabójcy Caile. To prawda?

Chwila ciszy. Leochares miał nieprzyjemne wrażenie, że coś łązi mu po nodze. Pewnie zresztą łąziło.

– Tak – powiedział wreszcie Aranth. – Prawda.

– I co? Nie uznałeś za stosowne mi o tym wspomnieć?

– Wydawało mi się, że przepowiednie cię nie interesują...

– Nie bardzo w nie wierzę. Ale to nie to samo.

– Wybacz.

– Czy jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć...?

Aranth milczał. Spuścił wzrok. A więc pewnie było. Dobrze chociaż, że chłopak nie potrafił kłamać.

– Dobra, mniejsza z tym – powiedział Leochares, nabierając wody w dłoń. – Inna sprawa. Wysoka, zgrabna dziewczyna, jasne włosy, pieprzyk pod kolanem i, hm, jeszcze w paru miejscach... Słabo mówi po grecku. Mówi ci to coś?

– Nie... Kto to?

– A, nowa znajoma – rzucił Leochares, mocząc włosy. Czuł pod palcami strupy i piasek. – Nieważne.

– Nadal chcesz jechać do winnicy Thresu? Nie wyglądasz zbyt dobrze...

– Pewnie, że chcę – powiedział Leochares, gramoląc się z wody. Tym razem już uważał, żeby się nie poślizgnąć. – Tylko się ubiorę. Poczekaj chwilę.

Leochares poszedł do sypialni. Dopiero teraz zauważył, że ma do pięty przyklepiony zbutwiał liść. Zdjął go i rzucił za łóżko.

Jechali powoli, nie spiesząc się. Winnica Thresu leżała tylko kilkadziesiąt stadionów od Veii, a mieli przed sobą cały dzień. Z początku Aranth próbował wciągnąć go w jakąś rozmowę. Pytał o Ateny. Czy to prawda, że na Akropolu stoi wielki jak drzewo posąg bogini ze złota i kości słoniowej? Że miasto łączą z portem mury tak długie, że nie widać ich końca? Że nie ma tam króla i każdy robi, co chce? Leochares odpowiadał zdawkowo; ciągle bolało go gardło. Tak. Tak. Nie – zdecydowanie nie, to, że nie ma króla, nie znaczy, że nie ma politykowania. Wręcz przeciwnie.

Piaszczystą drogę pokrywały setki nachodzących na siebie odcisków stóp i kopyt, rosnąca po bokach trawa była stratowana, a co kilka kroków leżało końskie łajno. Musiało tędy niedawno przejść wojsko. Leochares przeniósł wzrok na widnokrąg. Gdzieś w oddali widać było słupy dymu – komuś spalili gospodarstwo. Na pewno miało strategiczne znaczenie. Oby te harce prędko tu nie doszły, pomyślał Leochares, sprawdzając, czy nóż gładko wychodzi z pochwy.

Poczuł jakieś zgrubienie na palcu. Przyjrzał się bliżej – drzazga. Musiała mu wejść wczoraj, od szpadla. Próbował ją wyciągnąć, ale im bardziej się starał, tym głębiej wchodziła i bardziej kłuła. Wreszcie zniecierpliwił się, złapał końcówkę drzazgi między paznokcie i pociągnął gwałtownie. Ułamała się. No, skrzywił się Leochares, teraz to już tam zostanie na dobre.

 Nie wiedzieć czemu, pomyślał o swoim domu.

 Skrzywił się jeszcze bardziej.

– Jeszcze trochę i będziemy na miejscu – powiedział Aranth, kiedy wjechali na szczyt niewielkiego wzgórza. Gdzie tylko spojrzeć, ciągnęły się długie rzędy winorośli. Jeden za drugim, w regularnych odstępach, jakby ktoś przecesał zbocza grzebieniem.

 – Gdzie się zaczyna ziemia Thresu? – spytał Leochares.

 – Tu.

 – Mhm. A gdzie się kończy?

– Tam – odparł Aranth, wskazując horyzont.

Leochares pokręcił z niedowierzaniem głową. W takich chwilach tęsknił za Atenami. Tam też byli bogatsi i biedniejsi, wiadomo. Ale w granicach zdrowego rozsądku.

– No to zaryzykuję wniosek, że to ktoś ważny.

– Zgadza się. Jest głową jednego z najstarszych rodów Veii.

– I nie dogadywał się z twoim ojcem?

– Nie. Wcale.

– Chodziło o politykę?

– Też – odparł Aranth po chwili wahania.

Oho, pomyślał Leochares, zapowiada się jakaś ciekawa historia. Czekał, aż Etrusk rozwinie temat. Nie doczekał się.

– Ech... Powiesz sam, o co chodzi, czy muszę cię ciągnąć za język?

– To nie ma żadnego związku ze sprawą.

– Wiesz... Koniec końców to ja prowadzę to śledztwo, więc...

– A ja ci płacę – Aranth wszedł mu w słowo. Wysokim, prawie piskliwym tonem. – I mówię, że to nie ma związku.

Księżę smagnął osła po zadzie; zwierzę parsknęło z niechęcią, ale przyspieszyło kroku, zostawiając Leocharesa nieco z tyłu.

No, pomyślał, to było dziwne. Ścisnął udami swojego osła, cmoknął głośno. Zwierzę łaskawie przeszło w kłus, po chwili się zrównali. Aranth miał czerwone policzki. Nawet nie spojrzął w jego stronę.

– No dobrze – Leochares przerwał niezręczną ciszę. – Zmieńmy temat. Wiesz, po co Caile do niego jechał? Czego mógł chcieć?

– Nie.

– A wiesz, czy był tu kiedyś wcześniej?

– Nie.

– Mhm. A wspominał coś o nim przed śmiercią?

– Nie.

Jakbym rozmawiał z Lamią, pomyślał Leochares.

Nie zadawał już więcej pytań.

ψ

Leochares lubił wino. Prawdę mówiąc, nawet trochę za bardzo. Ale nie lubił patrzeć, jak się je robi. Kiedyś przepracował kilka miesięcy w winnicy – i przez resztę roku pił już tylko wodę. Sam zapach albo nawet dźwięk wyciąganego korka przywoływał obrazy, o których starał się zapomnieć. Jak przelewali młode wino do amfor i dopiero pod koniec dnia znaleźli na dnie kadzi martwego szczura, a nadzorca tylko wzruszył ramionami. Jak Chilon, dobroduszny matolek z Sunionu, smarkał w palce, po czym wracał do przebierania winogron. Jak ktoś przewrócił beczkę z zepsutym moszczem i to jemu przypadło zadanie umycia lepkiej jak miód, cuchnącej podłogi. Nawet teraz, po wielu latach, kiedy słyszał zachwyty nad „lekkim owocowym aromatem” czy „bogatym bukietem”, kiwał z politowaniem głową.

Ale najgorzej wspominał rozgniatanie winogron. Na tyłach winnicy, na podwyższeniu, stała wielka drewniana balia. Wchodzili do niej w pięciu, dla równowagi chwyтали się rozpiętych nad głowami sznurów. Reszta wrzucała do środka owoce, jeden kosz za drugim, a oni deptali, deptali, deptali, dopóki nogi nie drżały im z wyczerpania, nie zaczynały krwawić pocięte pestkami stopy, a słońce nie zaszło. Sok wyciekał dołem, przez rurkę, do wiader, ale mnóstwo rozlewało się go wokół – aż ziemia zmieniała się w czerwone słodko pachnące błoto.

Towarzyszyła temu atmosfera święta. Grały flety, cymbały i kitary, wszyscy nosili maski menad bądź satyrów[30], śmiali się, śpiewali do zdarcia gardeł – wpierw podniosłe hymny ku czci Dionizosa, potem pijackie piosenki i rymowane sprośności. Leocharesowi nie udzielała się ta wesołość. Miał wrażenie, że w deptaniu winogron jest coś obrzydliwego, wręcz obscenicznego. I nie chodziło nawet o to, że część ludzi włąziła do balii prosto z obory, czy o świadomość, że każda kropla wina przecisnęła się kiedyś między ich brudnymi, spoconymi, włochatymi palcami, chociaż to też wywoływało u niego mdłości. Nie, chodziło raczej o całokształt. Mięsisty dźwięk miażdżonych owoców. Zapach tak mocny, że bolała od niego głowa. Oszalałe z podniecenia gryzące owady, wlatujące do oczu, do nosa. Hipnotyzująca powtarzalność ruchów i dźwięków. Klejące się ubrania, włosy, palce, myśli. Krew z pękających odcisków mieszająca się z gęstym

sokiem.

Wszystkie te wspomnienia wróciły do niego w winnicy Thresu. Kończył się sezon zbiorów, wyciskano sok z winogron. Tyle że tu nie było jednej balii, a kilkanaście. Też grała muzyka, ale nie radosna, lecz jednostajna i miarowa. Dziesiątki milczących niewolników unosiło nogi w jej rytm, jak maszerujące w miejscu wychudłe wojsko.

Tuż obok, w cieniu rozłożystego dębu, siedziała grupka młodych służących – wiły wianki z liści winorośli i polnych kwiatów. Idylliczną scenę psuło to, że żadna się nie uśmiechała. Nie słychać też było wymienianych szeptem plotek czy nuconych pod nosem melodii. Leochares nie miał wątpliwości, że nie robią tych wianków dla siebie, ani tym bardziej dla niewolników pracujących w kadziach. Thresu pewnie wydawał tego wieczoru ucztę z okazji zakończenia zbiorów, a kwiaty miały ozdobić skronie dostojnych gości. Wojna wojną, ale zabawa rzecz święta.

Po chwili dojrzeli gospodarza. Thresu był szczupłym mężczyzną o długich, ufryzowanych z pietyzmem włosach i ze starannie przystrzyżoną brodą. Jak wszyscy bogaci Etruskowie był ubrany pstrokato – w niebieski himation o pomarańczowej lamówce i barwione na czerwono buty z cielecej skóry o wywiniętych noskach. Doglądał pracy. Z batem w rękę.

Powitał Arantha, unosząc dłoń. Na Leocharesa nie zwracał uwagi.

– Ja będę mówił – wyszeptał ksiązę, kiedy zbliżali się do Thresu.

O, patrzcie państwo, teraz to już mu się chce gadać, pomyślał Leochares, stając trochę z boku.

Aranth i Thresu rozmawiali przez chwilę po etrusku. Nie trzeba było znać języka, żeby poczuć, że powiało chłodem. Aranth stał wyprostowany jak tyczka. Thresu skrzyżował ramiona na piersi. Żaden nie patrzył drugiemu w oczy. Za to Leochares dobrze im się przyjrzał. Byli równego wzrostu. Taki sam krój ust. Kształt nosa.

– ...dobrze, skoro nalegasz, możemy przejść na grecki. – Thresu rzucił niechętnie spojrzenie Leocharesowi. Mówił pięknym językiem, starannie deklinując, koniugując i akcentując.

– Caile był u ciebie. W dniu śmierci.

– Rzeczywiście, był.

– W jakiej sprawie? – spytał Aranth.

– Już nieaktualnej.

– To znaczy?

Bez odpowiedzi. Ciszę wypełniał śliski pogłos tysięcy miażdżonych owoców. W końcu Thresu wycedził kilka słów. Cicho, prawie szeptem, ale stanowczo. Leochares nic z tego nie rozumiał.

– Mieliśmy mówić po grecku. – Aranth próbował zachować spokój, ale drżał mu głos.

– Jak wolisz... Nie zajmuj się tą sprawą.

– Dlaczego?

– Bo nic dobrego z tego nie będzie.

– Niczego dobrego nie oczekuję. – Policzki Arantha znów poczerwieniały.

– Chcę znaleźć zabójcę mojego ojca. To wszystko.

Thresu prychnął kpiąco, pokręcił głową. Odwrócił się od nich, zaczął zwijać bat wyćwiczonym ruchem. Widać było, że miał w tym wprawę.

– Ja ci w tym nie pomogę.

– Dlaczego?

Thresu odłożył bat na bok. Był skrecony w idealny okrąg. Pedant, pomyślał Leochares. Wszystko musi być na swoim miejscu. Ubrania złożone w kostkę. Obrazek powieszony prosto. Niewolnik unosi nogi w rytm muzyki. Inaczej bat znów idzie w ruch. Pewnie też do taktu.

– Dlaczego? – powtórzył Aranth. Ciut głośniejsze i oktawę wyżej.

– Bo się boję. – Thresu uniósł usta w lekkim uśmiechu; zmarszczki rozeszły się po ogorzalej skórze jak kręgi na wodzie.

– Ty? Kłasniesz i będziesz miał u boku trzystu wojowników.

– A mimo to się boję, Aranth. Niech to ci da do myślenia.

– Wiesz, co mi daje do myślenia? Że coś ukrywasz. Może imię zabójcy?

Dobrze, młody, pomyślał Leochares. Dociśnij go, zdenerwuj. Niech się odsłoni.

– Powiedziałem, co miałem do powiedzenia, mój książę – odparł Thresu z ostentacyjnym wręcz spokojem. I lekką drwiną. – Czy jest coś jeszcze?

Aranth milczał, wyraźnie urażony. A powinien był pytać dalej. Cóż, pomyślał Leochares, pora go wyręczyć.

– Tak, jest coś jeszcze. Chcielibyśmy obejrzeć ten pokój, w którym zamknąłeś się z Caile na pół dnia.

Thresu odwrócił się w jego stronę, zmrużył gniewnie oczy. Widać nie był przyzwyczajony, żeby ktoś odzywał się do niego bez prośzenia. Irytowało go to. A Leochares lubił irytować, zwłaszcza ludzi ważniejszych od siebie.

– Nie będę z tobą rozmawiać – powiedział Thresu, marszcząc nos.

– Szkoda. Widzisz, zastanawiam się, co takiego ciekawego może tam być? Kolekcja muszelek?

– Nie życzę sobie, żeby...

– Wazy z pieprznymi rysunkami?

– Zabierz go stąd, Aranth.

– Ach, czyli wazy. Tylko czemu Caile miał na rękach ślady krwi, kiedy stamtąd wyszedł? Hm?

– Elals, eter calu! – warknął Thresu. Stojący kilka kroków dalej strażnik ruszył szybko w ich stronę.

– Co on powiedział?

– Lepiej... Lepiej już stąd chodźmy.

– Wczoraj mówiłam, że *Uomo Misterioso* nie imają się infekcje – kontynuowała Ava. – Ale okazuje się, że cudów jednak nie ma. Te zmiany na ramieniu to ślady po zapaleniu okostnej. Biorąc pod uwagę to, co już o nim wiemy... – Profesor Bellmont odłożyła kość do pudełka, zapięła plastikowe klamry na wieku. Trzasnęły głośno, definitywnie. Jak młotek sędziowski. – ...Zgaduję, że znów został pokiereszowany, a potem nie oczyścił należycie rany. Wdało się zakażenie bakteryjne... I zegar zaczął tykać. Tydzień, dwa i umarłby w gorączce.

– Ha. Jakby śmierć była mu pisana – powiedziała Inga, przewracając stronę w notatniku. Powoli kończyło jej się miejsce.

Palce miała czarne od atramentu.

– Mhm. Jeśli się wierzy w takie rzeczy.

Profesor Bellmont zdjęła okulary, zamrugła. Miała czerwone oczy. Chyba z niewyspania.

– Masz ochotę na kawę? – spytała, wstając od stołu. Inga miała wrażenie, że Avie rzeczywiście dobrze zrobi odrobina kofeiny. Najlepiej w formie *espresso doppio* z trzema łyżeczkami cukru.

– Zawsze. Widziałam fajną kawiarenkę po drugiej stronie ulicy.

– Cokolwiek. – Ava machnęła niedbale ręką.

Wyszły z muzeum, stanęły na przejściu dla pieszych. Akurat paliło się zielone, ale Inga doskonale wiedziała, że na południu Włoch światła na przejściu to jedynie dekoracje, coś na kształt świątecznych gwiazdek i bombek, tyle że całorocznych. W końcu przebiegły na drugą stronę jezdni między autobusem a zdezelowanym fiatem Uno w kolorze wściekłej czerwieni. Kierowca fiata zatrąbił przeciągle, a mijając je puknął się jeszcze w czoło. Zgodnie z obowiązującym rytuałem, Inga wykrzyczała kilka wysoce nieprzychylnych słów o jego matce, pokazując przy tym gdzie, jeśli raczyłby się zatrzymać, powinien ją pocałować. Chwilę potem zapomniała już o całym zajściu – dwa miesiące wykopalisk w Neapolu uodporniły ją na tego rodzaju atrakcje – za to profesor Bellmont wyglądała na lekko zszokowaną.

Usiadły przy oknie. Inga zamówiła *americano*, profesor Bellmont *latté* z syropem waniliowym i cynamonem. Barista skinął głową, po czym uruchomił mamucich rozmiarów ekspres do kawy, którego chromowane blachy, bakelitowe pokrętła i sterczące na wszystkie strony drążki przywodziły na myśl jakąś piekielną maszynę z powieści Juliusza Verne'a. Ekspres zaczął świstać, sapać i buchać parą, jakby miał zamiar gdzieś odjechać. Cały lokal wypełnił się dymno-karmelowym zapachem; chwilę później kawy były gotowe. Inga wzięła swoją filiżankę w dłoń, nachyliła się nad nią, wciągnęła aromat. Potem upiła malutki łyżek, rozsiadła się w skrzypiącym fotelu i oparła nogi o parapet. Profesor Bellmont wyciągnęła iPada, położyła go sobie na kolanach, ale nie włączyła. Chwilę wpatrywała się w ciemny ekran, jakby spodziewała się tam coś zobaczyć. W końcu schowała

iPada z powrotem do plecaka.

– Czemu archeologia? – spytała nagle.

Inga prawie zakrztusiła się kawą. Pierwsze pytanie, które nie dotyczyło kości.

– Hm... Zawsze ciekawiła mnie przeszłość. – Desperacko próbowała powiedzieć coś oryginalnego, ale przychodziły jej do głowy tylko banały. – Wiesz, jak kiedyś żyli ludzie, czym się od nas różnili, takie tam.

– To czemu nie historia?

Inga chwilę milczała. Przejechała opuszką palca po krawędzi filiżanki. Była lekko wyszczerbiona.

– Bo lubię... Lubię rzeczy – odpowiedziała po chwili. – Wiem, że to głupio brzmi, ale... Lubię ich dotykać. Przyglądać się im. Szukać w nich echa tego, co było. A potem składać je razem, jak puzzle, żeby zobaczyć cały obraz.

– Znam to uczucie. Jak byłam w twoim...

Ktoś zapukał w okno. Doktor De Luca. Pomachał im, wszedł do środka. Brzęknął mosiężny dzwoneczek nad drzwiami.

– No, drogie panie, koniec fajrantu! – zawołał De Luca wesóło, ewidentnie bardzo z siebie zadowolony. – Dowieźli brakujące kości.

– Wiadomo, czy konserwator robił coś z tym przedmiotem między żebrami?

– W dokumentach nic nie ma. A pudła nie otwierałem, bo pomyślałem, że lepiej będzie na panie poczekać.

– Skończymy tylko i idziemy – powiedziała profesor Bellmont, mieszając kawę. Niemiłosiernie stuknęła łyżeczką o filiżankę.

– W takim razie może pozwolę sobie podsunąć do kawy lekturę... – Doktor De Luca położył na blacie plik papierów.

– Co to jest? – Inga pochyliła się nad stołem, omal nie wywracając filiżanki.

– Okazało się, że przed rozpoczęciem konserwacji zrobiono podstawowe badania chemiczne kości. Tu są wyniki.

– O...? – mruknęła pod nosem profesor Belmont, przerzucając kartki z onieśmiałającymi umysł humanisty wykresami i tabelami.

– Coś ciekawego? – spytała Inga.

– Mhm. – Ava upiła łyk kawy; zostały jej białe wąsy z piany. – Jak to zwykle w wypadku *Uomo Misterioso*.

Leochares jechał z wysoko zadartą głową. Oglądał przepływające leniwie chmury. Próbował dojrzeć w nich jakieś znajome kształty. Na przykład barana, statek albo głowę widzianą z profilu. Nic z tego – wszystkie były porwane na strzępki, rozmyte. Westchnął, przeniósł wzrok na Arantha. Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby stwierdzić, że Etrusk wciąż jest na niego zły. Westchnął raz jeszcze. Żeby mnie chociaż skłął, pomyślał. Opluł. Dał po pysku. Ale nie, zamiast tego kolejny foch. Bogowie, za jakie grzechy.

– Słuchaj... – zaczął niechętnie Leochares. Ktoś musiał się odezwać pierwszy. – I tak niczego byśmy się od niego nie dowiedzieli.

– Więc postanowiłeś go obrazić?

– Żebyś wiedział.

Aranth zatrzymał osła. Zwykle spokojny, teraz powstrzymywał się, żeby nie wybuchnąć.

– Po co? Co nam to dało?

– Tym razem nic – przyznał Leochares. – Ale czasem to działa. Jak kogoś dobrze wkurzysz, może się odsłonić, powiedzieć coś, czego inaczej by nie powiedział.

– Mhm, wiem po sobie... – powiedział Aranth, odgarniając z czoła zlepione potem włosy. Leochares po raz pierwszy chyba usłyszał w jego głosie kpinę. – Prosiłem, żebyś się nie odzywał. Bo wiedziałem, jak to się skończy.

– No i co się wielkiego stało?

Aranth długo mełł w ustach słowa. Kiedy wreszcie się odezwał, mówił już spokojniej.

– Dla ciebie Thresu to tylko kolejny świadek. Dla mnie ktoś więcej.

Ten sam krój ust, pomyślał ze smutkiem Leochares. Kształt nosa.

– Szkoda, że nie powiedziałeś mi wcześniej.

– To nie ma związku ze sprawą – powtórzył Aranth z naciskiem, wymawiając każde słowo z osobna. Dolną wargę miał pogryzioną do krwi.

– I tak, i nie... Pomyśl. Jeśli Caile był gotów zapomnieć coś takiego i przyjechał potajemnie do Thresu... Musiał mieć ważną sprawę. Naprawdę ważną. Bał się... Szukał pomocy tam, gdzie nikt się tego nie spodziewał.

Leochares obrócił osła, spojrzał w stronę winnicy. Wiatr niósł słodki zapach soku.

– Tamten pokój w winnicy... Trzeba do niego zajrzeć.

– Naprawdę myślisz, że coś tam znajdziemy?

– Musimy. Bo tu trop się urywa. A ostatni świadek jest niezbyt rozmowny.

– Thresu nie wpuści nas do domu po dobroci.

– Dlatego nie będziemy prosić o zgodę.

– Chcesz się włamać? – spytał wyraźnie zaniepokojony Aranth. Leochares był gotów się założyć, że w życiu niczego nie ukradł, choćby jabłka ze straganu. Po pierwsze, bo nie musiał. Po drugie, bo umarłby ze strachu.

– Nie – uspokoił go Leochares. – Nie ma takiej potrzeby. Z tego, co widziałem, Thresu szykuje jakąś imprezę na zakończenie zbiorów. Jeśli będzie przypominać w czymkolwiek te, które robi się u nas w Grecji, to najpóźniej o północy całe towarzystwo będzie zalane w trupa, łącznie ze strażą. Wtedy pojawimy się my, wmieszamy się w tłum i...

Aranth zachichotał. Wpierw cicho, widać jeszcze próbował się powstrzymać. Chwilę potem parsknął, opluwając wszystko dookoła, i wybuchnął śmiechem. W tym samym momencie zarżał jego osioł – zwierzę pewnie przestraszyło się nagłego hałasu, ale Leochares miał wrażenie, że też się z niego nabija. Jeden wart drugiego, pomyślał.

– No co? – spytał Leochares. – O co do cholery chodzi?

– Ty? – krztusił się Aranth. – Chcesz się wmieszać?

– Tak, chcę. Co w tym śmiesznego?

– A widziałeś się dzisiaj w lustrze?

Leochares przejechał ręką po twarzy. Sztywne, pozlepiane włosy sterczały na wszystkie strony. Oko podbite, łuk brwiowy spuchnięty. Siniak na policzku, strupy na nosie. I liść w brodzie.

– No... – powiedział Leochares, przyklepując grzywkę poślinionymi palcami, które, jak właśnie odkrył, śmierdziały szlamem. – Może to rzeczywiście nie jest dobry pomysł.

– Nie, nie. Da się zrobić. Tylko wpierw... Hm... – Aranth przyglądał mu się krytycznie. – Trzeba cię trochę wyrzutować.

– Wyrzutować? – zaniepokoił się Leochares. – No... No dobrze. To od czego zaczniemy?

– Od golenia.

– Lubię moją brodę.

– Ale ja nie mówię o brodzie.

Leochares patrzył na Arantha nic nierozumiejącym wzrokiem. Z rozdziawionymi ustami.

– No, dalej – powiedział książę, starając się ukryć uśmiech. – Czas leci, a przed nami dużo pracy.

Osiół znów zarżał. Leochares pstryknął go w ucho.

– Już ty się lepiej nie wtrącaj – warknął pod nosem, po czym ruszył za Aranthem.

Leochares nigdy, nawet za młodu, nie był przesadnie urodziwy. Usta trochę za duże, nos jak bulwa, zęby krzywe. Upływający czas niektórych uszlachetnia, ale jemu zdecydowanie zaszkodził – przerzedził włosy, poprzecinał skórę bruzdami. Do tego Leochares trochę się ostatnio zaniedbał. Nie przytył, rzecz jasna, bo żeby przytyć, potrzebne są wolny czas i pieniądze. Ale zamiast chodzić do fryzjera, podcinał włosy sam, bo tak szybciej i taniej. Do gimnazjonu[31] przestał zaglądać po tym, jak jakiś dobrze wychowany chłopiec chciał mu ustąpić miejsca na ławie. Z kąpielami bywało różnie, zależnie od pory roku i nastroju, czasem co dzień, a kiedy indziej znowu co drugi tydzień.

Efekt tego wszystkiego był taki, że spełniło się wreszcie jego młodzieńcze marzenie – kobiety oglądały się za nim na ulicy. Tylko z innego powodu. Dlatego Leochares był sceptyczny wobec planu Arantha, żeby dać się „wyrzutować.” Teraz, kiedy poznał szczegóły, sceptycyzm przeszedł w zdecydowany opór.

– Nie ma mowy! – powtórzył Leochares, kręcąc głową. – Po moim trupie.

– Daj spokój. To nie boli.

– Nie dam sobie ogolić nóg. Nigdy w życiu. Rozumiesz?

Aranth uśmiechnął się przepraszająco do balwierza, po czym wziął Leocharesa na stronę.

– Powiedziałaś, że chcesz się wmieszać w tłum.

– Tak, ale nie przebrany za kobietę, tylko za twojego niewolnika!

– Leocharesie... – Aranth mówił powoli i spokojnie, jak do upartego dziecka. – Musiałaś zauważyć, że u nas także mężczyźni pozbywają się zbędnego owłosienia. Prawda?

– Ale niewolnicy też?

– Osobiści? Jak najbardziej. Nigdy nie pokazałbym się na uczcie w asyście jakiegoś włochacza.

Leochares wziął głęboki oddech, po czym wypuścił powoli powietrze. W trakcie krótkiego pobytu w Veii spotkało go już sporo nieprzyjemności. Dwa razy próbowano go udusić, dwa razy rzucono na niego klątwę. Stanął na drodze szarżującemu wojownikowi. Obudził się z kacem stulecia w ramionach jakiegoś grubasa. Teraz, stojąc przed ustawionym na podwyższeniu krzesłem i spoglądającym na niego wyczekująco balwierzem, marzył o tym, żeby przeżyć to wszystko raz jeszcze, zamiast poddawać się etruskim zabiegom upiększającym.

– Ech... – mruknął wreszcie. – Jak mus, to mus.

Usiadł, podciągnął himation do połowy uda. Balwierz zamoczył pędzel w jakiejś gęstej czarnej mazi, po czym przejechał nim Leocharesowi po nodze. Załaskotało.

– No dobrze... – powiedział, powstrzymując uśmiech. – To co potem? Ufarbujemy mi włosy?

– Nie – Aranth pokręcił przecząco głową. – Wstawimy ci zęby.

– Słucham?

– Jeden na górze, tu z przodu, i jeden na dole, z prawej.

– Ale jak to, wstawimy zęby? Czyje?

Aranth spojrział na niego z politowaniem.

– Niczyje. Z kości słoniowej. W oprawce ze złota.

Na początku Leochares był przekonany, że Etrusk się z niego nabija. Ale Aranth rzadko kiedy żartował. Otworzył usta, żeby zadać kolejne pytanie, kiedy poczuł brzytwę na skórze. Metal przejechał gładko po namydlonej łydce, zostawiając goły błyszczący pasek. Nie wiedzieć czemu, zarumienił się.

– I to będzie już wszystko? – spytał po chwili z nadzieją w głosie.

– Oj... – westchnął Aranth, lustrując go wzrokiem. – To dopiero początek.

Kiedy skończyli, robiło się już ciemno. Leochares rzeczywiście miał nowe zęby – i rzeczywiście były z kości słoniowej i złota. Dotykał ich co chwila językiem, badał ich kształt i krawędzie. Był tym tak zafascynowany, że nie zwracał uwagi na smak krwi w ustach i opuchnięte dziąsła. Ciekawe, pomyślał Leochares, czy Charon[32] przyjąłby taki ząb zamiast zwyczajowej drachmy. Chociaż może jednak lepiej, żebym za szybko się o tym nie przekonał.

Podniósł rękę w bezwiednym geście, żeby odgarnąć włosy z czoła; zdał sobie z tego sprawę dopiero, kiedy nie poczuł niczego pod palcami. No tak, skrzywił się, zapomniałem. Po nowych zębach przyszedł czas na nową fryzurę. Włosy miał teraz przystrzyżone krótko, przy samej skórze, brodę tak samo. Do tego jeszcze gruba warstwa pudru, grubsza chyba niż maska pośmiertna Caile, która miała przykryć wszystkie sińce i stropy, tanie perfumy, od których chciało mu się kichać, nowa jasnobłękitna tunika z długimi rękawami, skrywającymi bandaże, i odświętny wianek z kwiatów i liści winorośli, taki sam jak te, które wiły służki Thresu. Musiał przyznać, że wyglądał dziesięć lat młodziej. Ale czuł się okropnie.

Zerwał się jesienny wiatr, niosący zapowiedź nadchodzących chłódów. Leochares obciągnął tunikę, żeby zasłoniła ogolone nogi, owinął się płaszczem. Kusilo go, żeby dorzucić do ognia, ale wiedział, że nie powinien tego robić – byli tylko kilka stadionów od winnicy Thresu, a światło mogłoby zwrócić uwagę strażników. Nadstawił ucha. Słyszał muzykę, śpiew. Ale nie pijacki śmiech. Znaczy to, że muszą jeszcze poczekać.

– Nie podziękowałem ci – powiedział ni z tego, ni z owego Aranth.

– Hm?

– Nie podziękowałem ci za tamto. Przy bramie. Uratowałeś mi wtedy życie.

– Ano, nie podziękowałeś.

– Wybacz. Naprawdę jestem ci wdzięczny.

– Nie ma o czym mówić. Za to mi płacisz.

– Nie do końca za to. – Aranth przyłożył dłonie do ust, chuchnął kilka razy, żeby rozgrzać zgrabiące palce. – Ale... Byłeś kiedyś najemnikiem, tak?

– Byłem.

– I czemu to rzuciłeś?

Mokra gałąź trzasnęła w ognisku. Kilka iskier wystrzeliło w powietrze, zawirowały na wietrze, zgasły.

– To nie ma związku ze sprawą – odrzekł Leochares. Aranth uśmiechnął się lekko, na krótką chwilę. No proszę, czyli chłopak jednak czasem łapie żarty. – Poza tym nie czas na ploteczki. Towarzystwo zaraz się upije, więc pogadajmy, co dalej.

Aranth kiwnął głową na zgodę, choć Leochares wciąż widział w jego oczach ciekawość.

– Wchodzimy razem. Ty, jaśnie wielmożny pan, który poszedł w krzaki się wysikać i wraca chwiejnym krokiem na imprezę, i ja, stary wierny niewolnik, który dbał o to, żebyś nie oblał sobie płaszcz.

– Pamiętaj – wtrącił Aranth – głowa nisko, oczy ku ziemi.

– Mhm. Będzie trudno, ale się postaram. Uczta ma miejsce na zewnątrz. Musimy minąć gości... Ale powoli, bez pośpiechu, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Podchodzimy pod dom... Ty stajesz na czatach... Ja wchodzę

do środka.

– Gdyby ktoś cię zaczepił, masz powiedzieć „Sacni themias thafna tevri”.

– Hm? Co to znaczy?

– „Pan kazał przynieść kielich”.

– O, dobre. Jak to szło? Eee... Ssaki tefafna trawi?

– Sacni themias thafna tevri – powoli powtórzył Aranth.

– Mhm. No, chyba zapamiętam. W każdym razie wchodzę do środka, szukam tego pokoju, o którym mówił Lethne. Rozglądam się, jak znajdę coś ciekawego, to zabieram. I znikamy.

– A jeśli coś pójdzie nie tak?

– Wtedy bierzesz nogi za pas i spotykamy się tu.

– A ty?

– A ja sobie jakoś poradzę.

Od strony winnicy dobiegł ich głośny, pijacki rechot. Obrócili obaj głowy jak na komendę.

– Oho, pora na nas – stwierdził Leochares, otrzepując tunikę.

Leochares się uśmiechnął. Tak jak zakładał, drogę zastąpiło im dwóch strażników. Tak jak zakładał, mieli czerwone nosy. Jeden z trudem utrzymywał pion, opierając się na włóczni – czy raczej owijając się wokół niej jak wąż Asklepiosa[33]. Nie odzywał się; z półotwartych ust ciekła mu ślina. Drugi – barczysty, włochaty, z zadartym nosem o tak wielkich dziurkach, że Leochares mógłby przez nie zajrzeć do wnętrza jego czaszki, był w nieco lepszym stanie. Zadawał pytanie za pytaniem, starannie artykułując każde słowo w sposób właściwy dla ludzi bardzo pijanych, bardzo głupich oraz bardzo pijanych i bardzo głupich zarazem.

Aranth udawał nietrzeźwego. Robił to źle. Nienaturalny śmiech, wymuszona czkawka, przesadnie przeciągane samogłoski. Leochares się nie wtrącał – nie mógł. Stał dwa kroki z tyłu, z wzrokiem wbitym w ziemię. Powinniśmy byli to przećwiczyć, pomyślał, przygryzając usta. A potem zmienić plan.

Aranth coś powiedział. Słysząc było po jego głosie, że się denerwuje, traci pewność siebie. Strażnik uniósł brew, łypnął podejrzliwie przekrwionym okiem. Niedobrze. Leochares zastanawiał się, jakie mają możliwości. Wycofać się – niedobrze, wzbudzą podejrzenia. Zaatakować – jeszcze gorzej, narobią hałasu. Chyba żeby podejść ich podstępem. Krzyknąć, pokazać im coś za plecami. Nie wyglądali na szczególnie bystrych, może się nabiorą. Tego, co wisi na włóczni, wystarczy dobrze pchnąć, rąbnie głową o ziemię i będzie spokój. Wielkie Nozdrza to już trudniejsze wyzwanie. Trzyma się prosto, jest cięższy, silniejszy. A, no i nie wiadomo, jak zachowa się Aranth. Może zacznie pisać.

Jednak stało się niemożliwe – strażnik machnął ręką, ziewnął, po czym zszedł im z drogi. Tak po prostu. Leochares odetchnął z ulgą, rozprostował ściśnięte w pięści spocone dłonie. Aranth przywołał go oszczędnym, wyćwiczonym gestem, nie odwracając się nawet w jego stronę. Jak psa. No tak, pomyślał Leochares, opuszczając pokornie głowę, pan i jego niewolnik.

– Aranth... – wyszeptał Leochares, kiedy już oddalili się od strażników.

– Tak?

– Beznadziejny z ciebie aktor.

Aranth zmarszczył brwi, trochę zaskoczony, trochę urażony.

– Przecież nas puścili...

– No, widać tak było zapisane w gwiazdach. Bo nie widzę innego wytłumaczenia, jak tylko boska interwencja. Mojego syna byś nie nabrał.

– Masz rację – odparł Aranth całkiem poważnie. – Widać było zapisane.

Leochares nie ciągnął rozmowy. Po pierwsze, bo nie miało to sensu; Aranth może i mówił świetnie po grecku, ale czasem po prostu nie potrafili się dogadać i tyle. Po drugie, zbliżali się już do rozciągającej się przed domem Thresu polany, na której trwała uczta. Leochares zmrużył oczy, żeby lepiej się przyjrzeć. Policzyć, ilu jest ludzi, pomyśleć, jak ich ominąć, nie przyciągając niczyjej uwagi, ocenić, kto może sprawiać kłopoty, na kogo szczególnie uważać.

Na szczęście wszystko było widać jak na dłoni; odległa łuna rozświetlała nocne niebo na czerwono. Pożar, który jeszcze za dnia dostrzegli na horyzoncie, musiał się rozprzestrzenić i przybrać na sile. Gdzieś w oddali

płonął już cały las, ogień obracał w popiół kolejne gospodarstwa, dym dusił zwierzęta i ludzi. Ale żaden z gości zdawał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi. Może byli zbyt pijani. Może wierzyli, że nic im nie grozi.

Kilkanaście łóż ustawiono w okrąg, a na każdym leżało dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna w ciasnym uścisku. Każde z nich nieładnie piękne. O gładkiej, lśniącej w świetle pochodni skórze, grubych czarnych lokach splecionych w piętrzące się fryzury, wielkich oczach podkreślonych tuszem, brwiach, którym niewolnicy godzinami musieli nadawać idealny kształt, wyrывая pęsetą włos po włosku. Całowali się. Pieścili. Powoli, leniwie, delikatnie, upijając raz po raz młodego wina ze srebrnych kielichów. Nie było słycać rozmów, głośne, piskliwe flety zagłuszały słowa.

Coś się działo na środku polany, we wnętrzu okręgu utworzonego z łóż... Leochares wyteżył wzrok. Widział kobiety w wiankach i długich, sięgających ziemi tunikach, każda w innym, ale równie jaskrawym kolorze – niebieskim, żółtym, zielonym, różowym. Tańczyły wokół wielkiego ogniska w rytm szybkiej, nerwowej muzyki, trzymając się kurczowo za ręce. Były mokre od potu, nogi drżały im z wyczerpania, ale ruszały się coraz szybciej i szybciej, aż ich falujące szaty zlały się ze sobą, a jedna barwa przechodziła płynnie w drugą.

Leochares dostrzegał coś jeszcze – przy samym ognisku, w głębi polany, za łóżami, za tańczącymi kobietami, między ich rozmazanymi sylwetkami. Krótkie przebliski, niewyraźne obrazy, każdy trwający nie dłużej niż mgnienie oka. Klatka piersiowa mężczyzny, umięśniona, pozbawiona włosów. Jego twarz, czerwona z wysiłku, oczy wywrócone ku górze, rozchylone usta. Kobięce ręce oparte o ziemię, palce rozdrapujące piach. Piersi, kropla potu wisząca na sterczącym sutku. Usta wykrzywione w grymasie, obnażone zęby. Wtedy ich usłyszał, wyłowił dźwięki ze świdrującej w uszach melodii, tupotu bosych stóp, trzepotu ubrań. Jęki. Westchnienia. Krzyki. W jeszcze szybszym rytmie niż flety. Leochares odwrócił się w stronę Arantha, zadał nieme pytanie. Na twarzy księcia nie rysowała się żadna emocja – ani zdziwienie, ani zakłopotanie, ani podniecenie, nic. Powiedział coś, ale za cicho. Zresztą, żadne słowa nie byłyby wystarczającym wyjaśnieniem.

Leochares się otrząsnął. Wytoczył w myślach najbezpieczniejszą drogę do domu Thresu. Z dala od pochodni i od strażników. Najpierw prosto za

łożami, potem za muzykantami w lewo, między rozstawione w równe rzędy balie do deptania winogron, i potem prosto do drzwi. Pokazał Aranthowi, żeby szedł za nim. Powoli. Chociaż sam chciał biec.

Mijali kolejne pary etruskich arystokratów. Ich powolne ruchy dziwacznie kontrastowały z pulsującą muzyką, szaleńczym tańcem, zwierzęcą namiętnością zamkniętych w podwójnym kręgu kochanków. Półprzymknięte oczy, półotwarte usta, nieobecne uśmiechy. Jakby byli gdzie indziej, nie widzieli tego, co się wokół dzieje, jakby zapomnieli o wojnie, najeździe na Veii, morderstwie Caile. Jakby czas rzeczywiście płynął dla nich inaczej, tak jak mówiła Seianti. Przywodzili na myśl jaszczurki, które dopiero co wyszły na słońce, dopiero zaczynają się wygrzewać.

Leochares dostrzegł Pesnę – ciężko go było poznać bez stożkowej czapki i wrzynającego się w szyję rzemienia. Obejmował piegowatą dziewczynę w kremowej tunice. Przesuwał powoli blade palce po wewnętrznej stronie jej ramienia; wyprężyła się, upiła wina, pocałowała go w ucho mokrymi ustami. Leochares się odwrócił. Bał się, że Pesna go rozpozna. Poza tym kręciło mu się już od tego wszystkiego w głowie.

Przeszli koło suto zastawionych stołów. Niewolnicy – milczący, trzymający się cienia, prawie niewidzialni, prawie niesłyszalni – nabierali jedzenie na tace i roznosili do łóż. Figi, winogrona, ociekające sokiem gruszki. Pokrojone w cienkie, prawie przejrzyste plastry sery. Dopiero co wyjęte z pieca pieczywo. Mięso zawinięte w liście winogron. Ślimaki, o których wspominał Aranth. No i oczywiście wino. W dużych ilościach. Puste amfory i bukłaki leżały w krzakach.

Wreszcie podeszli pod dom Thresu. Zrobiło się ciszej, spokojniej, nawet powietrze wydawało się jakby mniej lepkie. Leochares słyszał wreszcie własne myśli, oddech, krew pulsującą w skroniach. Nikt ich nie zaczepił, nawet podejrzliwie nie spojrzął. Mieli szczęście.

Leochares przywarł do ściany w miejscu zacienionym przez rosnące obok drzewo. Nasłuchiwał jakiegoś ruchu w środku, stłumionych głosów, skrzypienia podłogi. Policzył w myślach do dwudziestu – nic. Przyłożył oko do szpary w okiennicy. Żadnego światła. Wyglądało na to, że wszyscy domownicy bawili się na polanie. I wszyscy niewolnicy im usługiwali.

– Dobra... – wychrypiał. – Wchodzę. Gdyby ktoś się zbliżał, dawaj znać.

– Jak?

– Nie wiem. Zaczynaj śpiewać.

– Śpiewać?

– No, tak robią pijani ludzie. Przynajmniej w Grecji. Tu raczej pieprzą się na czworakach na oczach wszystkich, ale do tego, niestety, trzeba jeszcze drugiej osoby, a ty będziesz na czatach stał sam.

– Więc zaśpiewam. – Aranthowi nawet nie drgnęła powieka. – Jakby co.

– Mhm. A potem zwiewaj. Rozumiesz?

– Rozumiem. I spotkamy się w obozie.

– Dokładnie. – Leochares poklepał go po ramieniu, po czym lekko pchnął drzwi wejściowe i wszedł do środka. Długi, wąski korytarz bez okien. Zrobił krok do przodu – i natychmiast się skrzywił, słysząc, jak jego podeszwy skrzypią na posadzce; przy absolutnej ciszy panującej w domu ten dźwięk aż świdrował w uszach. Zdjął sandały i poszedł dalej na bosaka, prosto na wewnętrzny dziedziniec. Podobnie jak w domu Rasce na środku znajdowało się niewielkie oczko wodne – tyle że lepiej utrzymane. W idealnie gładkiej powierzchni odbijały się gwiazdy. Kasjopeja, pomyślał, patrząc na ułożone w zygzak punkciki. Piękna królowa Etiopii, którą arogancja i duma doprowadziły do zguby.

Dobra, powiedział do siebie w myślach, skup się. Lethne mówił, że kiedy tu weszli, Thresu kazał jemu i Rasce poczekać w jadalni, a sam zamknął się w pokoju obok... Jadalnię już widział, była na wprost, dokładnie po drugiej stronie dziedzińca, z przejściem do ogrodu. Przylegały do niej dwa pomieszczenia, z lewej i z prawej. Pytanie, o które chodziło... Pytanie, którego nie zadał. Szlag, pomyślał ze złością, naprawdę się starzeję.

Najpierw podszedł do pokoju z lewej. Pchnął drzwi – ustąpiły. Przejechał dłonią w pierw pod klamką, potem po wewnętrznej stronie skrzydeł, szukając jakiejś zasuwy, skobla, żelaznego oczka, żeby zawiesić kłódkę – z tego co pamiętał, Lethne mówił, że drzwi były zamknięte od środka. Nic nie znalazł. Więc to nie tu.

– Ai! – usłyszał za sobą tubalny głos. Podskoczył, jakby go ktoś dźgnął między żebra. – Cai ta?!

Leochares przełknął ślinę, po czym powoli, powolutku się obrócił. Stał

przed nim otyły łysiejący mężczyzna w zgrzebnym himationie i brudnym fartuchu. Miał wielkie wodniste oczy i rzadką brodę. Jakiś niewolnik. Biło od niego zapachem jedzenia, surowym mięsem, ziołami; pewnie kucharz. Stojący na czatach Aranth nie dawał sygnału, więc ten niewolnik pewnie był już wcześniej w środku.

– Cai ta?! Eh?! – Etrusk powtórzył pytanie. Głośniej. Jeśli w domu był ktokolwiek jeszcze, na pewno ich usłyszał. Cholera, myślał gorączkowo Leochares, jak szło to zdanie, które Aranth kazał mi powiedzieć...

– Sakni femias... Fafafe... – wybąkał.

– Ca?

– Ssak tymias fefne...? – spróbował raz jeszcze Leochares. Czuł, jak zimny pot spływa mu po plecach.

– Etera ama?!

– A, pieprzyć to – mruknął, po czym odchylił głowę i z całej siły uderzył kucharza czołem w twarz.

Profesor Bellmont wypita ostatni łyk kawy, odstawiła kubek, założyła nogę na nogę. Inga zauważyła, że profesor jedną skarpetkę ma w kolorze jaskrawego różu, a drugą – soczystej zieleni. Uśmiechnęła się. Kiedyś tłumaczyłaby to sobie roztargnieniem, typową dla wielu naukowców abnegacją albo ostrym przypadkiem daltonizmu. Ale po paru latach w Anglii wiedziała już, że to nawyk z czasów szkoły, pewnie z internatem, gdzie każdy nosił identyczny mundurek, a gryzące się ze sobą skarpetki były jedynym sposobem na wyróżnienie się z tłumu. I to sposobem ryzykownym, bo za takie wywrotowe tendencje można było wylądować na parę godzin w kozie.

– Masz ze sobą notatnik? – spytała Ava, nie odrywając oczu od czarno-białego wykresu. Wyglądał trochę jak wydruk EKG, i to kogoś, kto miał naprawdę poważne problemy z sercem. Widoczny pod spodem napis brzmiał bardzo naukowo: *spettroscopia di assorbimento atomico*[34].

– Mam – odpowiedziała Inga, sięgając do torby.

– To zapisz, proszę. W próbce wykryto znaczące ilości ołowiu. Trzydzieści osiem pe-pe-em.

– Pe-pe...?

– Cząsteczek na milion.

– To dużo? – spytał doktor De Luca, który w międzyczasie zamówił sobie oranżadę. Pił ją przez słomkę. Siorbiąc.

– Zależy. Dziś średnia to czterdzieści pe-pe-em, ale na silnie zanieczyszczonych terenach może sięgać nawet stu, stu osiemdziesięciu.

– To my w Tarencie mamy pewnie ze trzysta – mruknął de Luca.

– Mogę pana zbadać po śmierci. Proszę tylko zaznaczyć w testamencie, że przekazuje pan ciało na cele naukowe. – Profesor Bellmont się uśmiechnęła. Żartowała. Chyba. – Kontynuując... W społeczeństwach przedindustrialnych stężenie ołowiu wynosi kilka cząsteczek na milion. Jedną, dwie, trzy.

– To skąd te trzydzieści osiem u *Uomo Misterioso*?

– Dobre pytanie. Myślałam, że może używał ołowianych naczyń?

– Raczej nie... – wtrąciła się Inga. – Upowszechniły się dopiero później.

– Aha. To może pił wodę, która płynęła ołowianymi rurami?

– Też nie. Grecy używali raczej rur ceramicznych.

– W takim razie zostają kopalnie.

– Wojownik, rzemieślnik, żeglarz, górnik... – De Luca kiwał głową z uznaniem. – Długie ma chłop CV.

– Ale dorobić się nie dorobił. – Profesor Bellmont przerzuciła kolejną stronę. – Patrząc na proporcje wapna i strontu w kościach, to mięso jadł tylko od wielkiego święta. Zresztą, to już podejrzewałam, patrząc na zęby... Za to po wartościach węgla C13 i azotu N5 widać, że raczył się często owocami morza.

– Nie dziwota. – Doktora De Lucę rozpieierała duma. – W okolicach Tarentu są najlepsze małże, krewetki i homary, każdy rybak to pani powie. A właśnie, próbowały panie homara w La Locandzie?

– Nie. I nie zamierzam – odparła Ava.

– O? A czemu?

Profesor Belmont zdjęła okulary, schowała je do wysłużonego etui w Muminki.

– Homary żyją na dnie morza – powiedziała, chowając włosy za ucho. – Jedzą wygrzebane z mułu robaki. A ten muł zawiera wszystko, co tarenckie huty Gruppo Riva pompowały do wody przez ostatnie pięćdziesiąt lat. W jednym homarze jest zatem pewnie więcej rtęci niż w termometrze. Także dziękuję, ale nie.

Zapadła niezręczna cisza. Dobrze, że wypili już swoje kawy i omówili badania, więc mogli wrócić do muzeum. Klatka piersiowa *Uomo Misterioso* już na nich czekała.

Dzisiaj też zamawiam spaghetti bolognese, pomyślała Inga, przebiegając przez ulicę.

Leochares huknął czołem w twarz kucharza. Usłyszał, czy raczej poczuł chrupnięcie miazdzonej chrząstki. Zgodnie z jego oczekiwaniami, kucharzowi buchnęła krew z nosa, zachwiał się – ale nie upadł, za to Leocharesowi zrobiło się ciemno przed oczami. Mrugnął szybko dwa razy, potrząsnął głową; pomogło, ale miał problemy z utrzymaniem równowagi i musiał się oprzeć o ścianę. Całe szczęście, że wciąż jeszcze trzeźwo myślał.

Kucharz nie krzyczał. Jeszcze. Był w szoku, łapał powietrze wielkimi haustami, jak wyrzucona na piasek ryba, ale zaraz dojdzie do siebie. A wtedy zacznie wrzeszczeć, tak głośno, że usłyszą go na polanie. Musi działać, i to szybko. Najpierw go uciszyć, potem obezwładnić. Wciąż opierając się o ścianę, Leochares stanął na palcach. Napiął mięśnie nóg. Czekał.

Kiedy zobaczył, że kucharz otwiera usta, żeby krzyknąć, doskoczył do niego jednym susem. Uderzył go od dołu w szczękę, z całej siły. Zwinięta w pięść dłoń Leocharesa eksplodowała bólem – a żuchwa niewolnika poleciała do góry, aż szczęknęły o siebie zęby. Coś upadło na podłogę. Kawałek języka.

– Wybacz – powiedział Leochares, choć wiedział, że Etrusk go nie

zrozumie. Naprawdę było mu głupio.

Kucharz wydobył z siebie ni to jęk, ni to krzyk – zduszony, niewyraźny, zwierzęcy – po czym rzucił się na Leocharesa. Ten próbował uskoczyć, ale nie zdążył; niewolnik wpadł na niego, przewrócił, przyparł do ziemi. Był ciężki. Leochares próbował go z siebie zrzucić, ale bez powodzenia, ledwie mógł się ruszyć. Widział nad sobą twarz kucharza, wykrzywioną bólem i wściekłością. Krew z rozkwaszonego nosa kapała mu na czoło.

Kucharz uniósł pięść do góry – miał potężne, mięsiste pięści człowieka, który dużo pracuje i dobrze je. Leochares zrobił jedyne, co mu w tej sytuacji zostawało: wcisnął głowę w ramiona i zamknął oczy, oczekując na cios. Czuł, że w jego wypadku na złamanym nosie się nie skończy.

– Cilfa...? – kolejny głos, gdzieś z drugiej strony dziedzińca. Od wejścia.

– Eftfertfi... – kucharz próbował coś powiedzieć, ale zamiast słów wydobył z siebie tylko bulgot. Cios nie nadszedł. Leochares czuł, że zelżał nacisk na jego klatkę piersiową; kucharz musiał się ruszyć, pewnie żeby się odwrócić. Otworzył jedno oko, dostrzegł w korytarzu sylwetkę smukłego mężczyzny. Rozpoznał go bez trudu. Aranth.

Książę powiedział coś jeszcze. Długie, poważnie brzmiące słowa pełne „f” i „v”. Po intonacji można było zgadnąć, że czegoś żąda, czegoś się domaga. Robił to pewnie, jak ktoś, kto przywykł do wydawania rozkazów. Tego już nie musiał grać, bogom dzięki.

Kucharz wahał się, co zrobić; z trudem przełknął krew wymieszaną z gęstą śliną. Stał przed trudnym wyborem – posłuchać się instynktu niewolnika i ugiąć kark przed władczyim nieznajomym, czy jednak postawić się, wezwać straż? Tak czy tak, może skończyć się na batach. Całe szczęście, Leochares uwolnił go od konieczności podjęcia decyzji. Korzystając z tego, że kucharz rozproszył swoją uwagę, że poluzował uścisk, wierzgnął z całej siły i zrzucił go z siebie. Potem poszło już gładko. Leochares pchnął go na ścianę; kucharz przydzwonił głową tak, że posypał się tynk, po czym upadł bez czucia na podłogę. Ale żył.

– Miałeś stać na czatach – powiedział Leochares, odwracając się w stronę Arantha.

– Stałem. A potem usłyszałem, że coś się dzieje.

– Poradziłbym sobie.

– Możliwe – odparł ksiązę, taksując wzrokiem bezwładne cielsko kucharza. – Choć mało prawdopodobne.

– Potem to sobie przedyskutujemy. Czas goni. Jak już tu wlałeś, to mi pomóż.

Leochares przeciągnął nieprzytomnego kucharza na bok, w mniej widoczne miejsce. A potem ruszył w stronę pokoju, gdzie Thresu i Caile zamknęli się na pół dnia, z którego potem Caile wyszedł z zakrwawionymi rękoma. Naprawdę miał nadzieję, że coś tam znajdą. Cokolwiek, co popchnie ich dalej, co pozwoli poskładać wydarzenia ostatnich dni w logiczną całość, wskaże wreszcie jakichś podejrzanych, konkretny motyw. Ale miał złe przeczucia.

Szedł powoli. Robił, co mógł, żeby nie pokazać Aranthowi, jak ciężko mu to przychodzi. Kręciło mu się w głowie. Rana na ramieniu się otworzyła, czuł, jak krew przecieka przez bandaż, jak rękaw lepi się do skóry. Dłoń, którą uderzył kucharza, pulsowała bólem i puchła, bał się, że w którymś z palców pękła kość. Kręciło mu się w głowie, oddychał z trudem. A noc była jeszcze młoda.

Popchnął drzwi. Dobrze, że okazały się otwarte. Wnętrze przecinał na pół wąski pas księżycowego światła wpadającego przez okno. Z jednej strony stało krzesło o brązowych nogach w kształcie lwich łap, z drugiej – drewniana komoda i łóżko. I tyle. Nie było nic więcej, nawet kolekcji pieprznych waz. Leochares zajrzał pod siennik. Przesunął krzesło, sprawdził spód. Otworzył komodę, wyrzucił z niej wszystkie ubrania, koce, serwety. Po czym usiadł ciężko na łóżku i schował twarz w dłoniach.

– Co... Co robisz? – spytał po chwili Aranth.

– Myślę.

– O czym?

– Nie „o czym”. Że.

– Że?

– Że mamy...

Urwał w pół zdania. Kroki. Kilka osób. Szczęk zbroi. Czyli pospieszył się z oceną sytuacji. Teraz to dopiero mieli przesrane.

– Drzwi – wyszeptał Leochares. – Szybko.

Aranth doskoczył do drzwi, zamknął je bezgłośnie, zaryglował. Leochares kucnął, przyłożył oko do dziurki od klucza. Strażnicy. Dopiero co weszli. Zaraz znajdą kucharza. Wtedy zlecą się tu wszyscy. Włącznie z Thresu, Velthurem i tancerkami.

– Co teraz? – spytał Aranth. Brzmiał, jakby zaraz miał się rozpłakać.

– Nie wiem.

– Jeśli nas znajdą...

– Będziesz miał kłopoty. – Leochares dokończył zdanie; mówił powoli i spokojnie. – A mnie skreć kark na miejscu.

Jeden ze strażników coś krzyknął. Tupot stóp. Zaniepokojone głosy. Jęki cuconego kucharza. Niedobrze. Czasu było coraz mniej.

– Może tu nie zajrzą – wyszeptał Aranth z nadzieją.

Leochares nic nie odpowiedział, podniósł tylko lewe ramię. Rękaw był przesiąknięty krwią. Gęste krople skapywały co chwila na podłogę, rozpryskiwały się na białym kamieniu. Czerwone kleksy doskonale widoczne nawet po ciemku, nawet po pijaku. Strażnicy nie mogli tego przeoczyć.

Zaczęło się łomotanie w drzwi. Krzyki.

– Cał scuna! Eclthi!

Rygiel się wykrzywił, poleciały drzazgi. Lethne pewnie go nadwyrężył, kiedy próbował dostać się do środka, żeby sprawdzić, co się dzieje z Caile. Teraz wystarczy jeszcze kilka uderzeń, kilka pchnięć i pęknie na pół.

– Aranth, łap za komodę – powiedział Leochares normalnym głosem. Nie było już sensu szeptać. – Przesuniemy ją pod drzwi.

– Chcesz się barykadować? Po co?

– Żeby pożyć chwilę dłużej. No już!

Złapali za mebel. Był ciężki, z trudem przepchnęli go pod drzwi. Na zewnątrz było słycać kroki kolejnych osób, głosy.

– Co mówią? – spytał Leochares.

– Czeka... Że...

– No?

– Że już idzie ktoś z siekierą.

Świetnie, pomyślał Leochares. Szkoda, że nie z taranem. Rozglądał się nerwowo po pokoju. Okno było wąskie, Aranth może by się przez nie przecisnął, ale on już nie. Zresztą, prowadziło na wewnętrzny dziedziniec, więc daleko by nie uciekli. Sufit wyglądał na solidny, na dach nie wyjdą.

Ale w podłodze była kłapa. Dokładnie tam, gdzie przed chwilą stała komoda. Leochares doskoczył do niej, pociągnął. Skrzypnęły lekko zardzewiałe, rzadko używane zawiasy, uderzył go piwniczny odór. Zobaczył prowadzącą w dół drabinę, ginący w mroku korytarz. A więc jeszcze nie dziś, pomyślał z ulgą.

Złapał za pierwszy szczebel, zaczął schodzić. Po chwili poczuł pod stopami grunt. Spojrzał do góry – Aranth wciąż stał na krawędzi, wahał się. No tak, przypomniał sobie Leochares, boi się ciemności. Łomotanie ustało, zamiast tego słychać było teraz rąbanie. I kolejne krzyki.

– Wasza wysokość czeka na imienne zaproszenie? – spytał Leochares.

– Nie, ale...

– Złaź, do cholery!

Siekiera przebiła się przez drzwi; drzazgi przecięły z wizgiem powietrze. Aranth nie potrzebował już dodatkowej zachęty – zszedł na dół, omijając co drugi szczebel, Leochares musiał go łapać, żeby się nie przewrócił.

Korytarz był wysoki, mogli nim iść, lekko tylko się schylając. Gorzej, że zupełnie nic nie było widać. Leochares ruszył przodem, z jedną ręką wyciągniętą przed siebie, żeby na nic nie wpaść, a drugą dotykając ściany, żeby nie minąć ewentualnych rozwidleń. Aranth był tuż za nim, trzymał się skraju jego tuniki, jak dziecko, które boi się, że zgubi matkę w tłumie. Oddychał głośno, szybko, chrapliwie. Żeby mi tu tylko nie zemdłał, pomyślał Leochares.

Z tyłu, od strony wejścia, doszedł ich głośny trzask; drzwi wreszcie ustąpiły. Teraz strażnicy będą musieli tylko odsunąć komodę, a to nie zajmie wiele czasu. Leochares przyspieszył kroku, ale zaraz się o coś potknął, prawie się wywrócił. Zaklął pod nosem. Strażnicy Thresu na pewno wezmą pochodnie, będą szli szybciej. Niewielka przewaga, jaką obaj mieli nad nimi, topniała z każdą chwilą. No i pozostawało pytanie, dokąd prowadził ten

tunel. Czy w ogóle jest drugie wyjście. I gdzie ich wywiedzie.

Nagle korytarz lekko się rozjaśnił; z mroku wyłoniły się stemple, zwisające ze sklepienia korzenie, leżące na ziemi kamienie. Światło padało z tyłu. Strażnicy byli kilkadziesiąt, może kilkanaście kroków za nimi, ich głosy odbijały się od ścian. Światło ich pochodni wydobyło z ciemności coś jeszcze – kolejną drabinę, tuż przed nimi. Leochares krzyknąłby chyba ze szczęścia, gdyby nie to, że dostał zadyszki.

Wyszli na powierzchnię. Oczy szybko się dostosowały do wyjątkowo jasnej nocy. Byli w lesie. Leochares stracił orientację, nie wiedział, w którą stronę jest Veii, gdzie ich obóz, a gdzie winnica, ale nie było czasu, żeby się zastanawiać, więc pobiegli przed siebie, między drzewa. Ziemia była twarda i sucha, nie zostawiali więc wielu śladów. Gorzej, że głosy strażników, przed chwilą jeszcze dudniące pod ziemią, teraz były wyraźne, niosły się daleko; z pewnością wyszli już na powierzchnię. Leochares się odwrócił, zobaczył między gałęziami ogniki pochodni. Musieli się schować, i to szybko. Zauważył z lewej gęste krzaki, skręcił w ich stronę, pociągnął za sobą Arantha, przywarł do ziemi. Łapał powietrze haustami, żeby jak najszybciej wyrównać oddech, ucichnąć.

Leochares nasłuchiwał. Nie słyszał szczerzenia, czyli nie wzięli ze sobą psów. Odetchnął z ulgą, wyteżył wzrok. Światła pochodni, wpierw skupione blisko siebie, teraz się rozproszyły. Znaczy, strażnicy nie zauważyli, w którą stronę uciekli, musieli się rozdzielić, każdy poszedł w inną stronę. Dobrze, pomyślał Leochares. Jakby co, z jednym sobie we dwóch poradzimy. Z całym oddziałem już niekoniecznie. Zwłaszcza że Aranth trząś się, jakby dostał gorączki.

Trzaskały pękające pod stopami suche patyki, cienie gałęzi przesuwały się po ziemi gnane światłem pochodni, jak rozczapierzone palce, które szukają czegoś po omacku. Ktoś się zbliżał; widać było już sylwetkę odcinającą się na tle nieba czerwonego od łuny odległego pożaru. Leochares zmrużył oczy, żeby nie zdradził ich błysk światła odbitego w białkach; pokazał gestem Aranthowi, żeby zrobił to samo.

Strażnik przeszedł tuż koło nich, lekko chwiejnym krokiem. Zatrzymał się, zaczął rozglądać. Leochares śledził każdy jego ruch, ale był spokojny. Gałęzie, za którymi się schowali, były gęste – a strażnik chyba pijany i nie

wiedział, gdzie dokładnie patrzeć. Do tego trzymał pochodnię zbyt blisko twarzy, bardziej oślepił sam siebie, niż oświetlał las.

Wtem strażnik zastygł. Patrzył prosto w krzaki, pod którymi leżeli. Przełknął ślinę, zacisnął mocniej palce na rękojeści miecza. I po chwili wahania ruszył w ich stronę. Ostrożnie, ale bez pośpiechu, jakby szedł coś sprawdzić, upewnić się, czy coś mu się nie przywidziało. Zobaczył coś, myślał gorączkowo Leochares, ale jak, co?! Nagle go olśniło. Ząb w złotej oprawie, który wstawili mu rano. Metal musiał zaskrzyć się w świetle pochodni. Leochares zacisnął półotwarte usta, ale było już za późno. Musiał coś zrobić. Natychmiast.

Leochares poczekał, aż strażnik się pochyli. Zmusił rwące bólem mięśnie do błyskawicznego ruchu; wyskoczył z krzaków, uderzył strażnika barkiem w tchawicę, przewrócił. Usiadł na nim okrakiem, docisnął do ziemi, a potem wyrwał mu z ręki miecz i walił go rękojeścią w głowę, raz za razem, aż strażnik stracił przytomność.

Szybko poszło, pomyślał Leochares, ocierając krew i pot z twarzy. Pytanie, co dalej. Ktoś mógł ich usłyszeć. Zaraz przyprowadzą psy z winnicy i zrobią obławę. Do tego powoli zbliża się świt, trudniej będzie się ukryć. Nawet jeśli będzie już pamiętał, żeby nie otwierać ust.

Wtedy Leochares usłyszał cudowny odgłos. Rżenie osła. Rozejrzał się wokół raz jeszcze, na spokojnie, i dojrzał w mroku znajome kształty. Podziemny korytarz doprowadził ich w poblize miejsca, gdzie rozbili z Aranthem obóz.

– Tam! – pokazał Leochares. – Tam są nasze rzeczy. Idziemy.

– Czekał. – Księżę kucnął przy nieprzytomnym strażniku. – Pomóż mi z nim. Ty łap za nogi, ja za rękę.

– Chcesz go schować?

– Nie. – Etrusk pokręcił głową. – Zabrać z nami. I zadać mu parę pytań, jak się obudzi.

– Aranth... On nie widział twojej twarzy. Ale jeśli go weźmiemy, zobaczy. A wtedy...

– Wiem – księżę wszedł mu w słowo. – Pomożesz mi, czy nie?

Leochares spojrzał Aranthowi w oczy. A potem już bez słowa zrobił to,

o co prosił.

Leochares odwinął bandaż z lewego ramienia. Powoli, bo razem z materiałem odrywał strupy. Rana się paskudziła, śmierdziała ropą. Bolało, kiedy zginał palce. Niedobrze. Oczyszczył rozciętą skórę, sycząc przy każdym dotknięciu. Potem owinął ramię świeżym bandażem – bladoniebieskim. Zrobił go z odświętnej tuniki, którą miał na sobie poprzedniego wieczoru. Po pierwsze, po tym, co działo się wczoraj, nie była już wcale taka odświętna. Po drugie, miał przeczucie, że nie będzie się w najbliższym czasie wybierać na żadną imprezę.

Leochares wrócił do Arantha. Jechali całą noc, zatrzymali się dopiero niedaleko Veii, w opuszczonej chacie, kilka stadionów od głównej drogi. Spali krótko – i źle. Nasłuchiwali, czy nikt nie nadjeżdża. Czy strażnik nie uwolnił się z więzów. Czy wojna znowu nie podeszła pod mury miasta. Leochares potarł piekące, zmęczone oczy, rozpalone czoło. Marzyło mu się łóżko, koc, coś ciepłego do zjedzenia. Zatęsknił za domem, za synem. Nawet za żoną.

Aranth podał mu kawałek czerstwego pieczywa. Żuł je ostrożnie, uważając, żeby nie używać sztucznego zęba; wciąż bolały go dziąsła. Chleb nie miał smaku, czuł tylko własną kwaśną ślinę.

– Pewnie myślisz, że jestem tchórzem, co? – Aranth wyrwał go z zamyślenia.

– Hm? Co?

– Bałem się zejść do korytarza. – Księżę unikał jego wzroku. Mówił szybko, jakby wyrzucał z siebie słowa, które zbyt długo trzymał w środku. – Ani razu nie pomogłem ci wczoraj w walce.

– Zdarza się.

– Wtedy przy bramie, w Veii, też nie. Nawet się nie ruszyłem.

– No, nie. I w sumie dobrze, bo byśmy teraz nie rozmawiali.

– Jak ty to robisz? – spytał księżę. Był niewyspany, zmęczony, zły. – Że nigdy nie panikujesz? Nie uciekasz?

Leochares wydłubał kawałek chleba spomiędzy zębów. Wytarł obśliniony palec o płaszcz. Westchnął.

– Widzisz to? – pokazał bliznę biegnącą nad czołem. Wcześniej, przed wizytą u balwierza, zasłaniały ją włosy. – Pamiątka z Anatolii. Z czasów, kiedy byłem najemnikiem. Jakiś lokalny władca najął nas, żebyśmy zrobili porządek ze zbuntowanym bratem. Nawet nie pamiętam, jak się nazywał. Ale płacił dobrze.

– Ale co to ma...

– Cierpliwości... Szło nam łatwo. Wiesz, kilkudziesięciu zgranych chłopów w falandze potrafi zdziałać cuda. Rozbijaliśmy parokrotnie liczniejsze oddziały w puch. Aż któregoś razu nas okrążyli. Było gorąco, ale dalibyśmy radę. Gdyby nie ja.

Leochares zamilkł. Tym razem Aranth się nie wtrącał. Cierpliwie czekał na ciąg dalszy.

– Byłem w pierwszym szeregu. Na środku. Pewnie nie wiesz, więc wyjaśnię: to najważniejsze miejsce w formacji. To ja nadawałem rytm reszcie, kontrolowałem sytuację. I szło mi nieźle, aż za którymś razem za późno uniosłem tarczę. Nie zablokowałem uderzenia. Dostałem w głowę, miecz przeciął hełm, skórę, zatrzymał się na kości. Potem się okazało, że to nie była nawet poważna rana, nie straciłem dużo krwi, szybko się zagoiła. Mogłem walczyć dalej. Ale wtedy tego nie wiedziałem.

– I... Co zrobiłeś?

– Zeszcząłem się ze strachu.

– Mówisz w przenośni, czy...

– Mówię dosłownie. Zeszcząłem się ze strachu, rzuciłem tarczę, uciekłem. Przeciwnik wszedł klinem w falangę, złamał formację. Pytałeś, czemu przestałem być najemnikiem. No to już wiesz.

Leochares podszedł do okna, wyjrzał na zewnątrz. Nie spodziewał się zobaczyć nic ciekawego. Po prostu nie mógł już siedzieć. Nosiło go.

– Co się stało z twoim oddziałem? – spytał po chwili Aranth. – Ktoś przeżył?

– Dość pytań do mnie. Weź się lepiej za strażnika.

– Myślałem, że będziesz chciał pierwszy...

– Nie chcę – mruknął Leochares. – Jestem zmęczony. A to był twój pomysł.

Aranth odwrócił się w stronę jeńca. Strażnik miał otwarte oczy. Były przekrwione, opuchnięte, ale i harde. Nie widać w nich było strachu, choćby zdenerwowania. Nie próbował się uwolnić, nie błagał o litość. Miał potężnego protektora, z którym musieli się liczyć nawet królowie – i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Dlatego właśnie Leochares nie miał ochoty go przesłuchiwać. Czuł, że nic z niego nie wyciągną. Ale skoro Aranth się uparł, niech sam próbuje.

Księżę ukucnął przy strażniku. Wyciągnął mu knebel, pomógł usiąść, podał kubek z wodą. Potem zadał pytanie. Leochares nie rozumiał poszczególnych słów, ale domyślał się, czego Aranth chciał się dowiedzieć. Kto czekał na Caile na końcu tunelu w dniu jego śmierci. Kto poznał jego sekret.

Jeniec nie był rozmowny, wypowiedział tylko kilka słów. Brzmiały lekceważąco, nawet pogardliwie. Aranth poczerwieniał. Wyglądało na to, że strażnik go rozpoznał – i wiedział, że księciem jest tylko z imienia. Że ostał się przy życiu tylko ze względu na polityczne kalkulacje. Że był trzymany w cieniu, wytykany palcami, wyśmiewany, i to nie za plecami, tylko w twarz, przy ludziach. Że nigdy nie podnosił głosu, że nikt się z nim nie liczył. Że tak naprawdę, mimo tytułów, ozdobnych szat, własnego pokoju w pałacu – jest nikim.

Aranth powtórzył swoje pytanie. Powoli, spokojnie, tak, jak mówi się do niezbyt bystrego ucznia. Ale w jego głosie było coś takiego, że Leochares drgnął. Strażnik najwyraźniej tego nie dosłyszał, bo odpowiedział tak samo jak przed chwilą – jakimś rzuconym od niechcienia przekleństwem. Księżę pokiwał głową, jakby usłyszał coś, z czym niechętnie musiał się zgodzić. A potem wstał i wziął ze stołu nóż, ten sam, którym przed chwilą kroił czerstwe pieczywo; do ostrza były jeszcze przylepione okruszki.

Ponownie powtórzył pytanie, bez śladu gniewu czy zniecierpliwienia. Jeniec znów odmówił współpracy, choć tym razem chyba mniej bezczelnym tonem. Księżę przyłożył mu nóż do policzka – i pociągnął. Błysk ostrza, wrzask, krew. Okruszki zostały na rozciętej skórze. Aranth spytał raz jeszcze.

Strażnik wykrzyczał kilka słów. Może „naprawdę, nie wiem!”, może „błagam, nie!”, bez znaczenia. Nóż znów przejechał po twarzy, teraz tuż pod okiem. Jeniec zawył głośniej. Dużo, dużo głośniej.

Leochares wyszedł na zewnątrz, zamknął za sobą drzwi. Zerwał źdźbło trawy, wsadził między zęby. Widział już takie sceny, co nie znaczyło, że miał ochotę oglądać kolejne. I tak miał kłopoty z zasypianiem. Zza zamkniętych drzwi doszedł go wysoki, zwierzęcy wrzask. Zaniepokojone osły zastrzygły uszami; siedzące na dachu ptaki zerwały się do lotu. Następny krzyk. Po krótkiej przerwie jeszcze jeden. A potem słyhać było już tylko cykady.

Drzwi otworzyły się powoli; zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy. Aranth był blady, jego tunika czerwona od krwi. Szedł powoli, chwiejnym krokiem. W ręku wciąż miał nóż.

– Powiedział... Powiedział, kto to był – wydusił z siebie.

A potem się rozpłakał.

ω

Leochares przechylił kubek. Wino przelało się przez krawędź naczynia, rozbryzgało na świeżo ubitej ziemi. Wyszeptał krótką formułkę, której nauczył go kiedyś ojciec. Prośba o bezpieczną przeprawę przez Styks, sprawiedliwy osąd, o spokój w krainie cieni. Nie wiedział, czy etruscy bogowie jej wysłuchają. Ale spróbować nie zaszkodzi.

Nie znał strażnika, którego pojмали. Nawet nie wiedział, jak miał na imię. Ale kiedy zobaczył jego twarz po tym, jak Aranth skończył go przesłuchiwać, uznał, że musi mu wyprawić porządny pogrzeb. Naprawdę nie chciał, żeby wracał do niego z zaświatów.

Leochares wrócił do Arantha. Księżę, ubrany tylko w płaszcz, siedział skulony na pniu przewróconego drzewa. Obok, rozwieszona na gałęzi, suszyła się jego tunika. Próbowali sprać z niej krew. Sukces był umiarkowany, delikatnie mówiąc. Ale wyglądało na to, że księżę doszedł już do siebie. Ucichł, uspokoił się.

- W porządku?
- Mhm.
- Możesz rozmawiać?
- Mhm.
- To spróbujmy.

Leochares usiadł na ziemi, dorzucił dREW do ognia. Dym, który jeszcze przed chwilą leciał w przeciwną stronę, buchnął mu teraz prosto w twarz; zaszczypały go oczy, rozkaszał się. Niby mógł się przesunąć, ale wiedział, że wiatr podąży za nim. Nie miał pojęcia, jak to się działo, tak już po prostu było i tyle.

- Miałeś mi powiedzieć, z kim spotkał się Caile.

– Z krukiem – odparł Aranth. Leochares pomyślał, że jednak za wcześnie zaczął tę rozmowę. Może księżę potrzebował jeszcze trochę czasu, żeby ochłonać. A może trochę wina.

- Jak to, z krukiem? To znowu jakaś przepowiednia?
- Pamiętasz jego ołowianą tabliczkę? – Aranth odwrócił wzrok od

ogniska. Dym i zmęczenie zabarwiły mu oczy na czerwono. – Tę, którą Caile zostawił w świątyni Menrvy, zanim wyjechał z Rasce i Lethne z miasta?

– A, tak! Zupełnie o niej zapomniałem... Jak to szło?

– „Niechaj kruk przekona dzieci wilka”.

– Zgadza się... Tyle, że to nadal brzmi jak jakaś bajka Ezopa, więc nie...

– Thresu pomógł Caile zorganizować spotkanie z pewnym wysoko postawionym Rzymianinem. – Aranth kaszlnął, otarł usta. Leochares zdał sobie sprawę, że pierwszy raz widzi go brudnego, nieuczesanego. – Nazywa się Marek Lucjusz Corvus. A Corvus to po ichniemu „kruk”.

– Aha... No, a dzieci wilka?

Aranth rzucił mu zdziwione spojrzenie, jakby spytał o coś absolutnie oczywistego.

– No co?

– Wybacz... Czasem zapominam, że nie jesteś stąd i nie musisz tego wszystkiego wiedzieć. – Księcia przeszedł dreszcz, otulił się szczelniej zabłoconym płaszczem. – Chodziło raczej o wilczycę. Rzymianie wierzą, że wykarmiła ich przodków, Romulusa i tego drugiego, no... Remusa. Rozumiesz już?

– Rozumiem. Chodzi o Rzymian... Nic dziwnego, że Thresu chciał, żebyśmy zostawili tę sprawę w spokoju. Gdyby teraz się wydało, że ma z nimi jakieś powiązania, mogłoby się to dla niego źle skończyć.

– Bardzo źle. Velthur... On słynie z łaskawości.

– Takie sprawiał wrażenie. – Leochares westchnął, podrapał się po brodzie. – No, fajnie i w ogóle, ale to nijak nam nie pomaga. Wciąż nie wiemy, po co Caile pojechał na to spotkanie. Ani do czego ten cały Corvus miał nakłaniać swoich ziomków.

– Jest jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Teraz to Leocharesowi zrobiło się zimniej. Nie podobał mu się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa.

– Poważnie? – spytał. – Chcesz do niego jechać?

– Jest razem z wojskiem. Gdzieś niedaleko.

– Seianti nie będzie zachwycona tym pomysłem. Ani Velthur. Bo wiesz,

jest wojna i tak dalej.

– I dlatego... – Aranth wziął głęboki oddech – ...nie będę ich pytał o zdanie.

– To... To nie jest dobry pomysł. Powiem więcej, to jest bardzo, bardzo zły pomysł. Jak się dowiedzą, uznają to za zdradę. Nawet dla ciebie to się może źle skończyć. A dla mnie już z całą pewnością.

– Wiem. Dlatego nie proszę, żebyś jechał ze mną. Doprowadziłeś mnie aż tutaj... Dalej poradzę sobie sam.

Aranth wstał, rzucił płaszcz na ziemię i zaczął wkładać wilgotną jeszcze tunikę. Leochares patrzył na jego długie, niezgrabne ramiona, na wyraźnie zarysowane pod skórą żebra. Nie, pomyślał, nie poradzisz sobie. Nie masz nawet pojęcia, jak ominąć patrol. Jak znaleźć drogę w nocy, jak czytać ślady. Zamiast udowodnić Caile, że się co do ciebie mylił i go pomścić, szybko do niego dołączysz. Z rozprutym brzuchem albo bez głowy.

– Pomogę ci do niego dotrzeć – powiedział Leochares po chwili. – I wrócić do Veii. Ale potem, niezależnie od tego, czego się dowiesz, jesteś zdany na siebie. Rozumiesz?

Aranth się obrócił. Kiwnął głową na zgodę, patrząc mu w oczy.

– Ruszamy po zmierzchu. Więc lepiej się teraz wyśpij.

– A ty?

– Ja? – Leochares wstał, przeciągnął się, ruszył wolnym krokiem w stronę lasu. – Ja i tak nie zasnę.

Leochares podniósł kawałek sosnowego drewna, obrócił go powoli, obejrzał dokładnie z każdej strony. Był wielkości dłoni, w sam raz. Twardy, ale nie kruchy, jeszcze pachniał żywicą, lepił się do palców. Miał jedną dziurę po sęku, ale nie większą niż moneta. Nada się akurat, pomyślał.

Wrócił do obozowiska, wyciągnął nóż. Ostrugał jeden z końców drewnianka, ostrożnie, warstwa po warstwie; skrecone wiórki padały na mech. Potem końcówką ostrza podważył korę, spróbował ją oderwać, ale bez powodzenia; złamał tylko paznokieć. Spróbował ponownie, tym razem kora

odeszła od drewna z suchym trzaskiem. Wreszcie wywiercił na środku małą dziurkę i wsadził do niej patyczek z przyczepionym wciąż liściem.

– Co to jest? – Leżący obok Aranth uniósł się na łokciu. Był półprzytomny, dopiero co się obudził.

– No przecież. Łódeczka – powiedział Leochares, dmuchając w udający żagiel liść. – Robiłem takie synowi. Puszczaliśmy je potem na kałużach.

– A... Po co ci ona, jeśli wolno spytać?

– Po nic. Zabijam czas. – Leochares uniósł wzrok, spojrzał między drzewa. Niebo przechodziło z czerwieni w purpurę. – Zresztą, zaraz będzie można ruszać.

Aranth wstał, zwinął koc, związał go rzemieniem. Podrapał się po nieogolonym policzku, przetarł zaropiałe oczy, ziewnął przeciągle.

– A, miałem cię spytać... – powiedział Leochares, rzezając kozikiem litery na burcie łódeczki. Szło mu ciężko; spocone palce ślizgały się po rękojeści. – Wy zawsze piszecie do bogów zagadkami?

– Nie. Zwykle zwracamy się do nich wprost. Zresztą przetłumaczyłem ci kilka listów do Menrvy, jak byliśmy w świątyni. Pamiętasz?

– Pamiętam.

– To o co chodzi?

Leochares przejechał dłonią po czole. Było rozpalone, lepkie od potu. Zbierał chwilę myśli.

– Z tego, co mi o nim mówiłeś, Caile raczej nie był typem poety, nie?

– Zgadza się.

– Więc nie napisał tej prośby w taki określony sposób, bo akurat złapała go wena twórcza. Zrobił to, bo obawiał się, że przeczyta ją ktoś poza bogami.

– No i nie pomylił się...

– To w tej chwili nieistotne. Skup się. Caile jechał na spotkanie z tym Corvusem tak naokoło, że już bardziej nie można. Nie powiedział o tym własnej żonie, Velthurowi, Pesnie, tobie... Nikomu.

Słońce zaszło za horyzontem, zrobiło się ciemno. Zawiał chłodny jesienny wiatr.

– Kogo on się tak bał? – Leochares dokończył po chwili myśl. – Był w końcu królem, do cholery. Królowie nie chowają się przed swoimi wrogami, tylko ich wieszają.

– Tak. – Aranth skinął głową. – Jak już ich znajdą. Teraz, jak o tym wszystkim myślę... Wydaje mi się, że ojciec czuł, że ktoś go obserwuje, źle mu życzy. Tylko nie był w stanie dojść, kto.

– No, wkrótce się dowiemy. – Leochares wstał, przerzucił torbę przez ramię i natychmiast skrzywił się z bólu. – Chyba.

Szli lasem, wzdłuż głównego gościńca – na tyle daleko, żeby nie zauważył ich żaden patrol, ale na tyle blisko, żeby wciąż widzieć drogę i nie stracić orientacji. Nie nieśli pochodni ani lamp, nie odzywali się do siebie. Leochares przystawał co chwila – niby, żeby się rozejrzeć, a tak naprawdę, żeby złapać oddech. Lekka gorączka, która złapała go rano, przybierała na sile; zabandażowana ciasno rana zaczęła swędzieć i piec. Nie chciał, żeby Aranth domyślił się, w jakim jest stanie. Drętwiejące ramię zasłonił torbą, przygryzał wargi, żeby nie było słychać, jak dzwonią mu zęby.

Poczuł, że znowu musi się zatrzymać. Kucnął i oparł się o drzewo, żeby nie stracić równowagi. Zmrużył oczy, próbując dostrzec cokolwiek w słabym świetle księżyca. Ziemia była stratowana, zryta przez jelenie i dziki. Znaczy, że zmierzali w dobrym kierunku. W stronę pożaru, przed którym uciekały zwierzęta. W stronę wojny.

Wyszli z lasu na pola uprawne; spalone zboże chrzęściło pod stopami. Wzgórze naprzeciwko migotało tysiącami drobnych ogników. Leochares wpierw pomyślał, że ma zwidy, potem, że to świetliki; wreszcie zrozumiał, że zbocze pokrywa dogasający żar. Trzeba będzie pójść naokoło.

Minęli dymiącą chatę. Na progu leżało ludzkie ciało, przywalone przepaloną belką, obok gliniane skorupy, połyskujące w popiele monety. Ktoś wrócił do płonącego domu ratować dobytek i już nie wyszedł. Przeszli koło resztek zagrody, zwęglonych trucheł owiec i krów. Jeszcze nie obsiadły ich kruki, nie oblażyły mrówki; widać spalone mięso było wciąż za gorące. Kawalek dalej była studnia. Leochares zatrzymał się przy niej, chciał zaczerpnąć wody. Przechylił się przez cembrowinę – i natychmiast zrobił

krok do tyłu, zaklął.

– Coś tam jest? – wyszeptał Aranth.

– Nie. Ktoś.

Książę zajrzał do środka. Na powierzchni unosił się trup; miał długie włosy, więc pewnie kobieta. Wskoczyła do środka, żeby uciec przed ogniem, nie spłonąć żywcem. W końcu albo się utopiła, albo ugotowała. Leochares złapał Arantha za ramię, odciągnął od studni. Wiedział, że im szybciej znikną znów wśród drzew, tym lepiej.

Kiedy byli już po drugiej stronie, usłyszeli rzenie koni, potem stukot kopyt. Stanęli bez ruchu. Po chwili na drodze pojawiło się dwóch jeźdźców. Jechali powoli, rozglądając się na boki. Zwiadowcy.

– Widzisz, co mają na tarczach? – spytał Leochares, prawie bezgłośnie.

– Nawet nie widzę, czy mają tarcze.

– Szkoda. Można by poznać, czy to ludzie twojego brata, czy Rzymianie.

– Poczekaj... Może któryś się odezwie.

Aranth nadstawił ucha. Długo nic. Nagle jeden z koni się spłoszył; jeździec coś krzyknął, szarpnął za cugle. Chwilę potem zniknęli za zakrętem.

– Rzymianie – stwierdził Aranth.

Leochares skinął głową, ruszył dalej w las. Musieli być już blisko celu. Co kilka kroków zatrzymywał się, wciągał powietrze nosem. Smród spalenizny był przytłaczający, ale wiatr niósł też inne zapachy. Te, za którymi węszył.

– Tam. – Leochares wskazał kierunek, przyspieszył kroku.

– Tam co?

– Tam jest obóz.

– Skąd wiesz?

– Obóz – Leochares mówił urywanymi zdaniem; walczył z kolką – to dużo ludzi. Setki, nawet tysiące.

– Zgadza się...

– Ludzie jedzą. A potem, za przeproszeniem waszej książęcej mości, srają. Charakterystyczne zapachy.

Szli przed siebie jeszcze jakiś czas. Książę raz po raz zniknął za

chmurami, na przemian oświetlając im drogę albo zatapiając las w mroku. Aranth zmarszczył nos, odkaslnął, po czym zasłonił twarz skrajem płaszcza. Teraz i on poczuł. Leochares uśmiechnął się pod nosem. W pieśniach aoidów wojna to pojedynki herosów, boskie intrygi, honor i zdrada. W rzeźbach albo na malowidłach – młodzieńcy o pięknych ciałach, w wystudiowanych pozach, gładko ogoleni, z twarzami pozbawionymi emocji. Dla Leocharesa wojna to znój, bród, smród i strach. W tej kolejności. Średni materiał na poezję, nawet tę niskich lotów.

Zaczęły dochodzić ich głosy. Wpierw stłumione, niewyraźne; potem słychać było już poszczególne słowa. Chwilę później zobaczyli światła pochodni, palisadę, wreszcie zarysy namiotów – mnóstwa namiotów. Leochares odetchnął z ulgą. Nie, żeby minęło zagrożenie, wręcz przeciwnie, szanse, że ujdą z życiem, zmniejszały się z każdym krokiem. Ale, cokolwiek by się działo, przynajmniej nie trzeba będzie już więcej łązić. Wokół obozu rozstawieni byli strażnicy – co kilkadziesiąt stóp. Nie mieli szansy obok nich się przekraść, ale to nie było częścią ich planu.

– No i? – Leochares odkorkował bukłak, pił wielkimi haustami. Nie mógł ugasić pragnienia. – Wykombinowałeś, co im powiesz?

– Że jestem księciem Veii. I chcę rozmawiać z Corvusem.

– Aha. Długo nad tym myślałeś?

Etrusk odwrócił się w jego stronę, zmarszczył brwi.

– A czemu pytasz?

– Bo to brzmi niezbyt finezyjnie. I chyba nie zadziała.

– Nie jesteś stąd. – Aranth uśmiechnął się lekko, jakby z politowaniem. – Nie znasz ich. Posłuchają.

– Mhm. No, zaraz się przekonamy.

Wyszli spomiędzy drzew, z rękoma wysoko nad głowami. Strażnicy zauważyli ich od razu, zaczęli krzyczeć, unieśli włócznie do ciosu. Z obozu przybiegli kolejni żołnierze, otoczyli ich. Aranth wciąż miał na ustach ten sam uśmiech. Mówił spokojnie, powoli dobierając słowa w obcym języku. Wyglądało na to, że faktycznie się z nimi dogada.

A potem jeden ze strażników uderzył księcia trzonkiem włóczni w twarz. Aranth zalał się krwią i padł bez czucia na ziemię. Powinienem był się z nim

założyć, zdążył jeszcze pomyśleć Leochares.

Kolejny cios był już przeznaczony dla niego.

Pudło z klatką piersiową leżało na stole; przez mlecznobiałe plastikowe ścianki widać było zarysy kości. Szumiał kręcący się leniwie pod sufitem wiatrak. Zamrugały jarzeniówki. Indze kręciło się w głowie, dudniło jej w skroniach. Chyba za mocna była ta kawa, pomyślała, ścierając z czoła zimny pot.

– Która z pań będzie czynić honory? – Doktor De Luca przerwał ciszę.

– Inga – odparła Ava bez zastanowienia. – Od ciebie się zaczęło, to niech na tobie się skończy.

Inga podeszła do pudła, położyła ręce na wieku. Nie wiedzieć czemu dopiero teraz poczuła, że ma do czynienia nie tyle z kolejnym muzealnym eksponatem, ile z człowiekiem, który kiedyś śmiał się, płakał, przeklinał. Który miał długie i bogate życie. Którego zamordowano.

Inga uchyliła wieko – i odetchnęła. Między czwartym a piątym zębem, z lewej strony, wciąż coś tkwiło. Niewielki podłużny kawałek metalu, który zaklinował się w kości. Przeoczyłaby go, gdyby nie wiedziała, gdzie dokładnie patrzeć.

– Widać, czemu wzięli te kości do konserwacji – profesor Bellmont pochyliła się nad pudłem. – Rozeschły się. Końcówki żeber zaczynają się kruszyć.

– To znaczy, że nie możemy ich dotykać?

– Możemy. Tylko ostrożnie, w maskach i rękawiczkach.

Inga zaczęła zakładać rękawiczki. Szło jej opornie; lateks i mokra od potu skóra nie stanowią dobrego połączenia. Zakłęła pod nosem. Po polsku, z twardym *rrrr*.

– „Krzywa”? – spytał wyraźnie zdziwiony doktor De Luca. – Co, „krzywa”?

– Nic, nic.

– Jak nic, to zaczynamy. – Profesor Belmont dotknęła kości, delikatnie, jak ktoś, kto wchodzi na zamrożone jezioro i boi się, że lód zaraz trzaśnie. – Ostra końcówka przedmiotu wystaje z przodu. To znaczy, że cios zadano od tyłu. I był na tyle silny, że broń przeszła na wylot.

– Oho. Musiało boleć.

– Tylko przez chwilę. Nawet, jeśli ostrze ominęło serce, musiało przeciąć aortę. Wykrwawił się w kilka sekund.

– Ktoś wiedział, gdzie mierzyć... – Inga bezwiednie podrapała się po mostku.

– Tak. To musiał być wojownik albo myśliwy. W każdym razie ktoś z pewną ręką i niezłą znajomością anatomii. Wygląda też na to, że miał czas, żeby dobrze wycelować.

– Nie rozumiem... – Doktor De Luca ściągnął brwi, zakręcił wąsa jak muszkieter.

– Spójrzcie na kąt, pod którym ten przedmiot wychodzi spomiędzy kości. Kończówka skierowana jest ostro w dół. Czyli cios zadano z góry. Albo z końskiego grzbietu, ale to już mało prawdopodobne, bo nie sposób wtedy tak dobrze wycelować. Albo w momencie, kiedy *Uomo Misterioso* siedział bądź klęczał.

– Brzmi jak egzekucja...

– Albo cios zadany zniecka.

– No dobrze... – powiedziała Inga, nie przestając notować. Nie miała już czystych kartek; pisała na okładce. – Ale co to właściwie jest... To coś, co go zabiło?

– Podłużne, ostre... – Profesor Belmont wzruszyła ramionami. – Wygląda jak końcówka grotu włóczni.

– Ha. Czyli ciągnęło wilka do lasu... Wrócił do wojaczki.

– To też by tłumaczyło tę ranę na ramieniu... Tę, w którą wdało się zakażenie.

– I zgadza się z historią regionu. – Inga dmuchnęła na papier, żeby

tusz szybciej wysechł. – Tarent ciągle walczył z sąsiadami, więc okazji do...

– Moment, moment! – De Luca, zwykle szarmancki do przesady, przerwał jej w pół zdania, pochylił się nad kośćmi. – To chyba... Niesamowite!

– Co? – Inga i Ava spytały jednocześnie.

De Luca wybiegł bez słowa z pokoju.

Leochares poczuł ból. Wpierw w plecach, tam, gdzie został uderzony. Potem w lewym ramieniu – paprzęca się rana wciąż piekła. Dobrze, odetchnął, zdaje się, że jeszcze żyję. Nie otworzył od razu oczu, na wypadek gdyby ktoś go obserwował i na to czekał. Chciał zorientować się, gdzie jest, co się z nim stało. Poruszył lekko dłońmi; nadgarstki miał ciasno związane rzemieniem. Przez zamknięte powieki przebijało światło. Słyszał wiatr, ale nie czuł go na skórze. Znaczący, pomyślał, jestem w jakimś namiocie, a w środku są lampy. Skupił się na dźwiękach. Tuż obok słychać było płytki świszczący oddech. Nieco dalej, w głębi – szcęk noża na talerzu i żucie. Za to zapach czuł tylko jeden – ostry i drażniący. Coś jak ocet, zepsuta ryba, morska woda. No dobra, stwierdził, pora się rozejrzeć.

Uchylił lekko powieki. Zobaczył twarz leżącego obok Arantha; księżę miał złamany nos i zakrwawioną twarz, wciąż był nieprzytomny. Nieco dalej, za stołem, siedział siwy, barczysty mężczyzna w bogato zdobionej zbroi. Rzymianin, i to jakiś ważny. Krótko przycięte włosy, gładko ogolone policzki. Wielki pieprzyk na nosie, małe oczy otoczone gęstą siecią zmarszczek. Odkrajał ociekające jeszcze krwią kawałki pieczonego mięsa, potem maczał je w spodku wypełnionym czarną, smołowatą cieczą – i gryzł delikatnie, jak ktoś, komu zostało już niewiele zębów. Zauważył, że Leochares się obudził. Powiedział coś do niego. Zabrzmiało jak pytanie.

– Nic nie rozumiem – odpowiedział Leochares. Trochę niewyraźnie, bo policzek miał rozplaszczony o ziemię.

– Grek? – Rzymianin mówił kaleką, ale zrozumiałą koine[35]. – Ciekawe. Co tu robisz?

– Ech... Dobre pytanie.

Chwila ciszy. Szczęk noża, wiatr szarpiący ściany namiotu.

– Wiesz, co robimy ze szpiegami?

– Przypuszczam, że zabijacie – odparł Leochares.

– Zgadza się. A wiesz, jak?

– Nie. Ale ja wcale nie...

– To się okaże. Na razie racz odpowiadać na moje pytania zwięźle i do rzeczy. Co tu robisz?

Rzymianin mówił cicho, nie ściągnął groźnie brwi, ba, nawet nie obejrzał się w jego stronę. Siedział wciąż lekko zgarbiony przy stole, tnąc na kawałki żyłaste mięso. Ale Leochares poczuł strach. Taki, że poczekał chwilę, nim się odezwał, żeby nie zadrżał mu głos.

– Towarzyszę temu tu obok. Wiem, że nie wygląda, ale to Aranth, syn... Książę Veii.

Rzymianin zastygł bez ruchu – otwarte szeroko usta, tuż przy nich kawałek pieczystego ociekający czarnym sosem. Odsunął talerz i wstał; zaskrzypiał ciasno zapięty napierśnik. Blacha przyozdobiona była podobizną kruka. Czyli jednak trafiliśmy, do kogo trzeba, pomyślał Leochares. Nie był pewien, czy to aby na pewno powód do radości.

Corvus kucnął przy nieprzytomnym Arancie, złapał go pod brodę, obrócił twarzą ku sobie. Mruknął z niezadowoleniem.

– Nie jest podobny do ojca, przyznaję – wtrącił Leochares; mówił szybko, za szybko. – Ale rękę, że...

– Milcz.

Corvus wyciągnął sztylet. Był ostry, wyglądał, jakby można było nim kroić kamienie, nie mówiąc o skórze. Zabije go, myślał gorączkowo Leochares, poderżnie gardło i zabije. Muszę coś zrobić, cokolwiek, szybko. Jeśli wierzgnę, mogę go podciąć i przewrócić, potem kopnąć. Jak się uda, może upuści broń, może uderzy o coś głową. A potem się zobaczy. Leochares napiął mięśnie, wziął głęboki oddech, wypełniając całe płuca – po czym się rozkaszał.

Corvus nie zwracał na niego uwagi. Rozciął więzy Arantha, ocucił go.

Książę wymamrotał coś pod nosem, otworzył oczy.

– Po co tu przyjechałeś? – spytał Corvus. Z ust wionęło mu tym samym rybim odorem, który wypełniał namiot. To ten sos, pomyślał Leochares. Ohyda.

Aranth zamrugał, rozejrzał się wokół zamglonym wzrokiem.

– Po co przyjechałeś? – powtórzył Rzymianin nieco głośniej.

Widać było, że Aranth z trudem zbierał myśli. Krew ciekła mu z rozbitego nosa, oczy wywracały się białkami do góry.

– Dowiedzieć się... – wymamrotał w końcu. – Dowiedzieć się, kto zamordował Caile.

– Nie my. Nie ja.

– Wiem. Ale zginął tuż po waszym spotkaniu.

– Z powodu tego spotkania – dopowiedział Leochares.

Corvus rzucił mu niechętnie spojrzenie, po czym wstał, przeszedł na drugą stronę namiotu, założył ręce na plecy. Aranth dźwignął się z trudem, usiadł. Głowa opadała mu na bok. Leochares czuł, jak ziemia drży pod stopami maszerujących żołnierzy. Zbliżał się świt i kolejny dzień wojny.

– Caile przyjechał prosić o pokój – powiedział po chwili Rzymianin.

– Pro... prosić? – powtórzył głucho Aranth.

– Tak. Prosić. Twój ojciec był mądrym człowiekiem. Widział dalej niż inni, z pewnością dalej niż Velthur. Rozumiał, że wasz czas się skończył i albo sami ugniecie kark, albo my was do tego zmusimy.

– Mów dalej – powiedział cicho książę. – Proszę.

– Caile zdawał sobie sprawę, że takie porozumienie będzie miało wielu przeciwników, że wielu uzna go za zdrajcę. Dlatego chciał utrzymać negocjacje w tajemnicy tak długo, jak to było możliwe. Przyjeżdżał w umówione miejsce sam, ubrany jak prosty człowiek.

– A krew? – spytał Leochares.

– Co?

– Jego przyboczny, Lethne, mówił, że kiedy Caile wrócił z waszego spotkania, miał ślady krwi na rękach.

– Ach, to. Zwierzęca. Składaliśmy ofiarę za pomyślność rozmów.

– A jak... Jak one przebiegały?

– Zawsze tak samo. Siadaliśmy we dwóch. Jedliśmy. – Corvus wskazał ręką stół, talerz z mięsem, spodek z cuchnącym sosem. – Wraciał do Veii po zmroku.

– Ostatnim razem... Coś było inaczej niż zwykle? Na przykład...

Corvus pokręcił głową. Tyle zachodu na nic, pomyślał Leochares. Świetnie.

– A mówił chociaż, przed kim się ukrywa? – zadał kolejne pytanie, choć wiedział już, jaka będzie odpowiedź. – Kogo się tak boi?

– Nie.

– Ktoś z jego otoczenia wiedział o tych rozmowach?

– Hm. Th... Thresu? Jakoś tak. On pomagał w umawianiu naszych spotkań. Poza tym chyba nikt.

Świtało, słońce rozjaśniło płótno namiotu. Corvus zdusił płomień oliwnej lampki poślinionymi palcami, przypiął sobie płaszcz. Koło stołu leżał jego hełm. Miał liczne wgniecenia.

– Ciebie powinienem zabić – powiedział generał, wskazując Leocharesa. Głos miał zmęczony, pewnie nie przespał nocy. – A ciebie – odwrócił się w stronę Arantha – odesłać do Rzymu w powrozach. Trudno o lepszego jeńca niż księżę.

Corvus założył hełm, zawiązał go pod brodą. Miał mocne palce człowieka, który nie stronił od ciężkiej pracy.

– Ale tego nie zrobię. Z szacunku dla Caile... I twojej odwagi. Widać, że jesteś jego synem.

Aranth przymknął oczy. Nie odezwał się.

– Moi żołnierze podprowadzą was w okolice Veii – dodał po chwili Corvus.

– Dziękuję.

– Zapamiętaj ten dzień. Może kiedyś to ty zasiądziesz na tronie. Może podejmiesz lepsze decyzje niż twój brat.

Aranth wstał, złapał się słupa, na którym wsparty był namiot. Wyprostował się.

– Darowałeś mi życie – wychrypiał. – Ale go nie kupiłeś.

Corvus długo patrzył mu w oczy. Potem skinął lekko głową i wyszedł z namiotu.

Leochares i Aranth jechali w obstawie trzech zwiadowców. Na rzymskich wierzchowcach, w darowanych ubraniach. Nie odzywali się do siebie. Aranth był pogrążony w myślach. Leochares skupiał się na tym, żeby nie zlecieć z konia. Kręciło mu się w głowie, dwoiło przed oczami. Chciał myśleć, że to tylko ze zmęczenia.

W pewnym momencie zwiadowcy zatrzymali się i kazali im zejść z koni. Potem, bez żadnego dodatkowego gestu ani słowa, zawrócili i zniknęli między drzewami. Leochares usiadł ciężko na ziemi, przytknął oczy. Aranth zmoczył w strumieniu kawałek materiału i wycierał nim zakrzepłą krew z twarzy. Nos mu posiniał i spuchł, oddychał przez spękane usta.

– I co teraz? – zapytał księżę.

– Odpoczywamy.

– A potem?

– Potem pojedziemy do Veii. I będziemy dalej odpoczywać. No, przynajmniej ja.

– I?

Leochares położył się na ziemi, podłożył zwinięty płaszcz pod głowę.

– Nie wiem... – powiedział po chwili namysłu. – Chyba nic. Nie dowiedzieliśmy się niczego, co by mogło popchnąć nas dalej.

– Może Lethne sobie coś przypomniał.

– Może. Jeśli będziesz z nim rozmawiał, przekaż mu moje pozdrowienia.

– A ty nie... – księżę urwał w pół zdania. – Aha. Wracasz do domu?

– Tak się umawialiśmy.

Aranth zwinął zakrwawiony materiał w kulkę. Już było widać, że nos się

dobrze nie zrośnie, już zawsze będzie rozpląszczony, wgnieciony. Ale i tak miał szczęście, pomyślał Leochares. Mogło skończyć się gorzej, dużo gorzej.

– Myślisz, że Corvus mówił prawdę? – spytał Aranth. – Że Caile rzeczywiście przyszedł prosić o pokój?

– Nie wiem, po co miałby kłamać.

– Caile... On nie miał w zwyczaju prosić.

– Nie wątpię. To przychodzi razem z koroną. – Leochares uniósł się, wyciągnął spod pleców szyszkę, która go uwierała, cisnął ją w krzaki. – Widać uznał, że nie ma innego wyjścia... Że czas, żeby rozmawiać jak równy z równym już minął.

– Nigdy nie słyszałem, żeby o tym wspominał.

– Wcale mnie to nie dziwi. Król nie może być szczery nawet we własnym domu. To też przychodzi z koroną.

Aranth parsknął, uśmiechnął się lekko.

– Co? – spytał Leochares.

– Mówisz, jakbyś sam kiedyś jakąś nosił.

– Nie... Ale napatrzyłem się, jak to jest. Nie polecam.

– Całe szczęście chyba mi to nie grozi.

– Bo ja wiem. Przypominam, że jesteś księciem.

– No tak. – Etrusk skinął głową. – Łatwo o tym zapomnieć.

Leochares przymknął oczy, nie odpowiedział. Uznał, że jak Aranth będzie chciał pociągnąć ten wątek, to sam to zrobi. Najwyraźniej jednak nie chciał, bo szybko zmienił temat.

– Może Caile zobaczył to w znakach.

– Co takiego?

– Że przegramy. Że trzeba paktować.

– Myślę, że zobaczył to raczej pod Fidenae. – Leochares był tak zmęczony, że z trudem wymawiał słowa, miał wrażenie, że lepią się do siebie. – Dlatego oznaczał każdą rocznicę klęski. Żeby nie zapomnieć.

Zapadła cisza. Szumiały drzewa, gdzieś nieopodal śpiewały ptaki. Wojna nagle wydała się bardzo odległa.

– Słuchaj... – wymamrotał Leochares. – Zdrzemnę się chwilę. Staniesz na warcie?

– Pewnie.

– Obudź mnie, jak zrobi się ciemno.

Aranth coś odpowiedział, ale Leochares już go nie słyszał. Zasnął.

Leochares tonął. Próbował krzyknąć, ale woda wlała mu się do otwartych ust, zdusiła słowa. Bił rozpaczliwie rękoma o wodę, ale nie był w stanie utrzymać się na powierzchni, ciągnęło go w dół, jakby miał nogi z ołowiu. Rozglądał się, szukając na horyzoncie sylwetki łodzi, choćby kawałka drewna, którego mógłby się chwycić. Nic, idealna ciemność, czarna woda zlewała się z czarnym niebem.

Coś śliskiego otarło się o jego nogę. Leochares obejrzał się za siebie. W spienionej wodzie dojrzał obły kształt, lśniące łuski – i żółte oczy o pionowych źrenicach. Usłyszał wysoki, świdrujący syk, głośniejszy niż wycie wiatru. Wtedy zrozumiał. Wąż morski, *ketos*. Leochares próbował uciec, ale nie był w stanie wspiąć się na fale, prąd ścigał go pod powierzchnię. Wąż krążył wokół niego, przecinając bez trudu wzburzoną wodę, coraz bliżej i bliżej, aż zamknął go w kręgu swojego cielska. Na chwilę wszystko ucichło, Leochares słyszał tylko dudnienie własnego serca, rozsadzające pierś i głowę, paniczne *duDUM-duDUM-duDUM*. Nagle wąż wystrzelił spod wody, rozdziawił gigantyczną paszczę, połykając wszystko wokół. Leochares zniknął między szczękami, zobaczył, jak się za nim zamykają, odcinając światło, jak ząb zachodzi na ząb. Próbował łapać się żeber, zatrzymać, ale porwał go nurt, zepchnął głębiej. Leochares zniknął pod powierzchnią, stracił poczucie, gdzie jest góra, a gdzie dół. Uderzył w coś twardego, prawie stracił przytomność, kłuło go w płucach, pękała mu głowa.

Nagle spadł z dużej wysokości, jakby z wodospadu, i wszystko się uspokoilo. Wynurzył się na powierzchnię, zaczerpnął powietrza – i natychmiast się rozkaszłał. Wszędzie wokół unosiły się śnięte ryby, rozpadające się, gnijące, mięso odchodzące od ości, martwe zbielełe oczy. Bił od nich obezwładniający, gryzący smród, nie mógł oddychać, dusił się, paliło go w przełyku, wyżerało mu oczy...

Leochares obudził się, zerwał z ziemi. Dyszał, ubranie miał mokre od potu. Bogowie, pomyślał, co za okropny sen. Rozejrzał się. Słońce chyliło się ku zachodowi. Aranth, który miał stać na warcie, spał oparty o drzewo, z rozdziawioną oślinioną gębą, chrapał. W pierwszym odruchu Leochares chciał go obudzić i opieprzyć, że po pierwsze na warcie się stoi, a nie siedzi, a po drugie się nie śpi, ale szybko zmienił zdanie. A niech sobie śpi, pomyślał, co to teraz zmieni. Wyruszą, jak tylko zapadnie zmrok, przed świtem dotrą do Veii. I będzie po wszystkim. Leochares usiadł, zaczął zwijać płaszcz, który posłużył mu za koc – jedną ręką. Drugą, ciasno owiniętą bandażem, ledwie czuł. Zagoi się, pomyślał. Zawsze się goiło.

I wtedy poczuł zapach ze swojego snu. Gnijące ryby, glony, słona woda. Przyłożył płaszcz do twarzy, wziął głęboki oddech. Tak, nie ma mowy o pomyłce. Dziwne, pomyślał, krzywiąc się. Przecież nie byłem nad morzem od wyjazdu z Tarentu. Chyba że to ten sos, którym raczył się Corvus, ten rzymski przysmak. Musiał nim przesiąknąć, kiedy byli w namiocie. Trzeba go będzie uprać albo najlepiej wyrzucić.

Nagle go zmroziło; płaszcz wyslizgnął się spomiędzy palców, opadł na ziemię jak kurtyna. Leochares stał dłuższą chwilę bez ruchu. Nagle wszystko zrozumiał, wszystkie elementy złożyły się w całość. Czasem w takich chwilach czuł euforię, satysfakcję. Teraz był tylko na siebie wściekły. Powinien był się od razu domyślić. To było oczywiste. Dał sobie zamydlić oczy. Spojrzał na Arantha. Wypadało go obudzić, wszystko mu powiedzieć. A potem jak najszybciej wracać do domu. Dostał już swoje pieniądze. Sprawy potoczą się same, już bez jego udziału. I najpewniej bez szczęśliwego zakończenia.

Chyba, że się mylił. Że wydarzenia i rozmowy z kilkunastu ostatnich dni ułożyły się w logiczny ciąg przez przypadek. Mało prawdopodobne, ale możliwe. I łatwe do sprawdzenia. Wystarczy wrócić do Veii, zajrzeć w jedno miejsce, zadać kilka pytań. Wszystko będzie jasne.

Leochares chodził w kółko, skubiąc nerwowo brodę. Z jednej strony – nie jego sprawa. Z drugiej – wiedział, że jeśli nie doprowadzi tego śledztwa do końca, nie postawi kropki na końcu zdania, nie dojdzie do omegi, będzie go to męczyło do końca życia. Poza tym, choć nie potrafił tego przed sobą przyznać, chciał jeszcze spojrzeć w oczy mordercy. Zobaczyć w nich strach wymieszany z podziwem.

Spakował się. Po cichu. Aranth będzie tylko przeszkadzał, pomyślał, związując torbę. Jeśli mu powiem, kogo podejrzewam, nie uwierzy, będzie protestował. Jeśli nie powiem, nie będzie wiedział, co się szykuje, i może niechcący pokrzyżować plany, wejść pod nogi. Jeśli będzie nieuważny, może nawet zginąć.

Wyskrobał na glinianej skorupie liścik. Krótki i treściwy, zresztą nie potrafił pisać inaczej. Spotkamy się jutro. Tu i tu. Z nikim nie rozmawiaj. Z nikim – bez wyjątku.

Zaszło słońce. Ruszył w stronę miasta.

Dotarł do Veii około północy. Ledwo trzymał się na nogach; rwało go w biodrze, trawiła gorączka. Całe szczęście jeden z etruskich strażników go rozpoznał i otworzył bramę. Coś jeszcze do niego mówił, ale Leochares wzruszył tylko ramionami. Ulice były opustoszałe, z żadnego domu nie sączyło się światło. Z początku Leochares myślał, że Velthur z jakiegoś powodu wyprowadził ludzi z miasta, tak jak kiedyś Temistokles z Aten[36] – ale po chwili usłyszał dochodzący od strony sanktuarium znajomy pisk fletów i chóralny śpiew. Czyli świętują, powiedział sobie w myślach, dobrze. To znaczy, że są zajęci grzebaniem we flakach i tańcowaniem na golasa wokół ogniska, nie będą przeszkadzać.

Ruszył w stronę królewskiego domu. Rozglądał się nerwowo na boki; całe szczęście nigdzie nie było widać dziewczyny w jarzębinowych koralach. Stanął przed masywnymi drzwiami, zastukał mosiężną kołatką. Szczęknęła zasuwa, w progu pojawił się stary odźwierny.

– Dobry wieczór – powiedział Leochares, po czym odepchnął go na bok. Starzec osunął się na ścianę, upadł na ziemię. Leochares poszedł do skrzydła, gdzie mieszkali niewolnicy. Tu ściany nie były już pomalowane w jaskrawe barwy, podłoga nie była wyłożona kamiennymi płytami; tylko gołe cegły i ubita ziemia. Wszedł do pierwszego pokoju; sami mężczyźni, spali na podłodze. Wyszedł po cichu, żeby ich nie budzić. W następnym pokoju było kilka kobiet, ale nie widział wśród nich tej, której szukał. Znalazł ją dopiero na końcu korytarza, w małej sypialni szerokiej na trzy stopy. Klęknął przy sienniku, potrząsnął ją za ramię.

– Agathe... – wyszeptał. – Agathe, wstawaj!

Stara niewolnica mruknęła, uchyliła powieki, a kiedy zobaczyła jego twarz – krzyknęła. No, tak, pomyślał Leochares, można się przestraszyć.

– Ciiiiicho! – syknął.

– Leochares...? Co ty tu robisz? W środku nocy?

Nie odpowiedział; długo by mówić. Zamiast tego sam zadał pytanie.

– Czym śmierdział płaszcz?

– Że co?

– Płaszcz Caile. Mówiłaś, że musiałaś go uprać, bo śmierdział. Czym?

– Poważnie? – Agathe przetarła oczy. – Budzisz mnie w środku nocy, żeby o to pytać?

– Jak widać. No mów. Czym?

– Ech, wariat z ciebie... No, jakby... No nie wiem. Jakby rybą?

– Dzięki. – Leochares zerwał się, wyszedł.

– Ale o co chodzi? – usłyszał jeszcze za plecami.

– Niedługo się dowiesz. Wszyscy się dowiedzą.

Leochares zamknął za sobą drzwi. Wyglądało na to, że miał rację. Zapach rzymskiej przyprawy, którym przesiąkły ubrania. Dość, żeby zorientować się, że Caile nie był na polowaniu. Może nawet dość, żeby odgadnąć, z kim tak naprawdę się spotkał – i po co.

Leochares przeszedł przez dziedziniec, prosto do wewnętrznego ogrodu. Powtarzał w myślach słowa Lethne, w kółko, bez przerwy, aż zaczęły gubić swój sens. Zobaczyłem Rasce przy tylnych drzwiach w ogrodzie. Poszedłem spytać, o co chodzi. Uderzył mnie, upadłem na ziemię. Ocknąłem się, słysząc krzyk. Drzwi były uchylone. Caile już nie żył. Zobaczyłem, poszedłem, uderzył, upadłem, ocknąłem, uchylone. Nie żył.

Leochares stanął przy drzwiach prowadzących na ulicę. Pchnął je. Ani drgnęły. Pociągnął – od razu ustąpiły. Otwierały się do środka. Tak, jak myślał. Rozejrzał się wokół, szukał czegoś dużego, czegoś wielkości postawnego mężczyzny. Pod murem leżał worek z ziemią. Leochares przeciągnął go pod drzwi, niszcząc kwiaty, rzucił na próg. Znow pociągnął za drzwi. Uchyliły się na szerokość palca, uderzyły o worek, zatrzymały się.

Szarpnął znów, z całej siły, głucho uderzenie, worek nawet się nie przesunął.

Lethne mógł kłamać. Mógł coś źle zapamiętać. Ale mógł też powiedzieć prawdę. A jeśli tak było, to tej nocy, kiedy zginął Caile, nikt nie wszedł do środka przez drzwi w ogrodzie. Nie mógł, bo na progu leżało ciało nieprzytomnego przybocznego – drzwi ledwie dały się uchylić, a przez taką szparę nikt by się nie przecisnął. Rasce nie wpuścił zabójcy, on był już w środku. Rasce poszedł do drzwi, żeby zmylić pościg. I mu się udało. Ulubiony niewolnik. Wolał zginąć, niż zdradzić tajemnicę.

Jeszcze jedno, pomyślał gorączkowo Leochares. Ostatnia rzecz, którą trzeba sprawdzić. Otarł gorące czoło z potu, wziął głęboki oddech. Wrócił do domu, wszedł w pierwsze drzwi – do łazienki. W środku było ciemno, ale to nie szkodzi, dobrze pamiętał, jak wyglądał ten pokój. Na środku wanna odlana z brązu; czuł w powietrzu jej metaliczny zapach. Wielokrotnie zmywane, ale wciąż widoczne ślady krwi na ścianach. Stoliczek, na którym leżały przybory. W tym brzytwa. Leochares wziął ją do ręki.

Głupi błąd, pomyślał ze złością, wstyd. Gdyby Caile ogolił się rano, przed opuszczeniem miasta, tak jak na początku założył, na masce pośmiertnej widać byłoby już odrastający zarost, w końcu minął cały dzień. Tymczasem skóra martwego króla była w chwili śmierci idealnie gładka, czyli golił się dosłownie na chwilę przed tym, jak poderżnięto mu gardło. Albo raczej, golono go na chwilę przed tym, ciężko to robić samemu na leżąco, w wodzie, bez lustra. Brzytwę trzymał pewnie kto inny. Morderca. Powinien był od razu...

Nierówne kroki.

Leochares obrócił się, ale za wolno, za późno. Ktoś go pchnął. Uderzył piersią o krawędź wanny; wypuścił powietrze jak ściśnięty nagle miech, upadł na kolana. Machnął na odlew brzytwą, chybił. Nie widział, kto za nim stoi. Było ciemno i nie miał czasu się przyglądać. Złapał się lewą ręką krawędzi wanny, próbował się podciągnąć, ale zdrętwiała dłoń odmówiła mu posłuszeństwa. Nie tak, zdążył jeszcze pomyśleć, osuwając się na podłogę. Nie w taki sposób. Tak głupio. I na własne życzenie.

Nagle poczuł przeszywający ból w plecach. Za chwilę w środku. Coś ostrego przebiło skórę, mięśnie, weszło między kości, rozerwało go. Zaczął wrzeszczeć, ale szybko przestał; usta wypełniła parząca krew. Sto myśli

naraz, cierpienie, strach, zimno.

A potem nie było już nic.

Lamia strzepnęła mokre prześcieradło, zawiesiła je na sznurze przeciągniętym na skos przez podwórko. Sięgnęła do kosza, wyciągnęła himation Leocharesa. Przeszło miesiąc leżał na dnie skrzyni, brudny i przeпоcony, uprała go dopiero wczoraj. Jakoś nie potrafiła się do niego zabrać. Mówiła sobie, że to dlatego, że dużo z nim będzie roboty, że trzeba go będzie długo szorować. Plamy po winie oczywiście i tak nie zeszły. Nie szkodzi, pomyślała. Jak tylko wróci, zaraz się znowu zaleje.

Rozwiesiła resztę prania. Wróciła do środka; uderzył ją smród zgnilizny, grzyba. Dom zawsze tak śmierdział po deszczu, ile by nie wietrzyła i nie sprzątała. Podeszła do paleniska. Węgielki całe szczęście jeszcze nie wygasły; dmuchnęła kilka razy i zaczęły się żarzyć. Dorzuciła kilka gałązek, zapachniało dymem i żywicą. Zaczęła przygotowywać kolację. Skromną. Pieniądze, które Leochares zostawił przed wyjazdem, powoli się kończyły – a przynajmniej tak mówił Exekias, który miał się opiekować Lamią i Teodorosem pod jego nieobecność. Lamia podejrzewała, że na każdą drachmę, którą dostawała, dwie odkładał do własnej sakiewki. Nie miała się komu poskarżyć. Brała co dawał, gnąc się w ukłonach.

Ktoś zapukał. Lamia podeszła do drzwi, przyłożyła oko do szpary między deskami. Jakiś mężczyzna. Bogato ubrany. Obcy. Nie powinna mu otwierać. Wiadomo, kto tak robi. Bezwstydnice. Dziwki. Sama miała gdzieś, co ludzie powiedzą, idealną żoną nigdy nie była i nie będzie, ale nie chciała przysparzać kłopotów Teodorosowi. Chłopiec i tak coraz częściej wracał do domu zapłakany, powtarzał przezwiska, jakie usłyszał na ulicy. Przybłąda. Brudas. Ojciec go zostawił.

– Jest tam kto? – zapytał męski głos. Wysoki, młody. Z lekkim akcentem.
– Hop, hop?

– Proszę odejść – wyszeptała. – Męża nie ma.

Chwila ciszy. Słysząc było bulgotanie wody w kociołku, bzyczenie tłustych much.

– Wiem – odpowiedział w końcu mężczyzna. – Niech pani otworzy.

Lamia uchyliła drzwi. Nieznajomy był ubrany w kolorową, wręcz pstrokatą tunikę. Był przystojny, jeśli nie zwracać uwagi na brzydki złamany nos. Za nim stał wóz, na który leżał jakiś podłużny pakunek, owinięty ciasno białym płótnem i związany sznurem. Rozmiaru człowieka. Kształtu człowieka.

Doktor De Luca wszedł na krzesło. Musiało mieć nierówne nogi, bo kolebało się na wszystkie strony. De Luca nie zważał na to; stanął na palcach i zaczął po omacku szukać czegoś na zawalonej papierami szafie. Podniósł jakąś książkę, sprawdził tytuł, po czym cisnął ją na bok. Przesunął krzywą wieżę z teczek z kserówkami, jakimś cudem się nie przewróciła; widać takie konstrukcje były narodową specjalnością. Rzucił pusty kubek po jogurcie do kosza; nie trafił.

Wreszcie znalazł to, czego szukał: opasłe tomiszczce z okładką obszytą kremowym płótnem. Schodząc, omal nie zrzucił oprawionej w ramę koszulki Maradony. Nawet nie zwrócił na to uwagi. Położył książkę na stole – z takim impetem, że aż podskoczył stojący na blacie kubek z ołówkami – i zaczął przerzucać poźółkle strony. Indziej zakreśliło się w nosie od kurzu. Same zdjęcia. Jakiś album. Na oko wydany w latach trzydziestych zeszłego wieku.

– Gdzie to jest, gdzie to jest... – mamrotał pod nosem De Luca.

– Gdybyś powiedział, czego szukasz, mogłybyśmy pomóc.

– Chwileczkę, drogie panie. Chwileczkę! – Inga знаła ten ton. Tak właśnie brzmiał jej ojciec, kiedy mówił, że wcale, ale to wcale się nie denerwuje. Dobrze wiedziała, że lepiej wtedy nie ciągnąć tematu. Kolejne strony migały jak w kalejdoskopie. Zardzewiałe klucze. Zardzewiałe gwoździe. Zardzewiałe narzędzia.

– O, o! Patrzcie! – krzyknął De Luca. – Tu!

Inga i profesor Belmont pochyliły się nad czarno-białym ziarnistym zdjęciem. Przedstawiało coś na kształt długiego gwoźdźca czy może szpikulca. Spojrzały po sobie, potem na De Lucę.

– I...? – zaczęła Ava.

– Drogie panie... Trochę wyobraźni!

De Luca zasłonił dłonią zdjęcie. Spod palców wystawał sam czubek żelaznego przedmiotu. Wyglądał identycznie jak kawałek metalu tkwiący między żebrami *Uomo Misterioso*.

– Co... Co to jest? – wydusiła z siebie Inga.

– Okucie końcówki laski – odparł De Luca z triumfalnym uśmiechem. – Znalezione w Cerveteri. Z grubsza ten sam region, ten sam okres. To musi być to.

– Jesteś pewien? – Profesor Bellmont nie była do końca przekonana. – Zginać od laski... Brzmi trochę jak dowcip.

– Ale jest jak najbardziej możliwe. Proszę zobaczyć... Szpic był ostry jak grot włóczni. Tylko kształt miał nieco inny. Okucie laski... – De Luca wziął do ręki kartkę, zwinął ją w rulon... – jest stożkowate. A grot włóczni... – ciągnął, ściskając papier – ...jest bardziej spłaszczony i ma ostre krawędzie.

– Rzeczywiście... – Inga pokręciła z niedowierzaniem głową. – Niesamowite ma pan oko do szczegółu.

– Geny! Widzą panie, pochodzę z rodziny złotników. Ojciec, dziadek, pradziadek... Tradycja kilku pokoleń wstecz.

– Mhm, mhm. Ale jak w ogóle do tego doszło?

– Że wszyscy byli złotnikami?

– Nie. Że *Uomo Misterioso* zginał od laski.

– No, tej tajemnicy – powiedział po chwili De Luca, zamykając zamaszystym ruchem zakurzony album – to już chyba nie rozwiążemy.

– Nazywam się Aranth. – Mężczyzna uklonił się lekko. – Ja... Ja zatrudniłem pani męża. Zabrałem go do Veii.

Lamia nic nie mówiła. Powinna była zachować resztki godności: odwrócić głowę, spuścić wzrok. Zamiast tego wpatrywała się w leżące na wozie ciało.

- Bardzo mi przykro – powiedział Aranth.
- Jak... Jak to się stało?
- Został zamordowany. W tym samym miejscu, co nasz król.
- Przez kogo?
- Nie wiadomo. Ale...

Lamia minęła go, podeszła do wozu. Dotknęła ciała. W kilku miejscach spod białego płótna przebijały czerwone plamy. Przypomniała sobie słowa, którymi go pożegnała. Ty zawsze spadasz na cztery łapy. Łzy napłynęły jej do oczu. Leochares był jej mężem dwanaście lat. Z tego jakieś cztery żyli we względnej zgodzie, resztę albo wśród krzyków, albo w dzwoniącym w uszach milczeniu. Już dawno temu przestała go kochać. Ale nigdy, przenigdy nie życzyła mu takiego losu.

– Bardzo mi przykro – powtórzył Etrusk, tak jakby to cokolwiek zmieniało. – Leochares... Zrobił więcej, niż go prosiłem. W imieniu Seianti, wdowy po Caile, i jego następcy, Velthura, chcę przekazać pani te pieniądze. To powinno starczyć, żeby...

– Proszę już jechać – wydusiła Lamia.

Aranth wyciągnął rękę z sakiewką. Stał tak dłuższą chwilę, czekając. W końcu położył pieniądze na ziemi.

- On był dobrym człowiekiem – powiedział jeszcze na odchodne.
- Nieprawda – powiedziała cicho Lamia. – Ale zły też nie był.

Samolot do Londynu odlatywał o 6.55 rano następnego dnia. Inga i profesor Belmont postanowiły spędzić ostatni wieczór w Tarencie w towarzystwie doktora De Luki. Było co świętować. Poszli do knajpki z widokiem na *Mare Piccolo*. Wszyscy zamówili pizze. Bez owoców morza.

Rozmowę prowadzili głównie doktor De Luca i Inga. On opowiedział, jak prawie, prawie został piłkarzem, ale marzenia przekreśliła paskudna kontuzja kolana. Ona – o tym, jak po pierwszych wakacjach w Rzymie zraziła się do Włoch na długie lata,

i jak zakochała się w nich, kiedy pojechała do Neapolu na wykopaliska. Profesor Belmont odzywała się rzadko; wydawała się pogrążona w myślach.

Na deser wzięli tiramisu. Z trzeszczących głośników leciał nieśmiertelny przebój *I Santo California*, Tornero. *Com'e possibile, un anno senza te... Un anno non e un secolo*^[37]!

– Możesz poprosić kelnera, żeby puścił inny kawałek? – odezwała się nagle profesor Belmont.

– Eee... Pewnie. – De Luca podniósł rękę. – Jaki?

– Jakikolwiek.

Puścili Erosa Ramazottiego. De Luca ciężko westchnął. Profesor Belmont w milczeniu dojadła rozmoczone tiramisu.

– To jak myślicie... – Inga postanowiła przerwać niezręczną ciszę. – Kim właściwie był *Uomo Misterioso*? Jaka była jego historia?

– Już o tym rozmawialiśmy. – Ava upiła łyk wina. Miała od niego lekko czerwone zęby. – Ustaliliśmy tyle, ile się dało. Rzemieślnik, który lubił się boksować i bywał na wojnach. Pewnie z Aten. Pewnie nazywał się Leochares. Zabito go laską. Ot, tyle.

– To teraz pozgadujmy. Wiem, że to nieprofesjonalne... Ale nie jesteśmy na sali wykładowej, tylko w knajpie. I wypiliśmy dwie karafki wina.

– Ja jestem za! – De Luca zatarł ręce. – Zaczynaj!

– Hm... – Inga się zamyśliła. – Według mnie to było tak. Młody Leochares terminował w Atenach u złotnika. Pewnego razu pojechali do Olimpii pomóc Fidiaszowi w złożeniu rzeźby Zeusa...

– Ho, ho.

– ...czekajcie, dopiero się rozkręcam. W przerwie Leochares poszedł obejrzeć trening bokserów. Tak mu się spodobało, że postanowił sam spróbować... I okazało się, że ma do tego smykałkę. Rok później wystartował na olimpiadzie i zgarnął wieniec za pierwsze miejsce. Niestety, jak to wśród słynnych sportowców bywa... – Inga uniosła umazaną czekoladą łyżkę – ...uderzyła mu do głowy woda sodowa.

– Jak Maradonie... – westchnął ciężko De Luca.

– Mniej więcej. Tyle że zamiast wciągać kilogramami kokainę, uwiódł córkę jakiegoś wpływowego polityka. Zrobiła się z tego afera i musiał uciekać.

– Do Tarentu?

– Nie, powoli. Najpierw do Azji Mniejszej, powiedzmy do Miletu albo do Efezu. Tam został najemnikiem. Wszystko szło pięknie... Aż któregoś razu został ranny i pojmany. Sprzedano go w niewolę i zesłano do kopalni.

– No tak, stąd ołów w kościach. I co dalej?

– Uciekł, oczywiście. Na drugi koniec świata. Tutaj. Niestety, przez problemy z biodrem musiał zrezygnować z wojaczki. Zaczął chodzić o lasce.

– A z czego żył? – spytała profesor Bellmont.

– Trenował bokerską sekcję młodzików w miejscowym gimnazjum – rzuciła Inga bez wahania. – Miał paru zdolnych uczniów... W jednym się zakochał. Mieli romans, ale potem Leochares go rzucił. Chłopak oszalał z zazdrości. Zaczął za nim wszędzie chodzić. Wystawać pod jego domem.

– Słowem, stalker – podsumował De Luca.

– Dokładnie. W końcu któregoś razu ten chłopak rzucił się na niego z nożem i ciął go w rękę. Wdało się zakażenie, Leochares był przykuty do łóżka. Wszyscy myśleli, że na tym się skończy... – Inga efektownie zawiesiła głos – ...ale młodzieniec o złamanym sercu wdarł się nocą do jego domu. Mimo gorączki Leochares wstał sprawdzić, co się dzieje. Potknął się, upadł na kolana. Wtedy wzgardzony kochanek zaszedł go od tyłu... I zabił jego własną laską!

– O matko, jaki melodramat! – roześmiał się De Luca. – A myślałem, że włoskie telenowele są przekombinowane. Jeszcze tylko brakuje złego brata bliźniaka.

– Mhm... – profesor Bellmont wypila ostatni łyk wina, puściła do niej oko. – Pisarki to z ciebie nie będzie.

- No, to teraz twoja kolej, Ava. Kim był Leochares?
- Ja się nie bawię.
- No nie, tak nie można!
- Można, można. Pas.
- Niech będzie... W takim razie przekazuję pałeczkę doktorowi De Luce.
- Hm, hm, hm. – Włoch podrapał się po brodzie, zadumał się. – Moim zdaniem zaczęło się od tego, że był szpiegiem. Na usługach Peryklesa.
- Proszę! I to ja mam skłonność do przesady?
- No co? Pomyślcie tylko...
- Może innym razem – profesor Bellmont weszła mu w słowo. – Robi się późno, a my musimy jutro wstać o czwartej rano. Poprośmy lepiej o rachunek, dobrze?
- Ech... No dobrze. *Il conto, per favore!* – doktor De Luca zawołał kelnera. – Ale mówię wam, że mam rację.
- Prędzej uwierzę, że kosmici zbudowali piramidy – powiedziała Inga, wstając od stołu.

Lamia postawiła mu solidny nagrobek, taki, co postoi długie lata. Prostokątna wapienna płyta, na której kazała wyryć po prostu „Leochares, syn Apellesa”. Nic więcej nie trzeba. Na pogrzeb przyszło kilka osób – mężczyźni, z którymi handlował, i ci, z którymi pił. Powiedzieli parę banałów, złożyli kondolencje i poszli. Żaden nie uronił łzy.

Lamia złożyła do grobu narzędzia złotnicze. Exekias przekonywał, żeby tego nie robiła, że mogą je jeszcze sprzedać za parę drachm, a teraz każde pieniądze potrzebne, kto wie, jak długo przyjdzie jej się z nich utrzymać. Odmówiła. Leochares tyle przeszedł, żeby je zatrzymać, niech ma. Może się przydadzą po drugiej stronie. Kupiła jeszcze kilka lekytów – do portu zawiął akurat ateński statek, mieli ich trochę ze sobą, na wypadek, gdyby w trakcie rejsu umarł ktoś z załogi, zgodzili się parę odstąpić. Wypełniła je

perfumami z różanych płatków, używała kiedyś takich, Leochares lubił ten zapach. Nie zdobyła się na to, żeby umyć jego ciało. Bała się, co zobaczy, gdy odwinie płótno.

Exekias przyklepał świeżo rozkopaną ziemię, odłożył szpadel. Nana stała z tyłu, ze spuszczoną głową, milcząca. Lamia podeszła do płyty grobowej, przewiązała ją kolorowymi wstążkami; trzepotały na wietrze jak rozpuszczone włosy. Tam, gdzie była głowa, uląła wina, tego z Chios, zostało go trochę na dnie amfory. Potem podeszła do Teodorosa. Miał mokre policzki. Kucnęła obok niego, otarła mu oczy, pocałowała w czoło.

– Tśś, synku. Tśś.

– Tata naprawdę nie żyje?

– Naprawdę.

– Ale... Dlaczego? Dlaczego, mamo?

– Nie wiem. – Lamia przytuliła go do piersi. Nie chciała, żeby patrzył, jak płacze. – Tak się stało i już.

– I gdzie on teraz jest?

– Pod ziemią. Taki pan przewiózł go łódką na drugi brzeg wielkiej rzeki... Do takiej jakby jaskini.

– Możemy go tam czasem odwiedzić?

– Obawiam się, że nie. To bardzo daleko, wiesz?

Teodoros zrobił poważną minę, kiwnął głową, pociągnął nosem.

– Mamo... To prawda, że tatę ktoś zabił?

– Prawda.

– A kto?

Lamia westchnęła, otarła synowi nos.

– Nie wiadomo, Teo. Nie wiadomo.

Inga kliknęła klawisz „odśwież”. Po raz drugi, trzeci, czwarty. Ciągle nic. Spojrzała na zegarek; w Stanach już parę minut temu wybiła północ. Sprawdziła połączenie internetowe. Niby wszystko

w porządku. Weszła na inny adres, żeby upewnić się, czy rzeczywiście. Wszystko się załadowało, jak trzeba. Zamknęła nową zakładkę, wcisnęła „odśwież” raz jeszcze. Strasznie ssało ją w żołądku, mimo że dopiero co jadła.

Na ekranie pojawiło się kółeczko. Wiekowy laptop wył i buczał, ładując od początku całą stronę. Choć było to całkowicie irracjonalne, Inga zaczynała mieć wyrzuty sumienia, że zmusza swojego peceta do takiego wysiłku. Tak jakby kazała emerytowi z astmą robić przysiady.

Pierwszy wczytał się główny banner. Marmurowa rzeźba kobiety z ułamaną włócznią w dłoni, obok napis: *American Journal of Archaeology*. Inga wstrzymała oddech. Niżej powinien zaraz się pojawić spis treści najnowszego numeru.

– No dalej, do cholery – mruknęła pod nosem. – Od pięciu minut jest już grudzień, więc dawajcie wydanie grudniowe. Proszę, proszę, proszę.

Laptop zawył jeszcze głośniejszym głosem; powietrze wypluwane przez wiatraczek aż parzyło. *Stoi i sapie, dyszy i dmucha, żar z rozgrzanego jej brzucha bucha*^[38], pomyślała Inga, zdejmując komputer z kolan. No dalej, staruszkule, dasz radę.

Wreszcie pojawił się spis treści. Grudniowy. Inga najechała myszką, kliknęła. Zacisnęła kciuki, przestała mrugać, przygryzła dolną wargę. Pojawiła się miniatura okładki: niebieskie tło, zdjęcie ludzkiej czaszki. Poczuli się, jakby zobaczyła starego znajomego.

Otworzyła pierwszy artykuł: „Tajemniczy mężczyzna z Tarentu”. Pod tytułem była lista autorów. Szczęsny, Inga Ewa, Belmont, Ava Hannah, De Luca, Roberto Giacompo, Mancini, Mario Pietro, i jeszcze ten konserwator, który zrobił wstępne badania kości, Augero, Davide Macuto. Inga wybiegła z pokoju. Gdyby przesunęła kursor nieco niżej, komputer wyświetliłby jeszcze krótkie zdanie napisane kursywą: *Pamięci Eleanor Belmont, 1985–2014*.

– Już jest! – krzyknęła Inga, wpadając do salonu. Salman i George oglądali jakiś mecz. Liga Mistrzów, Liga Europejska czy inna Liga Mistrzów Europy.

– Artykuł? – Salman wyłączył dźwięk.

– A co innego? Artykuł! I nasze zdjęcie jest na okładce!

– Nooo, dziewczyno! – George wstał z kanapy, otrzepał ręce z okruszków po czipsach. – To idziemy na miasto.

– Nie no, poczekajmy, aż się mecz skończy...

– Nie ma mowy. Włóż tylko coś bardziej wyjściowego niż ten dres i się zbieramy.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale! Raz, raz!

Inga włożyła różowe baleriny i czarno-białą sukienkę w grochy. Nie chciało jej się układać włosów, więc spięła je w kucyk gumką. Zaczęła się malować – nie miała w planach nic wielkiego, ot, nałożyć pomadkę na usta, pociągnąć rzęsy tuszem – ale tak jej drżały ręce, że zrezygnowała. Mimo wszystko jednak lepiej wyjść bez makijażu niż bez oka. George włożył tweedową marynarkę z łatami na łokciach, Salman rozpinany szary sweter i wąski krawat.

– Wyglądacie zjawiskowo, chłopcy. Jak z okładki „Gentlemen’s Quarterly”.

– Albo „Men’s Health”?

– Hola, hola, bez przesady. To dokąd idziemy? Ja bym coś zjadła.

– To może pojedźmy na Brick Lane? – zaproponował Salman. – Mój kuzyn otworzył tam niedawno knajpę. Jedzenie jest niezłe, zwłaszcza że...

– A da nam zniżkę? – wciął się George.

– No, jak ładnie poproszę, to da.

– To jedziemy.

Zeszli po schodach, dopinając kurtki. Niby termometr pokazywał kilka stopni na plusie, ale było mokro i wiało, wilgoć przenikała do szpiku kości. Typowa angielska zima. Wyszli na ulicę, minęli skrzynkę na listy. Coś było w środku.

– Poczekajcie chwilę... – Inga zaczęła szukać w torbie kluczyka do skrzynki, upewniwszy się wcześniej, że stoi w bezpiecznej odległości od przekłętej kratki ściekowej. Lepiej nie ryzykować. Z pubu po drugiej

stronie ulicy dobiegł ich chóralny okrzyk radości.

- O, Chelsea musiało strzelić – powiedział Salman.
- A widzisz? Mówiłem.
- Mówiłeś też, że Brazylia wygra mistrzostwa świata.
- No bo by wygrali, gdyby Neymar nie połamiał się przed finałem.
- Pfff. Proszę.

Inga przestała ich słuchać, otworzyła skrzynkę, wyciągnęła list. Zaadresowany do niej. Koperta w kolorze écru, amerykański znaczek. Sekwoja Uniwersytetu Stanforda.

- Jak tam? Coś ciekawego? – spytał Salman.
- Mhm.
- Powiesz coś więcej?
- Tak. – Inga schowała list do torby. – Ja stawiam.

Warszawa, X 2014–VI 2015

Postówie

Na samym początku moich studiów, w 2005 roku, dostałem do napisania esej o roli waz w obrządku pogrzebowym starożytnych Greków. Szukając materiałów do tej pracy, natknąłem się na naczynie z przedstawieniem toczącego kamień Syzyfa. Często potem wracałem do niego myślami. Czemu ktoś złożył do grobu taki dar? Co musiał zrobić zmarły, żeby sobie nań zasłużyć? Nauka niestety nie potrafi jednoznacznie odpowiedzieć na te pytania – za to wyobraźnia podpowiada wiele możliwych scenariuszy. Jeden z nich przedstawiłem Państwu w tej książce.

Zastanawiają się Państwo być może, co jeszcze w tej opowieści było faktem, a co fikcją, należałoby więc rozwiać te wątpliwości. Wszystkie postaci oraz ich losy zostały przeze mnie wymyślone – ale ich kulturę, życie codzienne i duchowość rekonstruowałem na podstawie odkryć archeologicznych i źródeł pisanych.

Rytualny mord przeprowadzony przez Phersu został przedstawiony na freskach z Grobowca Augurów w Tarquinii. O fatalizmie Etrusków wspomina Seneka, o ich obyczajowości pisze, z pewną przesadą co prawda, Teopomp z Chios, Arystoteles z kolei napomyka o etruskim zamięłowaniu do fletów. Pojedyncze słowa z ich obco brzmiącego języka znamy z zachowanych nagrobków i inskrypcji religijnych, ich zamięłowanie do jaskrawych ubrań i butów z zawiniętymi noskami – z licznych malowideł. Etruskowie rzeczywiście odczytywali przyszłość z baranich wątrób, lotu ptaków i przecinających niebo piorunów. Choć trudno w to czasem uwierzyć, ten przedziwny świat istniał naprawdę. Zgodnie z obawami króla Caile, położyli mu w końcu kres Rzymianie. Veii zostało przez nich ostatecznie podbite niedługo po zakończeniu akcji powieści, w 396 roku p.n.e. Pozostałe etruskie miasta zostały wchłonięte niedługo potem.

Postać Seianti jest inspirowana etruskim sarkofagiem z II w. p.n.e. ze zbiorów British Museum, w którym pochowano arystokratkę o imieniu Seianti Hanunia Tlesnasa. Analiza jej kości wykazała, że musiała cierpieć z powodu doznanego za młodu urazu biodra. Prawdopodobnie została przygnieciona przez konia.

Bohaterowie współczesnej części książki również są fikcyjni. Ale na zapleczu Pitt Rivers Museum w Oxfordzie rzeczywiście odbywają się bardzo ciekawe zajęcia z antropologii fizycznej.

Podziękowania

Skończyłem pisać tę książkę na trzy tygodnie przed umówionym z Wydawcą terminem. Maja Zabawska, Marta Grabiec, Bartek Rynarzewski, Magda Milewska, Natalia Pawłowska, Krzysztof Pawłowski, Zdzisław Książek, Krzysztof Szamałek, Grażyna Szamałek, Andrzej Nowojewski, Lene Phuong Nguyen i Magda Zych w ciągu zaledwie kilku dni zdążyli ją nie tylko przeczytać, ale też przesłać mi wnikliwe uwagi i komentarze, dzięki którym mogłem na samym finiszu wyeliminować jeszcze sporo nielogiczności, niedopowiedzeń i rozmaitych językowych potknięć. Bardzo, bardzo gorąco Wam dziękuję. Jesteście wspaniali.

Na osobne podziękowania zasługuje niezastąpiona Marysia Pawłowska, bez której wsparcia nigdy nie napisałbym tej książki. Dziękuję za wszystkie rady, dyskusje, pochwały – ale też krytyczne spojrzenie na moją pracę.

Pracowałem sporo w podróży, dziękuję więc też kawiarniom, w których przesiadywałem długie godziny z laptopem, i nikt mnie z nich nie przeganiał – zwłaszcza kawiarni Bona w Krakowie! Kłaniam się też nisko PKP za gniazdko elektryczne w wagonach Pendolino. Gdyby nie one, nigdy bym się nie wyrobił w terminie.

Ponadto dziękuję gorąco wydawnictwu Muza za przygotowanie książki do druku – a zwłaszcza pani Małgorzacie Burakiewicz.

Na końcu chciałbym podziękować też Państwu – Czytelnikom i Czytelniczkom. To dzięki Wam mogłem opowiedzieć historię Leocharesa od alfy aż po omegę.

- [1] Himation – wierzchnie okrycie, noszone zarówno przez mężczyzn, jak i kobiety.
- [2] Tarent – greckie miasto na południu Włoch, założone w 706 r. p.n.e. Na jego miejscu stoi dziś miasto o tej samej nazwie.
- [3] Styks – w mitologii greckiej rzeka, przez którą trzeba było się przepłynąć, aby dotrzeć do krainy zmarłych.
- [4] Grecki system monetarny: 1 mina = 100 drachm = 600 oboli. Dzienna stawka niewykwalifikowanego robotnika wynosiła około trzech oboli.
- [5] Archont – wysoki urzędnik greckiego miasta-państwa.
- [6] Pantikapajon – grecka osada położona na Krymie, dzisiejszy Kercz.
- [7] Agora – główny rynek greckich osad, centrum polityczne, towarzyskie i handlowe.
- [8] Logograf – osoba pisząca odpłatnie mowy sądowe.
- [9] Stadion – grecka jednostka długości, równa około dwustu metrom.
- [10] Chiton – rodzaj wełnianej koszuli noszonej w starożytnej Grecji.
- [11] Trojański książę Parys miał wedle legend zostać poproszony o przyznanie złotego jabłka najpiękniejszej bogini; ta rywalizacja była pośrednią przyczyną wojen trojańskich.
- [12] Perykles – ateński polityk aktywny w drugiej połowie V w. p.n.e., strateg, jeden z ważnych urzędników, dowódca wojsk.
- [13] Etruskowie – starożytny lud zamieszkujący dzisiejsze środkowe i północne Włochy.
- [14] Dionizje – wł. Dionizje Wielkie, święta na cześć Dionizosa, których w trakcie wystawiano w Atenach sztuki teatralne.
- [15] Agamemnon i Klitajmestra – mityczni król i królowa Sparty z czasów wojen trojańskich.
- [16] Hades – tu: kraina zmarłych, zaświaty.
- [17] Haruspik – kapłan zajmujący się wróceniem przyszłości.
- [18] Krater – misa do mieszania wina z wodą.
- [19] Zgromadzenie – inaczej Eklezja, zgromadzenie ateńskich obywateli, decydujące przede wszystkim o polityce zagranicznej i sprawach

wojskowych.

- [20] Pireus – miasto portowe Aten.
- [21] Keep calm and dig on (ang.) – Zachowaj spokój i kop dalej.
- [22] „Mummy” w brytyjskim angielskim można tłumaczyć zarówno jako „mumię”, jak i „mamusię”, w wolnym tłumaczeniu, „Kocham moją mumię”.
- [23] Tłumaczenie Kazimierz Kumaniecki.
- [24] Sfinks – mityczny potwór o ciele lwa i głowie kobiety, który zadawał podróżnym zagadki, a tych, którzy nie potrafili na nie odpowiedzieć, pożerał.
- [25] Aojda – wędrowny śpiewak sławiący czyny bogów i herosów.
- [26] Syrakuzy, Krotona, Lokry – greckie osady położone w południowych Włoszech i na Sycylii.
- [27] Anakreont – Anakreont z Teos, poeta grecki żyjący w VI w. p.n.e.
- [28] *Do dziewczyny*, tłum. Bruno Kiciński.
- [29] Penelopa – żona Odysa, mimo długich lat rozłąki pozostawała mu wierna. Uważana za wzór niewieścich cnót.
- [30] Menady, satyrowie – członkowie orszaku Dionizosa, boga wina.
- [31] Gimnazjon – miejsce ćwiczeń fizycznych, wychowania młodzieży.
- [32] Charon – wedle legend za drobną opłatą przewoził zmarłych na drugi brzeg Styksu, do krainy cieni.
- [33] Asklepios – bóg medycyny, jego atrybutem był wąż owinięty wokół laski.
- [34] Spettroscopia di assorbimento atomico (wł.) – absorpcyjna spektrometria atomowa.
- [35] Koine – inaczej greka wspólna, powszechnie zrozumiały, uniwersalny dialekt języka greckiego.
- [36] Temistokles – ateński polityk aktywny w pierwszej połowie V w. p.n.e. W obliczu perskiego najazdu przeniósł mieszkańców Aten na wyspę Salaminę, u której brzegów doszło do wielkiej bitwy morskiej, wygranej przez Greków.

[37] *Com'e possibile...* – (wł.) Jak to możliwe, rok bez ciebie... Jeden rok to nie wiek!

[38] Julian Tuwim, *Lokomotywa*.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz

Spis treści

Przedślowie

σ

τ

υ

φ

χ

ψ

ω

Posłowie

Podziękowania

Przypisy